

## **Camp Candace**

### **Falszywy narzeczony**

#### **Rozdział pierwszy**

Urodzinowy bal wydawany przez lady Odelię Pencully został uznany za najważniejsze wydarzenie nadchodzącego sezonu, mimo że sezon na dobre się nie zaczął. Ci, którzy nie otrzymali zaproszenia, czuli się towarzysko zdegradowani. Ci, którzy je otrzymali, nie dopuszczali myśli, by mogli z niego nie skorzystać.

Lady Pencully łączyły więzy krwi z najpotężniejszymi, najbogatszymi i najbardziej wpływowymi rodami w Anglii. Córka księcia, hrabina z racji zamążpójścia, była opoką angielskiej socjety i niewielu znalazło się śmiałków, którzy odważyli się jej narazić. Od dnia ślubu sprawowała rząd dusz w towarzystwie, władając niemal niepodzielnie, podobnie jak w rodzinie, w dużej mierze dzięki ostremu językowi, przenikliwości umysłu i żelaznej woli. W miarę posuwania się w latach coraz częściej chroniła się w wiejskim

zaczynu, unikając Londynu nawet w pełni sezonu, co wcale nie oznaczało, że przestano się z nią liczyć. Nadal prowadziła ożywioną korespondencję z wieloma osobami, toteż nie bywając, znała najświeższe plotki i była poinformowana o aktualnych skandalach. Nie wahała się udzielić rady każdemu, kto według niej tego potrzebował, kierowana głębokim przekonaniem o wyjątkowej użyteczności swoich przemyśleń.

Nic dziwnego zatem, że gdy wyraziła chęć wydania balu dla uczczenia osiemdziesiątych piątych urodzin, nie znalazł się nikt, kto nie pragnąłby uzyskać zaproszenia, mimo że styczeń w Londynie należał do najbardziej uciążliwych i nieprzyjemnych miesięcy. Ani możliwe opady śniegu, ani niedogodność i wydatki związane z przygotowaniem miejskich rezydencji do krótkiej wizyty nie powstrzymały nikogo od przyjazdu. Wystarczającym zadośćuczynieniem za trudy była świadomość, że w tym roku przestaje obowiązywać reguła, iż znaczący cokolwiek w gronie socjety nie zostaje na zimę w Londynie - w tym roku w styczniu każdy, kto liczył się w towarzystwie, wracał do Londynu, aby wziąć udział w urodzinowym balu lady Odelii.

Wśród podróżujących do stolicy nie mogło oczywiście zabraknąć księcia Rochforda, jego siostry, Calandry oraz ich babki, księżnej wdowy Rochford. Co do samego księcia, należał do tych nielicznych osób zdolnych się sprzeciwić lady Odelii - nie tym razem jednak. Był wnukiem jej brata, a zawsze sumiennie wypełniał rodzinne zobowiązania. Niezależnie od tego miał interesy do załatwienia.

Księżna wdowa zdecydowała się na podróż, choć nie przepadała za starszą siostrą zmarłego męża, niemniej była boleśnie świadoma, że niewielu przedstawicieli ich pokolenia pozostało przy życiu - co prawda, przy każdej okazji podkreślała, że jest młodsza od swojej szwagierki - ponadto należała do tych nielicznych osób, które lady Pencully uważała za równe sobie pochodzeniem. Co nie wynikało z niczego innego jak z faktu, że lady Odelia była córką księcia i nawet jej zadziwiający sposób bycia tego nie umniejszał.

Z całej trójki siedzącej w powozie, który włókł się tego wieczoru za wieloma innymi do domu lady Pencully, mieszczącego się przy Cavendish Crescent, tylko lady Calandra nie mogła się doczekać balu. Callie, jak zwracali się do niej bliscy i przyjaciele, miała dwadzieścia trzy lata. Od jej debiutu upłynęło pięć lat i w normalnych okolicznościach bal wydawany przez krewną nie

wzbudziłby w niej aż takiego entuzjazmu. Ale nie teraz - po kilku miesiącach pobytu

w Marcastle, wiejskiej posiadłości rodu Lilles, dłużeńych się bardziej niż zwykle z powodu padającego niemal bezustannie deszczu i obecności babki.

Z reguły starsza pani spędzała przeważającą część roku w domu w Bath, czerpiąc satysfakcję z niekwestionowanej wysokiej pozycji wśród tamtejszych wyższych sfer, a do Londynu zaglądała z rzadka i tylko w szczycie sezonu, aby sprawdzić, czy wnuczka zachowuje się, jak przystało na osobę z jej pochodzeniem.

Niestety, pod koniec zeszłego sezonu księżna wdowa zdecydowała, że najwyższy czas, by lady Calandra poślubiła wreszcie odpowiedniego dżentelmena, i postanowiła, że nie spocznie dopóty, dopóki nie doprowadzi do zaręczyn wnuczki. W rezultacie nad uroki zimowego pobytu w Bath przełożyła pobyt w historycznej siedzibie rodu Lilles, nie zrażając się hulającymi w starych murach przeciągami.

Callie przeżyła kilka dłużeńych się miesięcy nękana kaprysmi pogody, instrukcjami starszej damy na temat tego, co uchodzi młodej panie, a co nie, jakie są jej obowiązki towarzyskie, a nade wszystko pouczeniami, że najwyższy czas wyjść za mąż. Z tego ostatniego powodu była zmuszona wysłuchiwać bezustannych drobiazgowych omówień zalet i wad ewentualnych odpowiednich pretendenców do jej ręki.

Nic dziwnego, że perspektywa spędzenia kilku godzin na tańcach, ploteczkach i słuchaniu muzyki wprawiła Calandrę w stan przyjemnego podniecenia. Pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że lady Odelia zarządziła bal maskowy. Przyjemnie było obmyślać odpowiedni kostium, a jeszcze przyjemniej oczekiwać na dreszczyk emocji, związany z pewnym elementem tajemniczości i romantyzmu, jakiego Callie oczekiwała po maskaradzie.

Po licznych konsultacjach z krawcową zdecydowała się przebrać za damę z czasów Henryka VIII. Dopasowany mały czepek z epoki Tudorów dobrze pasował do jej typu urody, a głęboki szkarłat sukni podkreślał jasną cerę i ciemne włosy - przyjemna odmiana po obowiązkowej, nudnej bieli, w jaką zmuszone były ubierać się niezamężne młode kobiety.

Callie spojrzała na siedzącego naprzeciwko niej brata ubranego jak zwykle z nienaganną elegancją w czarny wieczorowy strój i śnieżnobiałą koszulę z perfekcyjnie zawiązanym fularem. Nie poświęcił czasu na przygotowanie przebrania, jedynym ustępcstwem była niewielka czarna maseczka zakrywająca oczy. Mimo to był wystarczająco przystojny, by nawet w tym

stroju wyglądać romantycznie i pociągająco, a Callie wiedziała, że jej brat jak zwykle stanie się

obiektem spojrzeń i skrytych tęsknych westchnień większości kobiet na balu.

- Szczęśliwa na myśl o tańcach? - spytał siostrę z czułym uśmiechem, podchwyciwszy jej spojrzenie.

Odwzajemniła uśmiech. Brat miał opinię człowieka chłodnego, traktującego z dystansem innych, wręcz oschłego, ale ona wiedziała, że to nieprawda.

Owszem, zachowywał się z rezerwą i nie spieszył z okazywaniem cieplejszych uczuć, ale Callie doskonale rozumiała powód takiego postępowania. Nawet ona, siostra księcia - a co dopiero sam książę! - odczuła, jak wielu ludzi próbowało się z nią zaprzyjaźnić nie dla niej samej, ale dla jej pozycji towarzyskiej lub, co gorsza, dla materialnych korzyści, na jakie liczyli. Podejrzewała, że Sinclair miał jeszcze więcej okazji doświadczyć tego zjawiska, zwłaszcza że odziedziczył tytuł i majątek w młodym wieku i nie było obok niego nikogo, kto by go chronił czy wprowadził w życie.

Ojciec odszedł, gdy Callie miała niespełna pięć lat, a łagodna, urocza matka nie odzyskała radości życia i nie pogodziła się ze śmiercią męża. Osierociła ich dziewięć lat później. Callie z najbliższej rodziny pozostali tylko brat i babka. Piętnaście lat od niej starszy Sinclair w naturalny sposób przejął rolę opiekuna i w rezultacie traktował ją, jakby nie tyle był jej bratem, co ojcem - pobłażliwym i rozpieszczającym. Domyśliła się, że zgodził się przyjechać do Londynu na wydawany przez ciotecznią babkę bal po części także dlatego, że zdawał sobie sprawę z tego, jak Callie się cieszyła.

- To prawda, nie mogę się już doczekać - odpowiedziała. - Ostatni raz tańczyłam na weselu Irene i Gideona.

Zarówno rodzina, jak i przyjaciele lady Calandry znali jej żywe usposobienie; była gotowa przedłożyć przejażdżkę konną czy szybki spacer po wiejskich bezdrożach nad siedzenie z robótką w przytulnym pokoju przed płonącym kominkiem. Nawet pod koniec sezonu nie miała dość tańców i nie narzekała na zmęczenie.

- O ile dobrze pamiętam, była Gwiazdka - przypomniał jej brat z błyskiem w oku.

- Tańczenie z bratem przy akompaniamencie damy do towarzystwa własnej babki się nie liczy.

- Rzeczywiście, wyjątkowo nudno było tej zimy - przyznał książę. - Wkrótce pojedziemy do Dancy Park, obiecuję.

Callie uśmiechnęła się.

- Wspaniale będzie znowu zobaczyć się z Constance i Dominikiem. Jej listy są przepelnione radością od czasu, gdy napisała mi, że spodziewają się powiększenia rodziny.
- Doprawdy, Calandro, nie rozmawia się

o takich sprawach z dżentelmenem - upomniała ją natychmiast babka.

- Ależ to Sinclair - odparła Callie, powstrzymując się od westchnienia.

Przywykła do tego, że babka ściśle przestrzega etykiety, i dokładała wszelkich starań, aby nie urazić starszej pani, ale po trzech miesiącach bezustannych połajanek reagowała nieco nerwowo.

- Właśnie, to tylko ja - zgodził się z uśmiechem książę. - Przyzwyczajony do straszliwych wybryków Callie.

- Doskonale, że masz dobry humor - odparła sarkastycznym tonem księżna wdowa. - Powinieneś jednak pamiętać, że pozycja towarzyska Callie nakłada na nią obowiązek zachowania maksymalnej dyskrecji w każdych okolicznościach. Zwłaszcza że nie jest zamężna. Żaden dżentelmen nie zdecyduje się wybrać na żonę panny, która nie zachowuje się odpowiednio. Twarz Rochforda przybrała uprzejmy, obojętny wyraz, który Callie z przekąsem określała jako „prawdziwie książęcy”.

- Czy jakiś dżentelmen ośmielił się zarzucać Callie niedyskrecję? - spytał.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła pospiesznie babka. - Niemniej jeśli szuka się męża, należy szczególnie uważać na to, co się mówi i robi.

- Szukasz męża, Callie? - zwrócił się do siostry książę, patrząc na nią pytająco. - Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Ja też nie - odparła spokojnie.

- Ależ oczywiście, że tak - zapewniła ich oboje babka. - Niezamężna kobieta zawsze rozgląda się za mężem, obojętne, czy jest skłonna to przyznać, czy nie. Nie jesteś już młodziutką debutantką, moja droga. Masz dwadzieścia trzy lata - podkreśliła z lekkim naciskiem. - Niemal wszystkie dziewczęta, które debiutowały z tobą, są zaręczone. Nawet pyzata córka lorda Thrippsa.

- Z tym irlandzkim hrabią, który ma więcej koni niż widoków na przyszłość? - spytała Callie. - Powtarzam tylko, co powiedziałaś o nim w zeszłym tygodniu.

- To oczywiste, że życzę ci znalezienia lepszego kandydata na męża niż on - oświadczyła pełnym urażonej godności głosem starsza pani. - Niemniej to nie do zniesienia irytujące, że wszystkie zdołały się zaręczyć przed tobą.

- Callie ma mnóstwo czasu na znalezienie męża - powiedział lekkim tonem Rochford. - Zapewniam cię babciu, że jest co niemiara chętnych się oświadczyć, gdyby tylko ich do tego zachęciła.

- Do czego nigdy dotąd nie doszło, pozwól, że ci to uświadomię - odparowała księżna.



- Z pewnością nie podobałoby ci się, babciu, gdybym pozwolił się starać o nią jakimś utrac-juszom czy łowcom posagu - zauważył Rochford.

- Oczywiście, że nie. Proszę cię, oszczędź sobie zgryźliwości. - Księżna wdowa należała do tych nielicznych osób, które nie odczuwały respektu wobec Rochforda. - Twierdzę, że ktokolwiek chciałby zaangażować się w znajomość z twoją siostrą, ma świadomość konieczności złożenia tobie - wypowiedziała to słowo z naciskiem - wizyty. Niewielu wykazuje na to ochotę.

- Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jestem aż tak przerażającym osobnikiem - stwierdził spokojnie książę. - Jakkolwiek jest, nie wyobrażam sobie, aby Callie zainteresowała się mężczyzną, któremu brak odwagi stanąć twarzą w twarz ze mną, żeby się oświadczyć. Czy ktoś ci się spodobał? - zwrócił się do siostry.

Pokręciła przecząco głową.

- Jest mi dobrze tak, jak jest.

- Nie całe życie będziesz młodą panną cieszącą się względami kawalerów - ostrzegła ją babka.

- W takim razie pozwólmy jej się cieszyć - rzekł stanowczym tonem Rochford, ucinając dyskusję.

Wdzięczna bratu za interwencję, Callie zapatrzyła się w okno. Niełatwo było jednak zignorować przestrogi babki. Callie mówiła prawdę, była zadowolona z życia, jakie prowadziła. Wiosną i latem w Londynie uczestniczyła w licznych przyjęciach, wieczorkach i balach - lubiła tańce, przedstawienia w teatrze i operze. Pozostałą część roku także wypełniały przyjemności - jazda konna, wizyty u przyjaciół. W ciągu ostatnich miesięcy stała się jej szczególnie bliska nowo poślubiona żona wicehrabiego Leightona, Constance. Wiejska rezydencja Leightonów mieściła się zaledwie kilka mil od Dancy Park i kiedy Constance i Dominie tam przebywali, Callie spędzała u nich sporo czasu.

Rochford był właścicielem kilku innych rezydencji, odwiedzał je systematycznie, a Callie zawsze mu towarzyszyła. Na nudę nie miała czasu, konne przejażdżki, spacer po okolicy cieszyły ją na równi z pogawędkami z okolicznymi dzierżawcami. Poza tym odkąd skończyła piętnaście lat, prowadziła dom bratu i zawsze było coś do zrobienia.

Niemniej babka miała rację. Czas było wyjść za mąż. Za dwa lata skończy dwadzieścia pięć lat. Niewiele kobiet pozostawało niezamężnych w tym

wieku. Jeśli nikogo nie wybierze, zacznie być uważana za starą pannę, co, jak doskonale wiedziała, nie jest przyjemne.  
Nie czuła niechęci na myśl o małżeństwie, tak

jak jej przyjaciółka Irene, która głośno deklarowała, że nie wybiera się za męża, póki los nie postawił na jej drodze hrabiego Radbourne'a. Callie chciała mieć męża, dzieci, prowadzić własny dom.

Trudność polegała na tym, że nie spotkała dotąd mężczyzny, którego mogłaby poślubić. Raz czy dwa była kimś zauroczona, zdarzyło się, że czyjś uśmiech wprowadził w drżenie jej serce albo na widok szerokich ramion w mundurze huzara puls jej przyspieszył. Jednak nie trwało to długo i nie wyobrażała sobie, że mogłaby z którymś z tych mężczyzn jeść śniadanie, a już tym bardziej wypełniać fascynujące tajemniczością i z lekka przerażające małżeńskie powinności.

Czasem, gdy słyszała, jak młoda kobieta rozwodzi się z zachwytem nad przymiotami jakiegoś dżentelmena, zastanawiała się, czemu tak łatwo się zakochała, a dlaczego jej samej tak trudno ulec czarowi mężczyzny. Wiele lat po śmierci ojca Callie widziała łzy w oczach matki, czasami dostrzegła smutek w jej wzroku, jeszcze zanim ojciec odszedł. Czy właśnie czemu nie mogła się zakochać, że miała świadomość, ile cierpienia niesie miłość? A może była to jakaś skaza na jej charakterze?

Porzuciła te niewesołe rozważania, gdy zatrzymali się przed frontowymi drzwiami rześście oświetlonego domu lady Odellii i lokaj pospieszył opuścić schodki powozu. Nie pozwoli, aby krytyczne słowa babki ani wątpliwości, które w niej wzbudziły, zepsuły jej ten pierwszy londyński wieczór. Sprawdziła, czy maseczka osłaniająca oczy jest na swoim miejscu, po czym przyjęła dłoń ofiarowaną przez brata i wysiadła z powozu. W sali balowej natknęli się na lady Francescę Haughston rozpoznawalną w błękitnej, satynowej maseczce, za którą się skryła. Utrzymany w błękitno-złoto-kremowej tonacji strój, jasne loki przewiązane niebieską wstążką dokładnie taką samą, jaką był okręcony biały kij pasterski, jednym słowem - pastelowy obrazek romantycznej pastereczki. Spod udrapowanej starannie błękitnej wierzchniej spódnicy z jedwabnej satyny wyglądała burza kremowych falbanek spodniej spódnicy. Na nogach Francesca nosiła złociste pantofelki.

- Piękna pasterko - powiedział, przeciągając sylaby i skłaniając się przed nią Rochford.

- Jak widzę, nie zaprzętał sobie książkę głowy przebraniem - zauważyła, dygając z wdziękiem w odpowiedzi na jego ukłon. - Dlaczego mnie to nie dziwi? Cóż, obawiam się, że nie zostanie to dobrze przyjęte przez lady

Odeję. Bardzo przywiązała się do pomysłu wydania balu maskowego,  
proszę tylko spojrzeć...

Pokazała nieznacznym ruchem głowy na podwyższenie, na którym  
zasiadała - a właś

ciwie należałoby powiedzieć „królowała” - na krześle z wysokim oparciem wyściełanym błękitnym aksamitem lady Odelia. Nosiła płomiennorudą, niemal pomarańczową perukę, twarz miała pomalowaną na białą. Złote kółko wieńczyło burzę rudych loków, wysoka, sztywna kryza otaczała jej głowę. Sznury pereł spływały wzdłuż przedłużonego stanika sukni na spódnicę, liczne pierścienie zdobiły palce.

- Ach, królowa Elżbieta - powiedział Rochford, idąc za spojrzeniem Franceski. - Mocno posunięta w latach, jak. mniemam.

- Dobrze, że tego nie słyszy - odparła Fran-cesca. - Nie może stać zbyt długo, witając gości, zdecydowała więc odegrać dworską scenkę.

Wybaczalne, jak sądzę. Callie, moja droga, jak dobrze, że przynajmniej na ciebie można liczyć. Wyglądasz prześlicznie.

Callie uśmiechnęła się. Francesca, siostra wicehrabiego Leightona, wychowywała się w majątku Redfields położonym w pobliżu Dancy Park. Callie znała ją od dziecka i z podziwem i zachwytem patrzyła na starszą o kilka lat od siebie dziewczynę. Od czasu ślubu z lordem Haughstonem nie widywała jej często, zawsze jednak wtedy, gdy Francesca przyjeżdżała do Redfields, aby odwiedzić rodziców. Później po debiucie Callie spotykały się regularnie, uczestnicząc w wydarzeniach towarzyskich. Francesca, wtedy owdowiała od pięciu lat, była wyrocznią w dziedzinie smaku i dobrego tonu, jedną z najbardziej wpływowych i mimo ukończenia trzydziestu lat jedną z najpiękniejszych kobiet w Londynie.

- Zapewniam cię, że całkowicie mnie zaćmiłaś - powiedziała Callie. - Wyglądasz nieskończenie pięknie. Jakim cudem udało się lady Odellii skłonić cię do zastąpienia jej w witaniu gości?

- Nie poprzestała na tym, kochanie. Uznała, że byłoby samolubnie wydać bal tylko dla uhonorowania jej jedynej i dzięki temu sprytnemu manewrowi wszystkie przygotowania spadły na lady Radbourne i nową hrabinę Rad-bourne. - Francesca odwróciła głowę do stojącej obok niej kobiety.

Callie znała Irene, zostały sobie przedstawione jakiś czas temu. Ich zażyłość się zacieśniła, gdy Irene poślubiła Gideona, lorda Radbourne'a, spokrewnionego dość odlegle z księciem Rochfordem.

Uśmiech Irene był szczery, gdy życzliwie przywitała się z Calandrą.

- Witaj, Callie, dobrze cię znowu widzieć. Czy Francesca zdążyła ci opowiedzieć, jak żeruję na jej szlachetności?

- Co za przesada - zaprotestowała Francesca. Irene roześmiała się. Wysoka, z burzą kręcą

nych się naturalnie blond włosów, wyglądali zachwycająco w białej greckiej tunice. Jej niej zwykle złocistobrązowe oczy promieniały ra | dością. Małżeństwo służy Irene, pomyślała Calliel Nigdy tak pięknie się nie prezentowała...

- Obawiam się, że w skrytości ducha Francesca naprawdę tak uważa - stwierdziła zartobliwym tonem Irene. - Wiesz, że kiepsko idzie mi wydawanie przyjęć. Wszystko na nią spadło i to jej należą się podziękowania, że bal rozwija się tak udanie. A raczej, że w ogóle do niego doszło. |

Francesca uśmiechnęła się uroczo i zwróciła ze słowami przywitania do następnego gościa, a Callie i księżę przesunęli się w kierunku Irene i jej męża. Gideon, hrabia Radbourne, przebrał się za pirata i Callie pomyślała, że trudno o lepszy pomysł, zważywszy jego dość niekonwencjonalny wygląd. Potężnie zbudowany, z długimi, czarnymi włosami, sprawiał wrażenie człowieka zdolnego obrabować statek i doskonale pasował do niego kord, wsunięty za przepasaną w talii szeroką szarfę.

- Lady Calandro - powitał ją, składając krótki ukłon. - Dziękuję, że pani przyszła - dodał z uśmiechem. - Dobrze widzieć znajome życzliwe twarze. Callie odwzajemniła uśmiech. Było tajemnicą poliszynela, że Gideon nie czuł się komfortowo w towarzystwie krewnych. Jego dzieciństwo zostało naznaczone tragicznymi wydarzeniami, w których rezultacie wychowywał się w nędzy w ubogich dzielnicach Londynu. Zdołał przeżyć, a nawet dzięki niepospolitym zaletom umysłu i charakteru osiągnąć dobrobyt materialny. Kiedy go odnaleziono i przywrócono należną mu pozycję towarzyską, był już człowiekiem dojrzałym i jak się okazało, niezbyt pasującym do londyńskiego towarzystwa. Nie znosił lekkich rozmów o niczym i jak ognia unikał przyjęć. Znalazł bratnią duszę w Irene, która, podobnie jak on, lubiła w bezpośredni sposób wyrażać swoje zdanie i nie dbała zbyt o opinię innych o sobie. Callie, mając okazję poznać go nieco bliżej, odkryła, że jest interesującym człowiekiem.

- To dla mnie duża przyjemność - zapewniła go. - Obawiałam się, że zima upłynie mi zbyt monotennie w Marcastle. Poza tym nie wyobrażałam sobie, że mogłabym nie pojawić się na urodzinowym balu lady Odelii.

- Zdaje się, że połowa Anglii doszła do tego samego wniosku - stwierdził Gideon, patrząc na zatłoczoną salę balową.

- Pozwól, że odprowadzę cię do najważniejszej dziś osoby - zaproponowała Irene, ujmując Callie pod ramię.

- Zdrajczyńi - powiedział z wyrzutem Gi

deon, a ciepły wyraz jego oczu, gdy patrzył na żonę, przeczył surowemu słowu. - Znalazłaś znakomitą wymówkę, żeby nie stać tutaj i nie witać gości.

Irenę roześmiała się i zaproponowała:

- Będzie nam niezwykle miło, jeśli do nas dołączysz. Jestem pewna, że Francesca doskonale poradzi sobie z witaniem nowo przybyłych.

- Hm... - Hrabia Radbourne udał, że się namyśla. - Witać gości czy stanąć twarzą w twarz z lady Odelią... Trudny wybór. Nie proponujesz trzeciej możliwości? Coś bardziej mi odpowiadającego, na przykład skoczyć w ogień? - Uśmiechnął się do żony. - Zostanę tutaj, bo inaczej lady Odelia złąja mnie za to, że nie przebrałem się za Francisa Drake'a\*, jak sugerowała, i nie zjawiłem się tutaj z globusem pod pachą.

- Z globusem? - spytała Callie ściszym głosem, gdy odeszły nieco z Irenę.

- Aby podkreślić, że żeglował po całym świecie. Nie jestem wprawdzie pewna, czy sir Francis Drake posługiwał się globusem, ale nie ma to znaczenia dla lady Odellii.

- Nic dziwnego, że nie zdecydował się na takie przebranie.

**\* Sir Francis Drake - ok.1540-1596, żeglarz, okrążył Ziemię i dotarł do obecnej Kalifornii i Przylądka Dobrej Nadziei, jako wiceadmirał brał udział w morskich bitwach z hiszpańską Armadą (przyp. red.).**

- Prawdę mówiąc, nie tyle globus go od tego odwiódł, ile te bufiaste krótkie spodnie.

Callie roześmiała się.

- Ciekawe, jak go skłoniłaś, żeby w ogóle pomyślał o przebraniu. Sinclair ograniczył się do maseczki na oczy.

- Bez wątplenia księżę uważa, że mniej mu przystoi. Poza tym ostatnio odkryłam, że żona potrafi zdumiewająco dużo wyperswadować mężowi - odparła z prowokacyjnym uśmieszkiem Irenę.

Callie poczuła, nie po raz pierwszy zresztą, zaciekawienie. Zameżne kobiety ucinają wszelkie rozmowy na temat małżeństwa, jeśli tylko w ich obecności pojawiła się panna, więc Callie niewiele miała okazji do słuchania o tym, co dzieje się w zaciszu małżeńskiej sypialni. Oczywiście nie była całkiem nieświadoma, w końcu wychowywała się na wsi i wielokrotnie miała okazję widzieć złączone psy czy konie, ale zdawała sobie sprawę, że to tylko fizyczna strona aktu.



Zadanie komukolwiek pytania wprost nie wchodziło w rachubę, starała się więc wydedu-kować cokolwiek ze strzępków zasłyszanych rozmów czy nieopatrznie rzuconych uwag. To, co powiedziała Irene, odbiegało od wszystkich stwierdzeń, które 'do tej pory Callie zdołała zasłyszeć od zamężnych kobiet. Głos Irene miał żartobliwe zabarwienie, ale brzmiące w nim

gardłowe nuty świadczyły o tym, że ucze niczenie w tym, co przyjaciółka określiła jał „perswazję” wobec męża, sprawiało jej ni kłamaną przyjemność.

Callie zerknęła na Irenę. Jest chyba jedyi osobą, z którą mogłabym o tym porozmawia uznała. Zaczęła się zastanawiać nad pretekste: który pozwoliłby jej skierować rozmowę upragnione tory, ale zanim cokolwiek wymy liła, zapomniała o swoim zamiarze, poniewa rzuciwszy nieuważne spojrzenie przed siebie poczuła pustkę w głowie. Przy jednej z kolumn? które biegły rzędem wzdłuż ścian sali balowej,, stał mężczyzna. Ręce skrzyżował na piersi, barf kiem opierał się o kolumnę. Był przebrany za „kawalera”, jak nazywano zwolenników króla; Karola I, ozdobiony piórem kapelusz o szerokimf rondzie spoczywał na jego głowie przekrzywiony na jedną stronę. Rękawice z szerokimi mankietami z delikatnej skóry osłaniały ręce prawie do łokci, beżowe spodnie były wetknięte w wysokie buty z miękkiej skóry, pofałdowanej na, kostkach, na zapiętkach połyskiwały złote ostrogi. Pierś opinał dopasowany, pozbawiony wszelkich ozdób dublet, zapięta pod szyją krótka peleryna była zebrana po jednej stronie i przypięta tuż za przytroczonym do talii mieczem o cienkim ostrzu - wyrafinowanym wytworze sztuki snycerskiej.

Zupełnie jakby zstąpił z portretu przedstawiającego stronnika Karola I, gotowego iść na śmierć za skazanego na ścięcie króla. Zakrywająca połowę twarzy czarna maseczka dodawała mu romantycznego uroku, choć i bez tego otaczała go aura tajemniczości. Z lekko znudzoną miną wodził oczami po sali balowej. Nie zmienił pozy ani wyrazu twarzy, gdy jego wzrok padł na Callie, mimo to widziała, że zrobiła na nim wrażenie. Potknęła się lekko, idąc obok Irenę, a wtedy na twarzy nieznanomego zagościł uśmieszek. Zdjął kapelusz i wykonał głęboki ukłon.

Callie, zdawszy sobie sprawę z tego, że wpatruje się w nieznanomego, zaczerwieniła się i przyspieszyła kroku, zrównując się z Irenę.

- Znasz tego mężczyznę? - spytała stłumionym głosem. - Tego przebranego za stronnika Karola Pierwszego?

- Którego? - Irenę rozejrzała się. - Och, ten... Nie sędzę.

- Wygląda... intrygująco.

- Bez wątpienia to zasługa kostiumu - stwierdziła rzeczowo Irenę. -

Najpospolitszy mężczyzna wygląda interesująco przebrany za rojalistę.

- Może masz rację - przyznała bez przekonania Callie. Poczowała pokusę, aby się obejrzeć, ale zwalczyła ją.

- Calandra! Nareszcie! - powitała ją tubalnie

brzmącym głosem lady Odelia, zanim zdążyły podejść do podwyższenia, na którym zasiadała.

Callie z uśmiechem podeszła, aby powitać cioteczną babkę.

- Czy wolno mi będzie złożyć babci najlepsze życzenia?

Lady Odelia skinęła głową z iście monarszą łaskawością i wykonała ręką gest godny królowej.

- Podejdz i ucałuj mnie. Niech ci się przyjrzę, dziecko.

Callie pochyliła się i ucałowała babkę w policzek. Lady Odelia ujęła obie dłonie wnuczki i wpatrzyła się w nią bacznie.

- Śliczna jak zwykle - oświadczyła z zadowoleniem. - Najładniejsza ze wszystkich, zawsze to mówię. Ze wszystkich Lillesów, to mam na myśli - dodała na benefis Irene.

Irene z wyrozumiałym uśmiechem skinęła głową. Należała do tych naprawdę nielicznych kobiet, które nie obawiały się lady Pencully. Lubiła starą kobietę i jej bezpośredni sposób wyrażania się. Kilka razy wdała się z lady Odelią w ożywioną dyskusję, na której skutek wszyscy obecni zrejterowali z salonu, pozostawiając je obie na placu boju, zaczerwienione, ciskające z oczu błyskawice i niezmiernie z siebie nawzajem zadowolone.

- Nie rozumiem, co obecnie dzieje się z młodymi mężczyznami - kontynuowała lady Odelia. - Za moich czasów dziewczyna taka jak ty zostałaby zaanektowana w pierwszym roku po debiucie.

- Może lady Calandra nie marzy o tym, żeby zostać zaanektowana - pospieszyła z wyjaśnieniem Irene.

- Tylko nie nabijaj jej głowy tymi swoimi radykalnymi, pomysłami - ostrzegła Irene lady Odelia. - O czym Callie z pewnością nie marzy, to by dołączyć do grona siejących rutkę panien, prawda, dziecko?

- Tak, babciu - przytaknęła Calandra. Czy nie dadzą mi dzisiaj spokoju z tym tematem? - zadała sobie w duchu pytanie.

- Czas zdecydować, Calandro. Poproś tę trzpiotowatą Francescę, żeby ci pomogła. Uważam, że ma więcej urody niż rozumu, ale skoro udało się jej zaciągnąć tę oto tutaj osobę przed ołtarz... - Wskazała Irene.

- Doprawdy - udało się wtrącić Irene. - Słuchając ciebie, ciociu, i hrabiny Radbourne, można by pomyśleć, że twój wnuk i ja nie mieliśmy nic do powiedzenia w sprawie naszej wspólnej przyszłości.

- Gdybym zostawiła sprawy w waszych rękach, czekałibyśmy do tej pory. - Ciepły błysk w oczach lady Odelii przeczył gderliwemu tonowi.

Prowadziły dalej żartobliwie uszczypliwą roz

mowę i Callie poczuła wdzięczność dla Irene, że tak umiejętnie odwiodła upartą starszą panią od roztrząsania tematu jej zamążpójścia. Posłała przyjaciółce wdzięczne spojrzenie, a ta. odpowiedziała uśmiechem. Callie przysłuchiwała się wymianie zdań pomiędzy nimi obiema na niekończące się, dobrze jej znajome kwestie, w których Irene i babka jej męża lubiły się spierać, gdy nagle Irene umilkła, patrząc ponad jej ramieniem. Callie usłyszała męski głos:

- Wasza Królewska Mość zechce mi wybaczyć śmiałość dopraszania się łaski, aby wolno mi było starać się o rękę tej niezwykłej piękności, by poprowadzić ją do... następnego tańca.

Callie odwróciła się i ujrzała mężczyznę w przebraniu rojalisty.

## **Rozdział drugi**

Z bliska jest jeszcze bardziej intrygujący, doszła do wniosku. Czarna maseczka zakrywała połowę twarzy, podkreślając mocno zarysowaną szczękę i zmysłowe usta. Oczy patrzące na Callie spoza maski miały ciepły wyraz, zdecydowanie odmienny od konwencjonalnej uprzejmości, którą zgodnie z wymogami etykiety powinien okazać. Był wysoki i barczysty, emanowała od niego męska siła i urok, który jak pomyślała Callie, tylko częściowo zawdzięczał atrakcyjnemu kostiumowi.

Była pewna, że nie został jej dotąd przedstawiony, a zatem powinna mu dać zdecydowaną odprawę, ponieważ zachował się arogancko, prosząc ją do tańca. Wcale nie miała na to ochoty, wolałaby podać mu dłoń i pozwolić się poprowadzić do tańca, ale jej chęci nie miały tu

nic do rzeczy. Już babcia Odelia udzieli mu należytej odprawy... Callie czekała na ostre słowa.

- Ależ proszę - powiedziała lady Odelia, a w jej głosie wyraźnie było słycać zadowolenie.

Callie ze zdziwieniem spojrziała na babkę. Zaskoczona Irene również zerknęła na lady Odelię, a tymczasem starsza pani, widząc, że Callie nie uczyniła najmniejszego ruchu, machnęła ręką, wykonując gest, jakby odpędzała wnuczkę.

- Nie stój jak przyrośnięta do podłogi. Idź, bo zaraz orkiestra zacznie znowu grać.

Nie trzeba jej było tego dwa razy powtarzać. Skoro cioteczna babka Odelia dała jej przyzwolenie na taniec z tym mężczyzną, to znaczy, że względy przyzwoitości zostały zachowane, a tym samym rodzona babka nie będzie miała prawa udzielić jej reprymendy. Co nie zmieniało faktu, że tańczenie z nieznanym uważano w towarzystwie za złamanie etykiety i Callie poczuła dreszczyk emocji.

Nie namyślając się dłużej, położyła dłoń na ramieniu, które nieznanomy jej podał, i dała się poprowadzić na parkiet.

- Nie powinnam z panem tańczyć, oboje to wiemy - powiedziała lekko zalotnym tonem.

- A to dlaczego? - spytał, patrząc na nią z błyskiem w oku.

- Nie został mi pan przedstawiony.

- Czy nie na tym polega urok balu maskowego? Że nie jest się do końca pewnym, kto jest kim? Czy nie jest pociągająca możliwość tańczenia z nieznanym? - spytał, patrząc na nią tak, że Callie zrobiło się gorąco. - Czy nie o to chodzi, by łamać wymogi etykiety?

- Wszystkie? - podjęła żartobliwy ton rozmowy. - Sir, to brzmi niepokojąco...

- I jest ekscytujące.

- Ach tak, pragnie pan się poczuć podekscytowany.

- Pragnę przyjemności - odparł, uśmiechając się zmysłowo.

- Rzeczywiście?

Callie uznała, że pora zakończyć konwersację, która wkroczyła na niebezpieczne tory, choć... przyjemnie było czuć dreszczyk wywołany słowami i uśmiechem nieznanomego.

- Przyjemności tańczenia z panią - powiedział spokojnie, ale kurtuazyjnym słowom przeczyło płomienne spojrzenie.

Rozbrzmiały miłe dla ucha tony walca i nieznajomy uniósł lekko ręce, przyjmując taneczną pozę. Otoczona jego ramieniem Callie poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej, i tym razem wywołał to nie tylko walc. W bardziej konser-

watywnych domach na prowincji uważano ten taniec za nazbyt intymny i nie zezwalano grać go na balach, a nawet w stolicy, gdzie panowała większa swoboda, nie do pomyślenia było wybrać go na pierwszy taniec balu. A już na pewno nie powinno się tańczyć walca z mężczyzną, którego się nie znało. Niezależnie od tego wszystkiego Callie sprawiało przyjemność, że czuje bliskość nieznanego, i zdawała sobie sprawę z tego, że zarumieniła się nie tylko z powodu szybkiego przemieszczania się wokół sali.

Z początku Callie skoncentrowała się na dostosowaniu swoich kroków do jego - czuła się niemal tak jak podczas debiutu, gdy obawiała się wypaść niezręcznie. Szybko przekonała się, że ma do czynienia z doskonałym tancerzem. Obejmował ją pewnie i mocno, nie mylił kroków, prowadził w rytm muzyki. Pociemniała jak niebo przed burzą oczy wpatrywały się w nią z taką intensywnością, że niemal zatraciła się w ich spojrzeniu. Była tak blisko nieznanego, że mimo maseczki widziała gęste i czarne rzęsy. Kim on jest? - zastanawiała się. Żaden kostium nie zdołałaby ukryć aż tak skutecznie nikogo, kogo znała. Jak to możliwe, żeby nie natknęła się na niego w ciągu pięciu lat, które upłynęły od jej debiutu?

Jest intruzem, który wtargnął bez zaproszenia? Natychmiast odrzuciła tę myśl. Lady Odelia go rozpoznała, więc to niemożliwe. Może samotnikiem, nieprzepadającym za światowym życiem i stroniącym od londyńskiej socjety? W takim razie dlaczego zdecydował się wziąć udział w balu, na którym znalazła się połowa Londynu? Poza tym jego maniery nie wskazywały na człowieka nieśmiałego albo źle czującego się wśród śmietanki towarzyskiej. Może po prostu długo przebywał zagranicą... Żołnierz albo oficer marynarki? Dyplomata albo zapalony podróżnik?

Uśmiechnęła się leciutko, myśląc, że niepotrzebnie snuje takie skomplikowane rozważania, a wytłumaczenie okaże się dziecinnie proste. Przecież nie znała wszystkich ludzi należących do wyższych sfer.

- Miło mi to widzieć - odezwał się.

- To znaczy co? - spytała ze zdziwieniem.

- Uśmiech. Patrzyła pani na mnie z taką zaabsorbowaną miną. Zacząłem się obawiać, że popadłem w niełaskę, zanim zdołano mnie pani przedstawić.

- Czyli przyznaje pan, że się nie znamy.

- Tak. Gdyby było inaczej, nie mógłbym kogoś, kto wygląda tak jak pani, nawet w masce nie rozpoznać. Żadnym sposobem nie może pani ukryć, jak jest piękna.



Callie ze zdziwieniem poczuła, że policzki ją pieką. Przecież nie była nieopierzoną gąską, aby byle komplement wprowadził ją w zachwyt.

- Tak jak pan żadnym sposobem nie może ukryć, że ma naturę flirtiarza.  
- Głęboko mnie pani zraniła. Sądziłem, że jestem wprawny w tej sztuce i potrafię to ukryć.

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Nie musimy pozostać nieznajomymi. Łatwo temu zaradzić - powiedział po chwili. - Proszę mi wyjawic, kim pani jest, a ja się przedstawię.

Callie była ciekawa, kim jest nieznajomy, ale znalazła niespodziewaną przyjemność w tańczeniu z nim i flirtowaniu właśnie dlatego, że nie wiedział, z kim ma do czynienia. Nie musiała się zastanawiać, co nim naprawdę kieruje i jakie ma zamiary. Nie musiała ważyć słów, pilnować się, zgadywać, czy interesuje się nią czy jej pozycją i majątkiem. Nawet mężczyźni, którym nie chodziło o pochodzenie i bogactwo, byli świadomi jej dziedzictwa. Miejsce w hierarchii towarzyskiej i dostatek były z nią nierozzerwalnie związane. Przyjemna odmiana wiedzieć, że ktoś zabiega o jej względy dla niej samej.

- Och nie - odparła. - Nie możemy tego zrobić, bo oznaczałoby koniec tajemnicy. Czy to nie pan mnie przekonywał, że taki jest cel balu maskowego? Aura tajemniczości i związane z tym emocje?

- Piękna damo, pokonałaś mnie moją bronią. Czy to uczciwe, wyzywać na słowne potyczki, jeśli się jest tak piękną i wyposażoną w bystry umysł?

- Ach, więc sugeruje pan, że jest przyzwyczajony wygrywać potyczki...

- Często nie dbam o wygraną, ale nie tym razem. Gorzko żałowałbym przegranej i utraty możliwości.

- Utraty możliwości? A to jakiej, gdyby zechciał pan wytłumaczyć?

- Zobaczenia pani ponownie. Jakim cudem miałbym panią odnaleźć, skoro nawet nie wiem, jak brzmi pani imię?

- Doprawdy, czy pan zupełnie w siebie nie wierzy? - Callie posłała nieznajomemu prowokacyjne spojrzenie. - Z pewnością znajdzie pan sposób.

- A może uzyskam jakąś wskazówkę?

- Żadnej - zapewniła go natychmiast.

Co za przyjemność, pomyślała, nie dobrać słów, mówić, co się chce, bez obawy, że wywoła skandal, który zaważy na dobrym imieniu brata czy rodziny. Jak miło rozmawiać sobie, jakby się było zwyczajną młodą dziewczyną flirtującą z przystojnym dżentelmenem.

- Czy przynajmniej wolno mi spytać, o pani, za kogo się przebrałaś?

- Jak to? Czyżby pani nie zgadł? - zdziwiła się z przesadnym oburzeniem. -  
Doprawdy, zasmucasz mnie. Sądziłam, że to oczywiste.

- Dama z okresu panowania Tudorów, ale nie z czasów królowej, którą wybrała dla siebie lady Pencully - rzekł z zastanowieniem. - Raczej z lat, gdy na tronie zasiadał jej ojciec.
- Prawie pan zgadł - stwierdziła, lekko pochylając głowę.
- A nikiem innym pani być nie możesz jak tylko królową - kontynuował. Ponownie skłoniła głowę z godnością przystającą monarchini.
- Zatem jesteś pani kusicielką Anną Boleyn\*.
- O nie! - zaprzeczyła ze śmiechem. - Niestety, to zły wybór. Nie ryzykowałabym utraty głowy dla żadnego mężczyzny.
- Katarzyna Parr\*\*. Powinienem od razu wiedzieć. Piękna wystarczająco, by zdobyć króla, oraz inteligentna na tyle, żeby go przy sobie utrzymać.
- A pan? Miał pan na myśli konkretnego „kawalera”?
- Nie. Przebrałem się po prostu za rojalistę. To pomysł mojej siostry. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że trochę sobie ze mnie zażartowała, proponując ten kostium.
- Powinien pan mieć perukę - stwierdziła Callie. - Długie, czarne loki...

**\* Anna Boleyn - jedna z żon Henryka VIII z dynastii Tudorów, króla Anglii i Szkocji, 1491-1547 (przyp. red.).**

**\*\* Katarzyna Parr - jedna z żon Henryka VIII (przyp. red.).**

- Stałałem okoniem. Próbowwała mnie przekonać, ale akurat w kwestii peruki okazałem się stanowczy.
  - Czy pańska siostra również jest na balu?
  - Nie. Złożyłem jej wizytę w drodze do Londynu. Przybędzie dopiero po rozpoczęciu sezonu. - W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. - Próbuje pani odgadnąć, kim jestem.
  - Przyłapał mnie pan - przyznała beztrąsko Callie.
  - Powinna pani wiedzieć, że łatwo uzyska tę informację ode mnie. Nazywam się...
  - O nie! - wtrąciła pospiesznie. - To nie fair. Poza tym z łatwością dowiem się, kim pan jest, kiedy odkryje pan, kim ja jestem, i złożę mi wizytę.
  - Naprawdę? Mam pani pozwolenie na złożenie wizyty?
- Callie przechyliła głowę, udając, że się namyśla. Trochę ją zdziwiły własne słowa. Wypowiedziała je spontanicznie, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. To było dość ekstrawaganckie, udzielić pozwolenia na złożenie wizyty komuś, kogo się nie znało, i co więcej, komuś, kto nawet

jeszcze o to nie poprosił. Babka, zawsze tak skrupulatnie przestrzegająca etykiety, byłaby wstrząśnięta. Powinna się wycofać... Nagle stwierdziła, że nie ma na to ochoty.

- Ależ tak, dlaczego nie - odparła z uśmiechem. - Myślę, że pan to zrobi. Walc przebrzmiał i Callie poczuła lekki żal, gdy nieznajomy odprowadził ją na miejsce. Ukłonił się, uniósł jej dłoń i ledwie musnął ją wargami, a jednak Callie zrobiło się gorąco. Patrzyła za nim, gdy odchodził, zastanawiając się po raz kolejny, kim jest. Z pewnością był jednym z najbardziej rzucających się w oczy mężczyzn na tej sali...

Czy złoży jej wizytę? Czy zainteresowała go sobą? A może dla niego to tylko przelotny flirt, błahostka dla zabicia czasu i szybko o tym zapomni? Oczywiście wystarczyłoby sprytnie zadać kilka pytań odpowiednim osobom i poznałaby jego nazwisko, ale nie wiadomo dlaczego uznała to za mało atrakcyjną możliwość. Niepewność doda pikanterii całej sytuacji, przyjemniej będzie czuć lekki dreszcz podniecenia: przyjdzie czy nie przyjdzie.

Nie myślała długo o nieznajomym, ponieważ orkiestra zaczęła znów grać i całą następną godzinę spędziła, tańcząc. Uznawszy, że należy się jej odpoczynek, przyjęła zaoferowaną jej szklaneczkę ponczu i przystanąła pogawędzić z Francescą. Niedługo trwało, gdy zobaczyła zmierzającą w jej kierunku babkę, wspartą na ramieniu płowowłosego napuszonego mężczyzny. Jęknęła cicho, co sprawiło, że Francesca obrzuciła Callie uważnym spojrzeniem.

- Coś cię niepokoi?

- Babcia. Zmierza tutaj z obiecującym kandydatem.

- Rzeczywiście - powiedziała Francesca, dopiero teraz zauważając księżnę wdowę.

- Prześladuje ją myśl, że powinnam wyjść za mąż. Obawia się, że jeśli nie zaręcę się podczas tego sezonu, zostanę starą panną.

Francesca raz jeszcze spojrzała w kierunku zbliżającej się do nich pary.

- Uważa, że Alfred Carberry mógłby ci odpowiadać? - spytała z lekkim zatroskaniem.

- Bez wątpienia jej odpowiada - odparła Callie. - Odziedziczy majątek rodowy i tytuł hrabiowski, chociaż biorąc pod uwagę, że jego dziadek jeszcze żyje, o ojcu nie wspominając, nastąpi to nie wcześniej niż wtedy, gdy on skończy sześćdziesiąt lat.

- Jest przeraźliwie nudny - stwierdziła bez ogródek Francesca. - Jak wszyscy Carberry'owie. Kiszą się we własnym sosie w Northumberland, co pewnie na nich dobrze nie wpływa. Nie oczekiwałabym, że spodoba ci się pomysł poślubienia go.

- Ale jest godny szacunku... - zauważyła przewrotnie Callie, przytaczając argumenty, których z pewnością użyłaby babka.
- To właśnie jedna z przyczyn, dlaczego jest taki nudny - kontynuowała Francesca.

- Dla babci nie stanowi to przeszkody.
- W dodatku zbliża się do czterdziestki.
- Och, to nic. Mężczyźni w moim wieku są niestali. Mogą czmychnąć albo zachować się uwłaczająco wobec kobiety. Nie, babcia stanowczo woli nudnych i pompatycznych pod warunkiem oczywiście, że pochodzą z odpowiedniej rodziny. Bogactwo pożądane, ale w tej kwestii mogłaby pójść na pewne ustępstwa.

Francesca roześmiała się.

- Obawiam się, że wysiłki twojej babci są skazane na niepowodzenie.
- Tak, tyle że czekają mnie jej reprimendy. Męczyła mnie przez całą zimę.
- To przykre - powiedziała ze szczerym ubolewaniem Francesca. - Może powinnaś złożyć mi wizytę. Mój kamerdyner otrzymał ściśle instrukcje w kwestii odsyłania nudnych i pompatycznych mężczyzn i kobiet.
- Gdyby babcia to usłyszała - Callie rozłożyła wachlarz, aby zasłonić usta - zabroniłaby mi ciebie widywać.
- Calandra, kochanie, tutaj jesteś. Nie tańczysz? Och i lady Haughston. Jak zwykle wygląda pani zachwycająco.
- Dziękuję, księżno - odparła, dygając Francesca. - Niech mi będzie wolno powiedzieć, że pani prezentuje się zachwycająco.

Co nie odbiegało od prawdy, bo babka Callie

41

z wysoko upiętymi białymi jak śnieg włosami, szczupła i wyprostowana, rzeczywiście prezentowała się znakomicie. Callie wiedziała, że w młodości uchodziła za piękność, i cieszyła się przynajmniej tym, że księżna miała znakomity gust, lubiła się ubierać i zawsze wspierała ją w sprawie wyboru strojów. Zakwestionowała jej decyzję może raz czy dwa podczas pierwszego sezonu, gdy Callie chciała włożyć suknię w innym kolorze niż przynależna pannom nieśmiertelna biel.

- Dziękuję, moja droga. - Księżna uśmiechnęła się łaskawie, przyjmując komplement jako należny sobie. - Znasz czcigodnego Alfreda Carberry'ego? - Umiejętnie pokierowała tak stojącym u jej boku mężczyzną, by znalazł się naprzeciwko Callie, po czym kontynuowała prezentację: - Lady Haughston. Moja wnuczka lady Calandra. Jak się miewa pani matka, lady Haughston? Koniecznie musimy porozmawiać, przysięgłabym, że nie miałam do tego okazji od wesela lorda Leightona. - Położyła dłoń na ramieniu Franceski i uśmiechnęła się pobłaźliwie do Callie i Carberry'ego, zadowolona ze swojego manewru: - Młodych z pewnością znudziłyby



ploteczki. Może poprosi pan Calandrę do tańca, a my z Francescą  
przejdziemy się wokół sali balowej?  
Francesca uniosła lekko brwi, doskonale wie-

dząc, że co najmniej osiem lat od niej starszy Alfred został określony jako „młody”, podczas gdy ją księżna zaliczyła do swojej grupy wiekowej. Wiedziała, że wytracono jej broń z ręki i nie pozostaje nic innego, jak się poddać. Rzuciła Callie szybkie spojrzenie i posłusznie dała się odprowadzić na bok.

- Proszę, sir, aby nie czuł się pan zobowiązany do tańczenia ze mną przez wzgląd na moją babkę - powiedziała, uśmiechając się z przymusem Callie.

- Nonsens, dziewczyno - oświadczył z jowialną pobłażliwością, jak zwykł zwracać się do swoich młodszych krewnych. - Będę sobie poczytywał za honor ten taniec.

Callie pomyślała, że łatwiej będzie uniknąć rozmowy, jeśli zaczną tańczyć. Kiedy muzyka zagrała żywą melodię skoczego ludowego tańca, ucieszyła się, że jej partnerowi zabraknie tchu, aby prowadzić konwersację. Na nieszczęście taniec trwał dość długo. Stawiając kroki i wykonując figury, wypatrywała, czy nie dojrzy gdzieś znajomego kapelusza i pióra.

Potem nie pozostało jej nic innego, jak z uśmiechem przyjąć podziękowania za taniec i pójść na parkiet z następnym partnerem, panem Watersem.

Zostali sobie przedstawieni i choć ledwie go знаła, intuicja podpowiadała jej, że szuka bogatej żony. Był dobrym tancerzem i umiał prowadzić lekką, dowcipną konwersację. Kiedy skończyli tańczyć, zaproponował, aby przeszli się wokół sali balowej. Dochodziła dziesiąta, orkiestra wkrótce miała przestać grać, a goście udać się na kolację podawaną w mniejszej sali balowej, mieszczącej się po przeciwnej stronie holu. Callie bała się, że babcia znowu podejdzie do niej z kolejnym odpowiednim kandydatem i zmusi ją, aby znosiła jego towarzystwo podczas kolacji, wołała więc na jakiś czas zniknąć jej z oczu.

Okrażali salę, wymieniając uprzejme uwagi na temat rozmachu, z jakim przygotowano bal, żywej muzyki, gorąca, nieuniknionego przy tak dużej liczbie gości. Zatrzymali się na chwilę przed otwartymi drzwiami prowadzącymi na taras, z przyjemnością wdychając wieczorne powietrze.

- Och, znacznie lepiej, prawda? - spytał jej towarzysza. - Można się rozgrzać tańcem.

Callie skinęła z roztargnieniem głową, myśląc, że chyba przeceniła umiejętność prowadzenia rozmowy przez pana Watersa. Przebiegła wzrokiem salę balową i zobaczyła babcię rozmawiającą z lordem Pomerance'em. Callie postanowiła, że nie da narzucić sobie tego nieznośnego nudziarza.

Był wprawdzie młodszy od pana Carberry'ego i nie aż tak pompatyczny,  
ale za to do granic absurdu przekonany o własnej ważno-

ści. Nie żywił cienia wątpliwości, że każda minuta spędzona w jego towarzystwie jest bezcenna i że wszyscy są głęboko zainteresowani najmniejszym szczegółem z jego życia.

- Tych dwoje miało dobry pomysł - stwierdził pan Waters.

- Proszę? - spytała Callie nieprzytomnie, ze wzrokiem wciąż utkwionym w babci.

Jej towarzysz wskazał ruchem głowy taras.

- Wychodząc na zewnątrz, żeby zaczerpnąć łyk świeżego powietrza.

- Tak, rzeczywiście.

Księżna wdowa zaczęła się rozglądać po sali balowej i Callie wiedziała, kogo szuka. Odwróciła się plecami do babki.

- Tak, rzeczywiście - powtórzyła pospiesznie. - Tak, ma pan rację... łyk świeżego powietrza.

Przeszła przez otwarte drzwi. Pan Waters przez chwilę stał zdumiony, ale szybko pospieszył za Callie, uśmiechając się szeroko.

Callie ruszyła w przeciwny, ciemny kąt tarasu. Zimowe powietrze kąsało nagie ramiona i szyję, ale była tak rozgrzana tańcem w dusznej sali balowej, że sprawiało jej to przyjemność. Zatrzymała się przy balustradzie ograniczającej górny taras, na tyle daleko, że babcia nie mogłaby jej dojrzeć, nawet gdyby wyrzała przez drzwi.

- Proszę wybaczyć - zwróciła się do pana Watersa. - Musi pan uważać mnie za szaloną, widząc, jak tu pędziłam.

- Szaloną? Nie, może nieco impulsywną - zapewnił, ujmując jej rękę. -

Rozumiem, że równie gorąco jak ja pragnęła pani naszego sam na sam. -

Ucałował dłoń Callie. - Nie wiedziałem... Oczywiście miałem nadzieję, ale nie śmiałem marzyć, że odwzajemnia pani moje uczucia.

- Co takiego?! - Callie spróbowała wyrwać rękę, ale ścisnął ją zbyt mocno.

Dopiero teraz dotarło do niej, że popełniła błąd, uciekając na taras, aby uchronić się przed manipulacją babci. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby towarzyszył jej ktoś, kogo zna, z którym mogłaby teraz żartować z kłopotliwego położenia, w jakim się znalazła, umykając przed babcią. Pan Waters wyciągnął pochopny wniosek albo zwietrzył doskonałą okazję, aby narzucić się jej ze swoimi zalotami.

Cofnęła się o krok, ale on natychmiast postąpił krok do przodu. Wciąż ściskając jej dłoń i patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

- Musiała pani odgadnąć, jak silne żywię uczucie, jak żarliwa miłość płonie w moim sercu.

- Panie Waters, to nieporozumienie - odparła stanowczo. - Proszę puścić moją rękę.

- Nie wcześniej, aż mi pani odpowie. Lady Calandro, błagam, by zechciała pani...

- Panie Waters, proszę przestać! - Wyrwała rękę z jego dłoni. - Żałuję, jeśli na skutek nieporozumienia odniósł pan mylne wrażenie, i proszę, abyśmy na tym zakończyli rozmowę.

Chciała go wyminąć, ale schwycił ją za ramiona i przytrzymał.

- Nie, posłuchaj, Calandro. Kocham cię, błagam, daj mi nadzieję, powiedz, że tobie też na mnie zależy, że w twoim sercu tli się iskierka...

- Proszę natychmiast przestać! - przerwała mu. - Wejźmy do środka i zapomnijmy o tej całej historii.

- Na pewno nie zapomnę. Każda chwila spędzona z tobą jest dla mnie bezcenna - oświadczył.

Callie miała dość. Nie będzie dłużej starała się odmawiać mu w taki sposób, by nie urazić jego uczuć.

- Z pewnością będzie chciał pan o tym zapomnieć, jeśli powiem bratu, co się tu wydarzyło! - zagroziła ze złością.

Zacisnął dłonie na jej ramionach, udawane pożądanie i miłość znikły z jego twarzy równie szybko, jak się na niej pojawiły.

- Powiesz księciu, że gruchałaś ze mną w zaciszu tarasu? Wspaniale. Nie wątpię, że będzie nalegał na natychmiastowe zaręczyny.

- Jest pan skończonym głupcem, przypuszczając coś takiego - odparła, nie przebierając w słowach. - Nie gruchałam z panem. Kiedy mu opowiem, co się wydarzyło, będzie się pan uważał za szczęśliwca, jeśli nie urwie panu głowy.

- Tak? Ciekawe, czy będzie chciał mnie odprawić, jak się dowie, że twoja reputacja legła w gruzach.

Przyciągnął ją obcesowo do siebie, zamierzając pocałować.

Callie pisnęła ze złości, uniosła rękę, usiłując go odepchnąć, i odkręciła głowę, odwracając od niego twarz, aby uniknąć pocałunku. Uniosła nogę i z całej siły kopnęła go w kostkę. Zaklął, ściskając ją jeszcze mocniej i zaczął się z nią siłować, powoli przeciągając przez taras, aby przyprzeć ją do ściany.

Broniła się, ale był silniejszy i wkrótce poczuła przez cienki materiał sukni chropowate kamienne mury. Wbiła paznokcie w jego pierś, starając się złapać poprzez materiał koszuli jak najwięcej ciała i uszczypnęła go mocno. W nagrodę usłyszała, jak zaskowyczał.

Nagle go przy niej nie było, oderwany zaczął głośno łapać powietrze.

Mocna dłoń obejmowała jego szyję i Callie zobaczyła go przyciśniętego do szerokiej piersi rojalisty z czasów Karola I.

- Co teraz mamy do powiedzenia? - Głos nieznanego brzmiał zwodniczo spokojnie, niemal łagodnie, ale uścisk musiał być silny, bo

Watersowi oczy wyszły na wierzch. - Żadnych zuchwałych słów, kiedy przyszło walczyć z kimś silniejszym od kobiety?

- Och nie, proszę niech go pan nie dusi -powiedziała nieco drżącym głosem Callie, odsuwając się od ściany.

- Na pewno? - spytał jej obrońca. - Nie sędzę, by jego zniknięcie było ze stratą dla świata.

- Lady Odellii mogłoby się nie spodobać, gdyby podczas jej urodzinowego przyjęcia odkryto trupa na tarasie - zauważyła już normalnym głosem. Uśmiechnął się i zwolnił nieco uścisk.

- Dobrze, skoro takie jest pani życzenie, puszczę go wolno.

Waters zaczerpnął gwałtownie powietrza.

- Pożałujecie... - zaczął.

Ręka rojalisty zacisnęła się na powrót mocniej na jego szyi i głos uwiązł mu w gardle.

- Ja już żałuję - powiedział, po czym oderwał dłoń od szyi Watersa, schwycił go za ramiona i odwrócił twarzą do siebie, przyciskając go do balustrady tarasu. Złapał klapy fraka Watersa i przechylił go niebezpiecznie przez balustradę. - Prawdopodobnie nie zna pan zbyt dobrze domu lady Pencully, więc muszę poinformować, że grozi **panu upadek z wysokości dwudziestu stóp. Radzę dobrze się zastanowić, gdyby nabrał pan ochoty powtórzyć** pogroźki wobec tej młodej damy czy mnie. Lady Pencully rzeczywiście nie spodobałoby się, że ktoś wypadł z tarasu z fatalnym dla niego skutkiem, i to akurat w dniu jej urodzin. Niemniej szybko przeszłaby nad tym do porządku dziennego i nikt nie kwestionowałby faktu, że na skutek przebrania miary w picciu przez jednego z gości doszło do nieszczęśliwego wypadku. Nikt też nie mógłby świadczyć przeciwko mnie, bo jedyny człowiek, który mógłby to zrobić, czyli pan, byłaby, o zgrozo, martwy. Czy mój wywód był jasny?

Waters w milczeniu skinął głową.

- Dobrze, cieszy mnie, że się zrozumieliśmy. - Zwolennik Karola I odstąpił krok do tyłu, umożliwiając Watersowi wyprostowanie się, nie wypuścił go jednak z żelaznego uścisku. Patrząc swojej ofierze prosto w oczy, mówił dalej: - Jeśli kiedykolwiek dojdzie do moich uszu bodaj słówko, najlżejsza aluzja na temat tego, co się tutaj dzisiaj wydarzyło, będę wiedział, komu to przypisać. I zapewniam, że odpowie mi pan za to. Sugerowałbym, żeby milczał pan jak głaz. A najlepiej, żeby natychmiast wyjechał pan z Londynu.



Długi pobyt na wsi jest w pańskiej sytuacji jak najbardziej wskazany. Czy tym razem również wyrażam się jasno?

Waters skinął szybko głową, nie patrząc na żadne z nich.

- Dobrze. Wobec tego niech pan już idzie. Ledwie go wypuścił, Waters pospieszył do sali balowej.

- Czy nic się pani nie stało? - zwrócił się do Callie jej wybawca. - Nic pani nie zrobił?

Pokręciła przecząco głową i zadrżała, nagle zdając sobie sprawę z tego, jak zmarzła.

- Nie, wszystko w porządku. Dziękuję panu...

- Zimno pani. - Zdjął pelerynę i zarzucił na ramiona Callie.

- Dziękuję. - Opatuliła się peleryną i spojrzała na niego oczami błyszczącymi od powstrzymywanych łez.

- Jest pani taka piękna... Nic dziwnego, że ten gbur postanowił wykorzystać sytuację. Nie powinna pani dać się namówić komuś takiemu na wyjście na taras.

- Nie było to najmądrzejsze. - Posłała mu blady uśmiech. - Nie jestem aż tak naiwna, żeby dać się wyprowadzić na taras komuś, kogo ledwie znam. To dlatego że... To pod wpływem impulsu. Chciałam umknąć babci.

- Umknąć babci? - W jego oczach pojawił się żartobliwy błysk. - Jest aż tak przerażającą osobą?

- Nie. Tylko usilnie swatającą.

- Ach tak. Rozumiem. Prawie tak samo przerażająca jak swatająca matka.

- Szczęśliwy traf, że pan się pojawił. Jestem pańską dłużniczką. Dziękuję, że mnie pan wyratował.

Wyciągnęła do niego dłoń, a on ucałował lekko jej grzbiet i powiedział:

- Cieszę się, że zdołałem pani pomóc, ale to nie szczęśliwy traf. Widziałem, jak panią wyprowadzał na taras, i nie podobała mi się jego mina.

- Obserwował mnie pan? - spytała, czując przyjemne ciepło w sercu na myśl, że zrobiła na nim wrażenie.

- Szedłem poprosić panią ponownie do tańca, lecz muzyka przestała grać i zorientowałem się, że zbliża się pora kolacji. Wtedy was zobaczyłem.

- Dobrze, że poszedł pan za nami.

- Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

- Nie - zaprzeczyła z uśmiechem. - Nie każdy. - Spojrzała na ich splecione dłonie. - Wciąż trzyma pan moją rękę.

- Tak. Wiem. Czy życzy pani sobie, abym ją puścił?

W jego głosie pojawiły się zmysłowe nuty.

- Nie... niekoniecznie.

- To dobrze, bo ja bym też tego nie chciał. -Przesunął kciukiem po grzbiecie jej dłoni i choć było to tylko krótkie, lekkie dotknięcie, Callie odczuła je całą sobą. - Skoro udało mi się tak skutecznie pozbyć tego szubrawca, może zys-

kałem prawo prosić o drobne zadośćuczynienie w zamian?

- O jakim zadośćuczynieniu pan myśli? - spytała stłumionym głosem.

Stał tak blisko, że czuła ciepło bijące od jego ciała, słaby zapach męskiej wody kolońskiej. Serce biło jej w piersi przyspieszonym rytmem, ale nie ze strachu jak przed kilkunastoma minutami, a z wyczekiwania.

- Chciałbym poznać pani imię.

- Calandra - powiedziała cicho.

- Calandra - powtórzył równie cicho, przeciągając nieco sylaby. - Magiczne imię.

- Nie wiem, czy magiczne. Ci, którzy mnie lepiej znają, mówią do mnie Callie.

- Callie. - Uniósł rękę i obrysował kciukiem linię jej podbródka. - Pasuje do pani.

- Mamy teraz nierówne szanse, ponieważ ja nie znam pańskiego imienia.

- Richard. A ci, którzy znają mnie lepiej, mówią do mnie Brom.

- Brom - powtórzyła, biorąc głęboki oddech.

- Kiedy je pani wypowiada, brzmi znacznie ładniej.

Przesunął palcem po jej dolnej wardze i Callie poczuła gorąco rozlewające się gdzieś głęboko w jej ciele. Pochylił się i pomyślała, że chce ją pocałować.

Nie miała zamiaru się odsunąć, bez wahania uniosła ku niemu twarz.

Dotknął wargami jej ust i całe ciało Callie ogarnął żar. Powolne, delikatne ruchy jego warg sprawiały jej przyjemność, jakiej nigdy dotąd nie zaznała.

Zdarzyło się raz czy dwa, że któryś z zabiegających o jej względy mężczyzn odważył się na pocałunek, ale niczego takiego jak teraz wtedy nie czuła.

Żaden z tych adoratorów nie ośmielił się żądać więcej, tak jak on - sprawić, by jej wargi się rozchyliły, pieścić je językiem, wzbudzając w niej intensywne uczucie przyjemności.

Mruknęła coś nieartykułowanie, na poły ze zdziwieniem, na poły z przyjemnością, unosząc instynktownie ręce, by objąć go za szyję. Zareagował natychmiast, biorąc ją w objęcia i przytulając mocno do

muskularnego ciała. Przyczepione do jego kapelusza pióro przejechało po jej policzku i Callie zadrżała jak od pieszczoty. Jęknął ze

zniecierpliwieniem, zerwał kapelusz z głowy i rzucił za siebie.

Callie zacisnęła palce na materiale jego dubletu. Czuła się tak, jakby miała zaraz zemdleć. Pragnęła się poddać i obawiała się tego zarazem, świadoma, że nigdy dotąd jej ciało nie zareagowało tak jak teraz. Nagle przestał ją

całować i biorąc głęboki oddech, uniósł głowę. Wpatrując się w nią, ujął palcami jej maseczkę i uniósł, odsłaniając jej twarz. - Jaka jesteś piękna...

Zdjął swoją maskę i kołysząc, trzymał ją w palcach. Callie patrzyła zaskoczona, że bez osłaniającej oczy maseczki, która powinna dodać mu uroku, wyglądał znacznie lepiej. Wysoko sklepione kości policzkowe łagodziły silny zarys szczęki, proste ciemne brwi podkreślały wykrój dużych jasnoszarych oczu. Ma urodę anioła, pomyślała, i to nie grającego na cytrze wśród pierzastych chmur, ale trzymającego z mieczem w dłoni straż przy niebieskich bramach.

- Więc tak wyglądasz - wymknęło się jej i zaczerwieniła się, zdając sobie sprawę z tego, z jakim naiwnym podziwem to wypowiedziała.

Oczy mu rozbłysły, roześmiał się nerwowo.

- Calandro... nie powinna pani przebywać sam na sam ze mną.

- Sądzi pan, że nie mogę panu ufać? - spytała, a brzmienie jej głosu zdradziło, co naprawdę myśli.

- Nie ma mężczyzny, któremu mogłaby ufać kobieta wyglądająca tak jak pani i odczuwająca jak pani. - Jego głos nabrał gardłowych tonów, gdy wypowiadał ostatnie słowa. Przesunął powoli dłonią po jej ramieniu i z ociąganiem wypuściwszy jej dłoń ze swojej, odstąpił krok do tyłu. - Trzeba wrócić na salę.

Oddał jej maseczkę. Callie pomyślała, że nie ma ochoty odejść od niego, pozwolić, by przeminęła ta chwila, zgasły uczucia, które w niej rozbudził. Uśmiechnęła się.

- Może chciałby pan poznać nie tylko moje imię?

- Ułatwiłoby mi to sprawę - przyznał z uśmiechem - ale proszę mi wierzyć, i bez tego panią znajdě.

- W takim razie powinien pan złożyć... -Urwała, słysząc nagłą głos brata.

- Callie? Calandro!

Odwróciła się i spojrzała w przeciwległy koniec tarasu. Księżę stał w drzwiach. Dał krok do przodu i ponownie zawołał jej imię.

- Diabli nadali - powiedziała cicho do siebie. Jej towarzysz uniósł brwi zaskoczony tak

nieprzystającym damie odezwaniem, a potem się roześmiał.

- Ktoś, kogo wolałaby pani nie widzieć?

- To mój brat - odparła. - Z pewnością zrobi mi scenę. Nie ma co czekać, lepiej miejmy to za sobą. - Ruszyła mu na spotkanie z odwagą osoby, której nie spotkało nic gorszego niż połajanka.

Bromwell wzruszył ramionami i podążył śladem Callie. Zrównał się z nią akurat w momencie, gdy zawołała:

- Wszystko w porządku, Sinclair! Proszę cię, nie krzycz tak głośno.  
Rochford zaczął iść pospiesznie w ich kierunku, na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Co tu robisz, u licha? Dobrze się czujesz? Weszli w krąg światła i jej towarzysz stanął w miejscu, biorąc głośno oddech. Spojrzała na niego pytająco, a potem odwróciła głowę do brata, zdając sobie sprawę, że on także zatrzymał się w pół kroku.

Twarz Rochforda, wpatzonego w mężczyznę stojącego u boku Callie, przybrała ponury wyraz.

- Ty?! - powiedział ze złością. - Trzymaj się z daleka od mojej siostry!

### **Rozdział trzeci**

Callie patrzyła na brata szeroko otwartymi oczami, zaskoczona niezwykle jak na niego niegrzecznością.

- Sinclair - powiedziała, dając krok naprzód i wyciągając do brata rękę uspokajającym gestem. - Proszę cię, źle oceniłeś sytuację.

- Doskonale ją oceniłem - odparł Rochford, nie spuszczać wzroku z Bromwella.

- Owszem, źle - zaprotestowała ostrym tonem Callie. - Ten dżentelmen mi pomógł. - Odwróciła się do swojego towarzysza i zobaczyła, że ma równie zawziętą i ponurą minę jak Sinclair. - Sir, proszę pozwolić sobie przedstawić mojego brata, księcia Rochforda.

- Znam księcia.

- Och... - Przeniosła wzrok na brata, a potem znów na swojego towarzysza i nagle zdała sobie



sprawę z panującego między nimi napięcia, najwyraźniej wynikającego z innych przyczyn niż z tej, że znalazła się na tarasie z mężczyzną.

- Lord Bromwell - odezwał się pogardliwie ksiązę Rochford. Nawet nie spojrzawszy na siostrę, polecił: - Calandro, wejdź do środka

- Nie! - zaprotestowała. - Sinclair, proszę, zachowaj rozsądek. Pozwól, że ci wyjaśnię.

- Callie! - Jego głos przeciął powietrze jak uderzenie bata. - Słyszałaś, co powiedziałem. Wracaj na salę.

Zaczerwieniła się dotknięta rozkazującym tonem. Zupełnie jakby przemawiał do dziecka, odsyłając je do łóżka.

- Sinclair! Nie mów do mnie w taki sposób! Na moment odwrócił głowę w jej kierunku.

- Powiedziałem ci: wejdź do środka! Natychmiast!

Callie odetchnęła głęboko, czując jednakowo silnie urazę i złość. Już miała znów zaprotestować przeciwko takiemu traktowaniu, kiedy zdała sobie sprawę, że za chwilę wywołają scenę i zepsują przyjęcie babci Odelii. Lada moment ktoś mógł się pojawić w otwartych na taras drzwiach, ktoś mógł stać w ogrodzie, już słuchając wymiany zdań między nimi. Nie chciała dać się przyłapać na sprzeczce z bratem. Czowała się wystarczająco zażenowana faktem, że potraktował ją tak w obecności mężczyzny, którego dopiero co poznała. Skinęła głową lordowi Bromwellowi i bez słowa wyminęła brata. Ksiązę stał, przyglądając się Bromwellowi w milczeniu dopóty, dopóki Calandra nie znikła za drzwiami. Dopiero wtedy rzekł:

- Niech pan zostawi moją siostrę w spokoju. Bromwell z lekko rozbawionym wyrazem

twarzy skrzyżował ramiona na piersi i zmierzył wzrokiem stojącego przed nim księcia.

- Cóż za niezwykła odmiana... Rochford zatroskany o honor młodej kobiety. Być może robi to pewną różnicę, że tą młodą kobietą jest siostra księcia... Dał krok naprzód, chcąc obejść Rochforda, ale ten schwycił go za ramię. Bromwell przystanął i wymownie popatrzył na dłoń księcia na swoim ramieniu, potem podniósł wzrok.

- Radzę uważać - powiedział spokojnym tonem. - Mam trochę więcej niż piętnaście lat.

- Naprawdę? - spytał ironicznie ksiązę, puszczając ramię Bromwella. -

Wtedy był pan głupcem, a teraz jest nim w dwójnasób, sądząc, że pozwolę w jakikolwiek sposób skrzywdzić moją siostrę.

- Obawiam się, że lady Calandra jest dorosła. To pan jest głupcem, sądząc, że zdoła zapobiec temu, aby obdarzyła swoimi uczuciami tego, kogo sama zechce.

- Do diabła! Trzymaj się z daleka od mojej siostry! - zażądał Rochford. Lord Bromwell wytrzymał jego wzrok z kamienną twarzą, po czym odwrócił się i bez słowa odszedł.

Callie była wściekła. Jak śmiał przemawiać do niej, jakby był jej ojcem! I to w obecności innej osoby! Obcej osoby! Gardło miała ściśnięte, chciało jej się płakać, ale nie okazała ani jemu, ani komukolwiek, jak bardzo ją dotknął. Przeszła szybko przez salę balową, nie patrząc na boki. Nie miała pojęcia, co robi, chciała tylko znaleźć się jak najdalej od tarasu. Wzburzona, zdołała jednak zauważyć, że w pomieszczeniu zrobiło się niemal pusto, orkiestra zniknęła z niewielkiego podium.

Kolacja. Goście udali się do mniejszej sali balowej po drugiej stronie holu, gdzie czekał na nich obficie zaopatrzony bufet. W ostatniej chwili Callie przypomniała sobie, że jej ramiona okrywa krótka peleryna lorda Bromwella, i zdjęła ją, a potem pośpiesznie złożyła w kostkę. Weszła do mniejszej sali balowej i rozejrzała się.

Zobaczyła babkę siedzącą przy niewielkim stoliku z cioteczną babką Odelią i jeszcze jedną starszą damą. Przed nimi stały talerze wypełnione przysmakami z bufetu. Lady Odelia była jak zwykle przy głosie, a babcia siedziała wyprostowana niczym struna, nie dotykając plecami oparcia krzesła i słuchała z uprzejmym wyrazem twarzy, choć temat musiał ją nudzić, bo oczy miała całkowicie pozbawione wyrazu. Callie podeszła do stolika.

- Calandra! Tutaj jesteś. Gdzie ty byłaś? Nigdzie cię nie widziałam i w końcu posłałam Rochforda, żeby cię znalazł.

- Tak, rzeczywiście mnie znalazł - odpowiedziała i spojrzawszy na obie starsze damy, dodała: - Babciu, chciałabym wrócić do domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ oczywiście, że nie - zapewniła ją księżna wdowa, wstając natychmiast, wyraźnie zadowolona z nieoczekiwanej odsieczy. - Czy źle się czujesz?

- Ja... Boli mnie głowa. - Callie zwróciła się do ciotecznej babki z wymuszonym uśmiechem: - Przykro mi, babciu Odelio. To wspaniałe przyjęcie, a ja nie jestem w stanie się nim cieszyć.

- Nic nie szkodzi. Rozumiem, jakie to wszystko dla ciebie ekscytujące - odparła cioteczna babka nie bez satysfakcji w głosie. Z energicznym skinieniem głowy, od którego zatrzęsła się pomarańczowa peruka, zwróciła

się do swojej towarzyszki. - Te dzisiejsze dziewczęta nie mają ani połowy tego wigoru, jaki my kiedyś miałyś-

my. - Odwróciła się z powrotem do Callie: - Zmykaj, dziecko.

- Poślę lokaja, aby znalazł Rochforda i poinformował go, że chcemy jechać - powiedziała księżna wdowa, wzywając władczyim gestem jednego ze służących.

- Nie! To znaczy... czy nie mogłybyśmy wyjść od razu? - spytała Callie. - Głowa mi dosłownie pęka, a Rochford na pewno jakoś dotrze do domu.

- Tak, sądzę, że sobie poradzi. - Księżna, wyraźnie zaniepokojona, wyszła zza stolika i uważnie przyjrzała się wnuczce. - Masz rozognioną twarz. Czy przypadkiem nie dostałaś gorączki?

- Myślę, że lady Odelia miała rację. Zbyt to wszystko ekscytujące - odparła Callie. - Tańce i hałas...

- Dobrze, chodźmy - zdecydowała księżna i skinąwszy swoim towarzyszkom głową na pożegnanie, poszła w kierunku holu. - Co ty tam trzymasz, dziecko? - zapytała, spojrzawszy na dłonie Callie.

- Ja? Ach to. - Callie spuściła wzrok na złożoną w kostkę pelerynę i zacisnęła na niej palce. - To nic. Proszono mnie, żebym to pottrzymała. To nic takiego. Babka rzuciła jej dziwne spojrzenie, ale się nie odezwała. Doszły do gotowalni dla pań i stały już w szerokich, podwójnych drzwiach wyjściowych, gdy usłyszały głos Rochforda:

- Babciu, proszę, zaczekaj.

- Jak dobrze, że nas znalazłeś - ucieszyła się księżna.

- Tak - stwierdził sucho. Nie wyglądał na wzburzonego, ale twarz miał stężałą i pozbawioną wyrazu. Spojrzał na siostrę, a ona umknęła mu wzrokiem. - Czas jechać do domu.

- Wychodzimy, bo tak zarządziłeś? - spytała z rozdrażnieniem Callie.

- Ależ, moja droga - odezwała się księżna, patrząc na wnuczkę ze zdziwieniem - przed chwilą mówiłaś, że chciałabyś wrócić do domu.

- Nie wątpię - wtrącił Rochford, posyłając siostrze karcące spojrzenie. Callie miała ochotę zaprotestować przeciwko autorytarnemu poleceniu opuszczenia balu, ale wiedziała, że zabrzmiałoby to śmiesznie. Zadarła więc głowę i odwróciła się od brata, nie mówiąc ani słowa.

- Wybacz, Sinclair. Obawiam się, że nie jest dzisiaj sobą - usprawiedliwiła ją babka.

- Najwyraźniej - przyznał jej rację cierpkim tonem wnuk.

Lokaj przyniósł ich okrycia i zeszli do powozu. W drodze powrotnej księżna i Rochford wymienili kilka uwag na temat balu, ale Callie

nie przyłączyła się do rozmowy. Babka rzuciła na nią kilkakrotnie zaniepokojone spojrzenie, brat dla odmiany unikał jej wzroku równie starannie jak ona jego.

Callie zdawała sobie sprawę, że zachowuje się dziecinnie, nie odzywając do Sinclaira i nie patrząc na niego, ale nie mogła się zmusić do udawania, że nic się nie stało. Poza tym nie była pewna, czy potrafi z nim porozmawiać o tym, co czuje, nie wybuchając złością lub płaczem, a tego wolała uniknąć. Lepiej już wyjść na głupią lub dziecinną, niż pokazać mu, że płacze, bo ją zranił.

Dojechali do domu i Rochford pomógł wsiąść babce, a potem wyciągnął dłoń do Callie. Nie przyjęła jej, wysiadła sama i pomaszerowała prosto do drzwi. Usłyszała, jak brat wzdycha z irytacją, po czym idzie w ślad za nią do holu. Przystanął, aby wręczyć lokajowi cylinder i rękawiczki, a Callie nie zatrzymując się, ruszyła w kierunku szerokich schodów prowadzących na piętro. Babka powoli podążyła za nią. Rochford skierował się do gabinetu, zatrzymał się jednak i odwróciwszy w stronę schodów, powiedział:

- Callie.

Nie odwracając się, postawiła nogę na pierwszym stopniu.

- Zatrzymaj się! - Jakby zdumiony dźwiękiem własnego głosu, powiedział już znacznie łagodniej: - Callie, proszę cię. To śmieszne. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Odwróciła się i spojrzała na niego ze stopni schodów.

- Zamierzam położyć się do łóżka - oświadczyła.

- Przedtem musimy porozmawiać. Chodźmy do gabinetu.

Czarne, tak samo jak u brata, oczy Callie zapłonęły powstrzymywaniem od wyjścia z balu gniewem.

- Co takiego?! Nawet nie mogę pójść do własnej sypialni bez twojego pozwolenia? Mam ci się opowiadać z każdej minuty mojego życia?

- Do licha, przecież wiesz, że tak nie jest! - wybuchnął Rochford.

- Nie? A co innego robisz od godziny? Rozkazujesz mi.

- Callie! Sinclair! - Księżna przenosiła wzrok z jednego na drugie. - O co tu chodzi? Co się stało?

- Nic, czym trzeba byłoby się martwić - uciął krótko.

- Rzeczywiście. Poza tym, że mój brat nagle stał się tyranem - powiedziała szyderczo Callie.

Rochford westchnął i przeciągnął dłonią po włosach.

- Wiesz, że to nieprawda. Nigdy nie byłem tyranem.

- Nigdy dotąd - odpowiedziała, mrugając powiekami, żeby powstrzymać łzy.

Właśnie dlatego tak trudno było się pogodzić z tym, co się wydarzyło. Do dziś uważała, że nie ma drugiego tak kochającego i wielkodusznego jak on brata, i ceniła to sobie tym bardziej, ilekroć słyszała, jak inne dziewczęta uskarżają się na bezustannie nimi komenderujących ojców i braci.

- Przepraszam, jeśli obraziłem cię dzisiejszego wieczoru - powiedział sztywno Rochford. - Przykro mi, jeśli zachowałem się zbyt gwałtownie.

- Gwałtownie? Tak byś to określił? Ja bym raczej powiedziała: despotycznie! Albo dyktatorsko.

- Wiem, że weźmiesz mi to za złe, ale muszę ci przypomnieć, że jestem twoim bratem i mam cię chronić. To mój obowiązek.

- Nie jestem dzieckiem! - wykrzyknęła. - Potrafię o siebie zadbać.

- Niekoniecznie, sądząc po tym, że zastałem cię sam na sam z obcym mężczyzną w ogrodzie - odparował księżę.

- Callie! - rzuciła księżna, biorąc głośno głęboki oddech.

- Nie w ogrodzie-sprostowała Callie.-Byliśmy na tarasie i nic w tym złego. Bromwell zachował się jak na dżentelmena przystało. Wziął mnie w obronę przed kimś, kto, jak się okazało, wcale nie jest dżentelmenem.

- Och! - Księżna otworzyła usta ze zdumienia i przyłożyła dłoń do serca. - Byłaś w ogrodzie z dwoma mężczyznami?

- Nie w ogrodzie.

- Nie robi to wielkiej różnicy - stwierdził Rochford.

- Zaraz zemdleję – powiedziała słabym głosem księżna, ale oczywiście nie zemdląca. Przeciwnie, ruszyła energicznym krokiem przez hol i stanęła między Callie i Rochfordem. - Własnym uszom nie wierzę. Jak mogłaś zrobić coś tak skandalicznego? Czy zupełnie się ze mną nie liczysz? Nie obchodzi cię rodzina? Sinclair słusznie mówi. Jest za ciebie odpowiedzialny jako twój brat i głowa rodziny. Ma wszelkie prawo wskazywać ci, co powinnaś robić, a twoim obowiązkiem jest go słuchać. Co cię opętało, żeby wychodzić na taras z mężczyzną? A gdyby ktoś cię zobaczył? Powinnaś być wdzięczna bratu, że pojawił się na czas, żeby cię wybawić z tej sytuacji. Ciarki mnie przechodzą, gdy pomyślę, co mogło się wydarzyć.

- Nic nie mogło się wydarzyć. Przecież mówiłam, że wszystko było w jak najlepszym porządku. Nie wywołałam skandalu - odparowała Callie.

- Dopóki nie wyjdiesz za mąż i nie zamieszkasz we własnym domu, dopóty podlegasz bratu - oświadczyła stanowczo księżna.

- A potem mężowi! - rzuciła impulsywnie Callie.
- Zupełnie jakbym słyszała Irenę Wyngate.
- Nie widzę nic złego w postępowaniu Irenę. Chciałabym być do niej podobna. Ma charakter, czego nie da się powiedzieć o większości kobiet, które znam.
- Babciu, proszę... - wtrącił Rochford, doskonale rozumiejąc, że interwencja księżnej tylko pogarsza sprawę.
- Zresztą to bez znaczenia, bo nigdy nie wyjdę za mąż, jeśli mój brat będzie traktował starających się o mnie jak przestępców - oświadczyła ze złością Callie.
- Bromwell nie będzie pretendować do grona starających się o ciebie.
- Pewnie, że nie. Po tym jak mnie przed nim upokorzyłeś.
- Bromwell? - spytała księżna z nagłym ożywieniem. - Hrabia Bromwell?
- Tak.

Oczy babki rozjaśniły się, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Callie zwróciła się do brata:

- Co takiego okropnego zrobił hrabia Bromwell? Dlaczego tak cię przeraziło, że znalazłam się z nim na tarasie?
- Nie powinnaś się znaleźć sama na tarasie z żadnym mężczyzną.
- A dlaczego nie może się o mnie starać? nalegała Callie. - Dlaczego na jego widok wykrzyknąłeś „ty“!? Z jakiego powodu akurat on nie nadaje się na mojego adoratora?

Rochford milczał przez chwilę, wreszcie wzruszył ramionami i odparł:

- Nie nazwałbym go moim przyjacielem.
- Co takiego?! - Zrobiła wielkie oczy. - Twoim przyjacielem? Czy to oznacza, że mogę wyjść za mąż wyłącznie za kogoś, kto jest twoim przyjacielem? Za jednego z twoich uczonych znajomych? Może za pana Strethwicka albo sir Olivera?
- Na litość boską, Callie! Nie to miałem na myśli - zaprotestował Rochford. - Nie musisz poślubiać żadnego z moich przyjaciół. Nie udawaj, że nie wiesz.
- Właśnie, że nie wiem! - upierała się. - Od dzisiaj nie wiem, co myśleć o tobie. Nie znałam cię dotąd takiego. Dominującego, nieliczącego się z moimi uczuciami i pragnieniami.
- Nieliczącego się? - powtórzył szczerze zdumiony. - Zrobiłem to właśnie dlatego, że się o ciebie troszczę.
- Dlaczego uważasz go za nieodpowiedniego kandydata? - nie ustępowała Callie. - Nie pochodzi z dość dobrej rodziny?



- Pochodzi, jest hrabią.

- Więc to łowca posagów? Zależy mu tylko na pieniądzech?

- Z tego, co mi wiadomo, jest całkiem bogaty - odrzekł Rochford i zacisnął usta z irytacją.

- Hrabia Bromwell jest uznawany za doskonałą partię - wtrąciła księżna. - Nie jest wprawdzie księciem, ale nie ma ich przecież zbyt wielu. Nikt też nie oczekuje, że poślubisz kogoś z królewskiej rodziny. Hrabia to odpowiednia dla ciebie partia, poza tym pochodzi ze starej, szacownej rodziny. Czy on nie jest skoligacony z lady Odelią? - zwróciła się z pytaniem do wnuka.

- Tak, dość odległe - przyznał Rochford. -Rzecz nie w jego koneksjach rodzinnych.

- Więc w czym? - nalegała Callie.

Książę popatrzył na babkę, potem znów przeniósł spojrzenie na siostrę.

- To dawna historia. Właściwie nie ma potrzeby do niej wracać. - Twarz mu stężała. -Odprawiłem go dla twojego dobra, Callie.

- Odprawiłeś? - powtórzyła wolno niemal ze zgrozą.

Za całą odpowiedź skinął głową.

- Jak mogłeś?! - Czuła ucisk w piersiach, niezdolna odetchnąć głębiej. - Nie do wiary, że mogłeś mnie tak upokorzyć! Zabronić mi widywać, jakbym była dzieckiem albo... brakowało mi rozumu. Jakbym została pozbawiona wolnej woli lub nie potrafiła samodzielnie ocenić sytuacji!

- Niczego takiego nie powiedziałem! - zaprotestował.

- Nie musiałeś. To rozumie się samo przez się, skoro decydujesz, kogo mogę widywać, a kogo nie. - Łzy napłynęły jej do oczu, ze złością zamrugowała powiekami, żeby je odpędzić.

- Zrobiłem to, co dla ciebie najlepsze.

- A ja oczywiście nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia!

Zesztywniała ze złości i zacisnęła pięści. Czuła się tak głęboko zraniona, że bała się odezwać, aby głos jej nie zdradził. Odwróciła się i ruszyła po schodach.

- Callie! - wykrzyknął Rochford i poszedł za nią, ale zatrzymał się u stóp schodów i spojrzał na księżnę, jakby szukał u niej rady.

Babka skrzyżowała ramiona i wbiła w niego kamienny wzrok.

- To twoja wina, że ona zachowuje się w ten sposób. Zbyt jej pobłażałeś. Patrzyłeś na wszystko przez palce i pozwalałeś robić, co chce. Rozpieściłeś ją do granic możliwości, i oto rezultat.

Książę westchnął ze znużeniem, po czym skierował się do gabinetu.

Przystanął jednak i zwrócił się do babki:

- Postaram się jak najszybciej załatwić swoje sprawy w Londynie. Proszę, przygotuj wszystko tak, abyśmy mogli pojutrze wyruszyć na wieś.

Weszła, kipiąc gniewem, do swojego pokoju. Pokojówka Belinda czekała, aby pomóc jej się rozebrać, ale Callie ją odesłała. Nie była w stanie stać spokojnie, czekając, aż dziewczyna rozepnie wszystkie guziczki sukni. Poza tym wiedziała, że nie uleży w łóżku, a już na pewno nie zaśnie.

Służąca spojrzała na nią niepewnie, a potem cicho zamknęła za sobą drzwi. Callie zaczęła przemierzać sypialnię, usiłując wziąć się w garść. Usłyszała powolne kroki babki przechodzącej obok jej drzwi, ale cięższe stąpnięcia brata nie doszły do jej uszu. Pewnie schronił się, jak miał w zwyczaju, w gabinecie. Czytał jakąś książkę albo list lub przeglądał dokumenty, żeby się przygotować do rozmów z agentem prowadzącym jego interesy. Nie zaciska zębów z bezsilnej złości dlatego, że spotkała go krzywdząca niesprawiedliwość. Według niego nie ma o czym mówić, sprawa została zamknięta.

Z grymasem na twarzy opadła na krzesło stojące obok łóżka. Nie pozwoli postawić się w takiej sytuacji. Do tej pory uważała, że jest młodą kobietą, która prowadzi życie takie, jak chce, a w każdym razie wolne od większości ograniczeń nakładanych przez reguły przyjęte w świecie. Gdyby ktoś ją zapytał, stwierdziłaby, że może robić, co jej się podoba, i stanowi sama o sobie. Ustępowała oczywiście w wielu kwestiach babce, ale robiła to, ponieważ zależało jej na spokoju w domu, czyli to wynikało z decyzji, którą podjęła, a nie przymusu.

Bywała tam, gdzie chciała bywać, przyjmowała, kogo chciała, akceptowała zaproszenia do teatru, na wieczorki lub rauty albo nie akceptowała, zależnie od ochoty. Wydawała polecenia służbie. Kupowała, co jej się podobało, płacąc własnymi pieniędzmi, choć nie osobiście, a przez plenipotentę, ale właśnie tak to było przyjęte. Rachunki brata w większości również były regulowane tą drogą. Wprawdzie to Sinclair inwestował jej pieniądze, ale objaśniał, co zrobił i dlaczego tak je ulokował, i pytał ją, czy się na to zgadza. Zwykle zgadzała się, bo to, co proponował, było rozsądne. Zresztą sam przez lata inwestował własne środki z jak najlepszym skutkiem.

Niestety, dzisiaj przekonała się, że jej wyobrażenie o wolności, jaką się cieszy, było złudne. Po prostu do tej pory nie weszła bratu w drogę. Nie kwestionował jej decyzji ani jej zakupów, nie wyznaczał, kogo ma widywać i gdzie bywać. A jednak myliła się, uważając, że cieszy się całkowitą swobodą. Żyła w klatce na tyle dużej i wygodnej, że nie obijała się o kraty. Do dzisiaj.

Zerwała się na równe nogi. Nie pozwoli, żeby to dłużej trwało. Kobiety w jej wieku były zamężne, miały własny dom i dzieci. Nie będzie

pokornie słuchała rozkazów brata. Oznaczałoby to przyzwolenie na to, aby sprawował nad nią władzę. Nie pójdzie spać, żeby rano wstać jak gdyby nigdy nic, jakby nic się nie stało.

Zdecydowanym krokiem podeszła do stojącego pod ścianą małego biurka. Pospiesznie skreśliła kilka słów, złożyła arkusik papieru, zapieczętowała, napisała na nim imię brata i oparła liścik na poduszce. Następnie wzięła pelerynę z krzesła, na które cisnęła ją ze złością, gdy weszła do pokoju, i zarzuciła sobie na ramiona. Ostrożnie uchyliła drzwi i wysunęła głowę, żeby rozejrzeć się po holu. Starając się poruszać bezszelestnie, poszła do schodów dla służby i zeszła na dół. W kuchni panowała niczym niezmacona cisza, mały pomywacz spał skulony pod kocem przy palenisku. Nawet się nie poruszył, kiedy przechodziła obok niego, nie obudził go też powiew zimnego powietrza, gdy otworzyła drzwi. Zamknęła je cicho i poszła wąską ścieżką prowadzącą wzdłuż domu na ulicę. Rozejrzała się w lewo i w prawo, usiłując dojrzeć coś wśród ciemności. Naciągnęła kaptur na głowę i odważnie ruszyła naprzód. Po przeciwnej stronie ulicy kilka domów dalej od rezydencji księcia stał powóz. Zatrzymał się tutaj kilkanaście minut temu, a opatulony szynelem woźnica zamknął oczy, aby się zdrzemnąć.

W środku siedziało dwóch mężczyzn. Pan Archibald Tilford ze znudzonym wyrazem twarzy obracał w palcach złotą gałkę laski. Naprzeciwko niego wychylony przez okno hrabia Bromwell obserwował Lilles House.

- Brom, długo jeszcze będziemy tu tkwić? - spytał z irytacją Tilford. - U Seatona czeka na mnie butelka porto i całkiem niezłe karty, które otrzymałem w tym rozdaniu. Poza tym fajerka, którą woźnica dla mnie włożył, zaczyna stygnąć. Jeszcze dziesięć minut i nogi mi całkiem zlodowacieją.

- Uspokój się, Archie, możesz chyba jeszcze trochę wytrzymać. Nie siedzimy tu nawet kwadransa.

- Nie wiem, czemu ma służyć to wpatrywanie się w ciemne okna domu - nie ustępował kuzyn hrabiego. - Cóż takiego interesującego spodziewasz się zobaczyć w środku nocy?

- Sam nie wiem - odparł hrabia, nie spuszczając wzroku z siedziby księcia.

- O tej porze ani nikt tu nie przyjdzie, ani nikt stąd nie wyjdzie - dowodził Archie. - Nie rozumiem, dlaczego wbiłeś sobie do głowy, żeby obserwować dom Rochforda akurat teraz. Przecież to już piętnaście lat... Myślałem, że o nim zapomniałeś.

- Ja nie zapominam - stwierdził Bromwell, posyłając mu przeciągłe spojrzenie.

Tilford wzruszył ramionami, zupełnie niespe-szony przesywającym go spojrzeniem, które na większość mężczyzn działało deprymująco.

- To wydarzyło się dawno, a Daphne koniec końców wyszła za mąż. Na co liczysz?

- Co wiesz o siostrze Rochforda? - odpowiedział pytaniem na pytanie Bromwell.

- O lady Calandrze? - Archie zawahał się, a potem spytał ostrożnie: - Nie myślisz o... jakiejś rozgrywce, do której wciągniesz siostrę księcia? Wszyscy wiedzą, że strzeże jej niczym skarbu. Ty też byś wiedział, gdybyś nie zako-pał się na dziesięć lat w majątku, pomnażając pieniądze. '

- Nie przyszłoby mi do głowy, że będziesz się uskarżał na pomnożenie rodzinnego majątku.

- Boże uchowaj! Pomnożyłeś go tak, że teraz mógłbyś zacząć się tym cieszyć, prowadzić normalne życie... Czy nie po to przyjechałeś do Londynu, żeby trochę się rozerwać?

- Chyba tak - odparł Bromwell.

- Normalne życie nie polega na siedzeniu w zimnym powozie i obserwowaniu nieoświetlonych domów.

- Miałeś mi opowiedzieć o lady Calandrze.

- Niech będzie. Rzeczona dama jest młoda, piękna i bogata.

- Jacyś starający się?

- Oczywiście, ale odrzuciła wszystkich. W każdym razie tych, których książę nie przerażał na tyle, że odważyli się do niej zalecać. Zaczyna się mówić, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Podobno wszyscy z rodu Lilles są pozbawieni temperamentu.

Kąciki ust Bromwella drgnęły w lekkim uśmiechu.

- Nie powiedziałbym tego o tej damie.

- Co właściwie masz na myśli? - spytał Archibald, poprawiając się niespokojnie na siedzeniu.

- Książę zareagował wyjątkowo nerwowo, widząc mnie z lady Calandrą. Bardzo to było zabawne - wyjaśnił Bromwell.

Jego słowa nie uspokoiły kuzyna, przeciwnie, wzmogły jego zdenerwowanie.

- Książę wypruje z-ciebie flaki, jeśli skrzywdzisz lady Calandrę.

Hrabia posłał mu ironiczne spojrzenie.

- Naprawdę sądzisz, że przejmuję się tym, co może mi zrobić książę?

- Nie sądzę. Za to ja się nim przejmuję za nas obu.



- Nie obawiaj się, Archie, nie zamierzam jej skrzywdzić. Przeciwnie, zamierzam być dla niej czarujący.
- Coś knujesz. To nie może dobrze się skończyć. Błagam cię, Brom, odjedźmy stąd i zapomnijmy o wszystkim.
- Proszę bardzo - zgodził się nieoczekiwanie

hrabia. - Zobaczyłem, co chciałem. - Wyciągnął rękę, aby opuścić zasłonę w oknie powozu, gdy nagle pochylił się, wypatrując czegoś intensywnie. - Nie! Poczekaj! Ktoś tam nadchodzi... Kobieta.

- Służąca? O tej porze? - Ożywił się Archibald, unosząc zasłonę w oknie po swojej stronie. - Schadzka z jakimś lokajem albo...

- Do diabła! - przerwał mu podekscytowanym głosem Bromwell. - To ona! Widział, jak naciąga kaptur, skrywający głowę i twarz, a potem idzie przed siebie ulicą. Wyjął laskę z dłoni zaskoczonego kuzyna i uniósłszy ją, otworzył małe, kwadratowe okienko ponad głową woźnicy. Udzielił mu zwięzłych instrukcji, po czym odchylił się na oparcie siedzenia i opuścił zasłonę w oknie. Powóz ruszył w ślad za kobietą.

- Dlaczego uważasz, że to lady Calandra? - spytał sceptycznym tonem Archie. - Po co miałaby wychodzić sama o tej porze?

- Rzeczywiście, po co? - powtórzył Cromwell. Archie uchylił rąbka zasłony i spojrzawszy przez szparę na ulicę, powiedział:

- Minęliśmy ją.

- Wiem.

Powóz skręcił w prawo, w najbliższą ulicę i zatrzymał się.

- Brom! Co ty wyrabiasz?!

- Przecież nie można pozwolić damie spacerować samej o tej porze - odrzekł bez troski hrabia i w następnej chwili zamykał za sobą drzwi powozu.

## Rozdział czwarty

Callie szła szybko, jej kroki rozlegały się echem w ciszy. Kiedy obmyślała plan, nie zastanawiała się zbyt nad tym, jak pusto i ciemno będzie o tej porze na ulicach Londynu. Wydało się to dogodną okolicznością, że nikt jej nie zobaczy, jak maszeruje sama, bez pokojówki. Jednak teraz, gdy mijiała pospiesznie ciemniejące po bokach ulicy, ledwie widoczne rezydencje, pomyślała, że towarzystwo nawet kogoś tak nienadającego się do obrony jak pokojówka dodałoby jej odwagi.

Nie należała do osób, które łatwo wystraszyć, ale w miarę jak szła, gniew, który wygnał ją z domu, wyparował i Callie pomyślała, że noc to czas złodziei i rzezimieszków. Wprawdzie rodowa rezydencja znajdowała się w najlepszej części Londynu i było tu znacznie bezpieczniej niż gdzie indziej, ale wyobrażenia podsuwała opowieści o dżentelmenach śledzonych po wyjściu z klubów i zaatakowanych, gdy pijani, mieli ograniczoną możliwość obrony. Nie była pijana, ale gdzieś tu mógł krążyć złoczyńca. Nawet jeśli nie było w pobliżu złoczyńców, dżentelmeni, zwłaszcza podchmieleni, stanowili poważne zagrożenie - samotna, idąca nocą po ulicy kobieta nie była w ich mniemaniu przyzwoita. Stanowczo nie byłoby to zabawne, gdyby wzięto ją za jedną z cór Koryntu.

Drgnęła na dźwięk kół powozu, który rozległ się gdzieś z tyłu za nią, ale się nie obejrzała. Szła dalej, starając się pewnie stawiać kroki. Liczyła na to, że pasażer powozu nie zauważy rąbka sukni wystającego spod długiej peleryny i weźmie ją za mężczyznę. Albo że w ogóle nie będzie wyglądał przez okno.

Odetchnęła z ulgą, gdy powóz przejechał obok niej z turkotem kół i zniknął za najbliższym rogiem. Callie, nie patrząc na boki, minęła skrzyżowanie i szła dalej najszybciej, jak zdołała. Od domu lady Haughston dzieliło ją zaledwie kilka przecznic, ale teraz ten krótki dystans wydał się jej przerażająco długi. Przemknęło jej przez głowę, czy nie zawrócić, ale zaraz skarciła się w myślach i pomaszzerowała dalej.

Tuż przed nią na kolejnym skrzyżowaniu ktoś wyszedł zza rogu i zmierzał w jej kierun-

ku. Callie zawahała się, serce podeszło jej d gardła, zwolniła kroku. Jeśli teraz się odwró i zacznie biec, nieznajomy rzuci się w ślad za nią choćby z ciekawości. Poza tym było coś takiego w tym mężczyźnie, co ją zaintrygowało. Chciał go zobaczyć wyraźniej w mrocznym świetle nocy. Nie nosił płaszcza ani peleryny, a nawi - co było bardzo dziwne - cylindra. Nie miała wątpliwości, że to mężczyzna, ale jakoś dziwnie ubrany. Buziaste rękawy, spodnie szerokie ponad wysokimi butami pofałdowanymi na kostkach... Z pewnością nie przypominało to wieczorowego stroju dżentelmena, w ogóle żadnego stroju, w jakim chadzali zwykle panowie I jeszcze miał laskę wetkniętą za pas. W pierwszej chwili pomyślała, że musi być pod dobrą datą, a potem... nie, to niemożliwe! Stała jak wryta. Mężczyzna szedł w jej kierunku, nie przyspieszając kroku, a ona z każdą chwilą utwierdzała się w przekonaniu, że wzrok jej nie myli.

- Hrabia Bromwell! - wykrzyknęła.

Pomyślała, że powinna okręcić się na pięcie i popędzić z powrotem do domu. Co będzie jeśli on pomyśli, że ma do czynienia z lunaticzką? Nie, jeszcze gorzej. Pomyśli, że ma do czynienia z kobietą niemoralną. Nie w tym sensie że sprzedaje siebie, ale że udaje się na nocną schadzkę. W przypadku kobiety zamężnej takie zachowanie byłoby skandaliczne; dla niezamężnej dziewczyny - rujnujące.

Serce w niej zamarło na myśl o tym, że zacznie ją pogardzać. Jeśli powie komukolwiek, że spotkał ją w takich okolicznościach, jej reputacja legnie w gruzach, a rodzinę okryje niesława. Gdyby to był ktoś, kto znał ją i jej rodzinę lepiej, mogłaby mieć nadzieję, że spojrzy na to inaczej: nie pomyśli, że wplątała się w coś niestosownego i nawet jeśli poweźmie o niej złe zdanie, zachowa to dla siebie, oszczędzając wstydu krewnym.

Ale on jej nie znał. Co gorsza, Sinclair potraktował go w nader nieprzyjazny sposób, wręcz ze złością, nawet pogardliwie. Wolała nie myśleć, co i jakim tonem jej brat mógł mu powiedzieć, gdy odeszła. Z pewnością nie nastroiło to hrabiego Bromwella przychylnie i nie miał powodów, by ochraniać ją czy Sinclaira. Mógł skwapliwie wykorzystać sposobność odegrania się na księciu.

A w ogóle dlaczego Sinclair zachował się w taki sposób? Zirytowana mocno tym, że się wtrącił i potraktował ją z góry, nie zastanowiła się, dlaczego zareagował aż tak gwałtownie, widząc ją samą właśnie z tym konkretnym mężczyzną. Czy to reputacja Bromwella była powodem zdenerwowania brata? Ostrzegł ją,

bo wiedział, że hrabia uchodził za uwodziciel młodych kobiet?

Umysł Callie pracował gorączkowo, myśli gonily jedna drugą, coraz mniej przyjemne. Stał nieruchomo, a hrabia Bromwell się zbliża. Ostatnie, co jej przyszło do głowy, to nierealna możliwość, że nie rozpoznał jej głosu i nie dojrzał osłoniętej kapturem twarzy. Jeszcze ma szansę uciec.

W tym samym momencie nadzieja zgasła.

- Lady Calandra - powiedział z lekkim niedowierzaniem - to naprawdę pani?

Callie uznała, że musi stawić mu czoło bez względu na to, co nastąpi; musi zrobić wszystko, co w jej mocy, aby dobre imię rodziny nie zostało nadszarpnięte z powodu jej nieprzemyślanego działania.

- Hrabio Bromwell, nie dziwi mnie pańskie zdumienie.

Wyteńczyła umysł, próbując znaleźć sensowne wytłumaczenie swojej obecności na ulicy.

- Rzeczywiście, w pierwszej chwili sądziłem, że wzrok mnie myli i że to niemożliwe. - Cofnął się o krok. - Nie powinna pani wychodzić o tej porze. Gdzie pani rodzina?

Callie wykonała ręką gest, wskazując za siebie.

- Poszli spać. Ja... nie mogłam zasnąć.

- I wyszła pani na przechadzkę - powiedział uprzejmym tonem, jakby przyjął to za rzecz naturalną, ale uniósł przy tym brwi, dając do zrozumienia, że nie przekonało go to wyjaśnienie.

- Wiem, że uważa mnie pan za niemądra...

- Ależ nie - zaprzeczył z uśmiechem. - Mam siostrę i zdaję sobie sprawę, jak uciążliwe są ograniczenia narzucone przez społeczeństwo i jak bardzo dokuczliwe dla młodej, pełnej temperamentu kobiety.

Callie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dziecinnie było się go obawiać, pomyślała. Nie sprawiał wrażenia, jakby ją potępiał. Nie, uśmiech, uprzejmy wyraz twarzy, ton głosu świadczyły o tym, że ją rozumie. Nic nie wskazywało na to, aby był notorycznym uwodzicielem; żadnych niewłaściwych sugestii czy lubieżnych nut w głosie.

- Nie powie pan nikomu?

- Że natknąłem się tu na panią? Oczywiście, że nie. Na ogół nie opowiada się o tym, że spotkało się młodą damę zażywającą przechadzki.

- Rzeczywiście - zgodziła się z ulgą Callie.

- Chciałbym jednak odprowadzić panią do domu - zaproponował uprzejmie, podając jej ramię.

- Nie idę do swojego domu, tylko do lady Haughston.

Wyraźnie go to zaskoczyło, ale ku uldze Callie, nie rozwodził się nad dziwaczością pomysłu udania się na piechotę w środku nocy do domu lady Franceski. Powiedział tylko:

- W takim razie będę zaszczycony, mogąc odprowadzić panią do domu lady Haughston, oczywiście jeśli zechce mną pani pokierować. Jak pani mogła się zorientować, nieczęsto bywam w Londynie i nie znam go zbyt dobrze.

- Tak, nie wydaje mi się, że bym pana tutaj widywała - przyznała Callie, przyjmując jego ramię.

- Od czasu gdy odziedziczyłem tytuł hrabiego, niemal cały czas pozostawałem w majątku. Przykre, ale był to okres w nadmiarze wypełniony obowiązkami. Nie miałem czasu na... -Urwał i wzruszył ramionami.

- Błahie rozrywki? - dokończyła. Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Nie chciałem sugerować, że w Londynie życie upływa na błahych rozrywkach.

- Nie uraziło mnie to. W istocie sporo w tym prawdy.

- Nic złego w odrobinie frywolności.

Było coś ożywczego w całej tej sytuacji; nawet banalne zdania, które wymieniali, nabierały ukrytego znaczenia i brzmiały podniecająco. Rzadko bywała sama w towarzystwie innego mężczyzny niż jej brat, właściwie prawie nigdy.

A iść obok obcego dżentelmena w środku nocy ciemnymi ulicami to nie do pomyślenia! Callie dotąd nie uczyniła nic równie szokującego, lecz nie czuła się winna, a nawet nie uważała, że robi coś wysoce nagannego. Czuła się wolna i radośnie podekscytowana. Była szczerą wobec siebie i musiała przyznać, że jej nastrój nie zależał wyłącznie od niezwykłych okoliczności, w jakich się znalazła. Radosne ożywienie, które w niej narastało, było związane z idącym obok niej mężczyzną.

Rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie - wysoko sklepione kości policzkowe, mocno zarysowana szczęka, zaczynający się sypać na policzkach ciemny zarost. Czuło się bijącą od niego siłę, nie tylko w sensie fizycznym, kiedy patrzyło się na jego szerokie barki i silne ciało, ale psychicznym. Roztaczał wokół siebie aurę pewności i zdecydowania. Nawet gdy się do niej uśmiechał i z nią rozmawiał, wyczuwała, że jest czujny i napięty, jego szare oczy patrzyły uważnie. Jest typem człowieka, do którego ludzie garną się w kryzysowych sytuacjach, pomyślała. Była też pewna, że niedobrze mu wejść w drogę.

Uderzyło ją nagle, że w pewien sposób jest podobny do jej brata. Nie miał wielkomięjskiego obycia jak Sinclair i cechował go nieco łobuzerski wdzięk. A jednak wyczuwała w nim tę samą siłę charakteru, dzięki której zdolni byli przeciw-



stawić się obowiązującym angielskiego arystokratę ograniczeniom i iść własną drogą. Jakby wyczuwając, że o nim myśli, hrabia spojrzął na Callie. Nie uśmiechnął się, nie odezwał, po prostu na nią patrzył.

Przyprawiał ją o wewnętrzny niepokój; dotąd nie reagowała w ten sposób na obecność żadnego mężczyzny. Mimo to nie czuła obawy ani ją to od niego nie odstręczało, przeciwnie - pociągało. Żałowała, że nie wie, dlaczego Sinclair go nie lubił i dlaczego wybuchnął tak ostro, widząc ich razem na tarasie.

- Chciałam pana przeprosić za zachowanie brata - powiedziała.

- To naturalna reakcja brata dbającego o siostrę. Rozumiem to, bo też mam siostrę.

- Ale chyba nie chroni jej pan tak usilnie jak mój brat mnie.

- Rzeczywiście nie. Miałbym za swoje, gdybym spróbował jej rozkazywać.

Nie spodobałoby się jej, gdyby wiedziała, że coś takiego o niej zdradzam, ale jest ode mnie nieco starsza, więc raczej to ona przywykła mówić mi, co powinienem zrobić. - Żartobliwy błysk zniknął z jego oczu, gdy dodał: - Co nie zmienia faktu, że wystąpiłbym przeciwko każdemu mężczyźnie, który próbowałby ją skrzywdzić.

- Kocham brata i babcię, ale ich troska o mnie bywa męcząca.

- I właśnie z tego powodu wyruszyła pani samotnie nocą do domu lady Haughston?

- Zamierzam poprosić lady Haughston

o przysługę - odparła wymijająco Callie. Poczowała ulgę, gdy nie skomentował ani tego,

że nie udzieliła mu odpowiedzi na pytanie, ani że wybrała dość dziwną porę na przedkładanie prośb. Po raz kolejny pomyślała, jakie to było nierozsądne z jej strony działać impulsywnie

1 jakie to szczęście, że spotkała właśnie hrabiego, a nie jakiegoś prostaka.

- Z pewnością uważa mnie pan za nieopie-rzoną, niemądrą dziewczynę - powiedziała, czerwieniąc się. - Podjęłam decyzję pod wpływem gniewu.

- Uważam, że jest pani młoda i bardzo piękna i że czasem wystawia pani na ciężką próbę cierpliwość pani nadopiekuńczych krewnych.

Roześmiała się.

- Z pewnością.

Tym razem z trudem odwróciła wzrok. Zmusiła się w końcu, by to zrobić, zdając sobie sprawę, że stanowczo za długo wpatrywała się w hrabiego. W gardle jej zaschło, wszystkie myśli gdzieś odpłynęły. Zastanawiała się, co

powiedzieć, zła na siebie, że zachowuje się jak debiutantka przed pierwszym tańcem.

- Widzę, że nie ma pan swojego kapelu-

sza - zagadnęła w końcu, zdając sobie sprawę z absurdalności wypowiedzianej uwagi.

- Nie, zostawiłem go. Doszedłem do wniosku, że będę wyglądał w nim idiotycznie na ulicy.

- Idiotycznie! Ależ skąd, pański kapelusz był olśniewający.

Puls jej lekko przyspieszył, gdy dotarło do niej, że zaczyna z nim flirtować.

- Pani również nie zmieniła kostiumu. - Patrząc na nią rozjarzonymi oczami, odsunął nieco kaptur. - Cieszy mnie to. Bardzo twarzowy czepeczek.

Callie zorientowała się, że musieli zwolnić kroku i teraz stali blisko siebie, a on wciąż trzymał w palcach brzeg jej kaptura.

- Cieszy mnie również, że zdjęła pani maseczkę - mówił dalej, a w jego głosie pojawiły się gardłowe nuty. - Szkoda skrywać tak piękną twarz.

Przesunął koniuszkami palców po policzku Callie, a jej zabrakło tchu.

Pomyślała, że znów ją pocałuje i serce zabiło jej mocniej. Tymczasem

Bromwell opuścił rękę, odwrócił się i ruszył ulicą. Callie szła obok niego, serce jej waliło, kolana miała miękkie. Zastanawiała się, czy on coś czuje.

Czy w nim też budziło się pragnienie?

Nie zabrało im zbyt wiele czasu dotarcie do eleganckiego domu Franceski i Callie poczuła rozczarowanie, gdy stanęli u stóp schodów.

- Jesteśmy - odezwała się, wyciągając dłoń. -Dziękuję, że mnie pan odprowadził. Mam nadzieję, że nie nadłożył pan zbyt drogi.

- To była dla mnie przyjemność - zapewnił grzecznie. Ujął jej dłoń, ale nie pochylił się nad nią. Po prostu stał, wpatrując się w twarz Callie. -Musi mi pani obiecać, że więcej nie będzie pani igrać z niebezpieczeństwem. Gdyby jednak planowała pani nocne przechadzki, proszę przysłać mi wiadomość. Obiecuję, że dotrzymam pani towarzystwa.

- Zaręczam panu, że będę ostrożniejsza w przyszłości. Nie będę pana potrzebować.

- Czy jest tego pani pewna? - spytał przekornie, a potem szybkim ruchem, który całkiem ją zaskoczył, objął ją, przyciągnął do siebie i zaczął całować.

Pocałunek był dokładnie taki, jak zapamiętała Callie. Zarzuciła mu ramiona na szyję i odwzajemniła pocałunek. Bromwell zsunął ręce i objął dłońmi jej pośladki. Przyciągnął ją silniej do siebie, unosząc nieco. Poczowała, trochę przestraszona, ale i zaintrygowana, że coś dziwnego dzieje się z jego ciałem i nieznane, wilgotne ciepło rozlało się w jej ciele. Mruknęła coś cicho, a on

odpowiedział jej jękiem. Uniósł głowę i patrzył na nią przez dłuższą chwilę  
błysz-

czącymi oczyma, lekkie zdziwienie mieszało się na jego twarzy z pożądaniem.

- Myliłem się - powiedział niewyraźnie. - To pani stanowi niebezpieczeństwo. - Odetchnął głęboko, wypuścił ją z objęć i odstąpił o krok. - Powinienem teraz panią pożegnać, milady. - Cofnął się o kolejny krok, a potem z uśmiechem dodał: - 2 pewnością się jeszcze zobaczymy. Obiecuję.

Z tymi słowami odszedł, ale jak Callie zauważyła, trzy domy dalej przystanął i odwrócił się, ledwie widoczny w mroku, by ją obserwować. Ujęło ją to, że dba o jej bezpieczeństwo, skoro czeka, aż wejdzie do Środka, a także o jej reputację, bo postarał się, by nie widziano ich razem. Uśmiechając się do siebie, weszła po frontowych schodach i wzięwszy głęboki oddech, aby uspokoić wciąż bijące przyspieszonym rytmem serce, zapukała do drzwi.

Nie otworzyły się natychmiast, wokół panowała niezmacona cisza i Callie uświadomiła sobie, że Franceski może nie być w domu. Bal lady Odelii mógł wciąż jeszcze trwać. Uspokajała samą siebie, że przecież ktoś w końcu usłyszy jej pukanie i otworzy drzwi, nawet jeśli cały dom jest pogrążony we śnie. Kamerdyner Franceski z pewnością ją rozpozna i wpuści do środka, choćby zdumiała go wizyta o tej porze.

Z ulgą zobaczyła, że drzwi się uchylają i wygląda przez nie lokaj, cokolwiek w nieładzie. Kiedy zobaczył, że ma przed sobą młodą kobietę, uniósł ze zdziwieniem brwi i otworzył drzwi nieco szerzej.

- Panienko? - spytał, nie kryjąc zaskoczenia.

- Lady Calandra Lilles - poinformowała go z godnością, przybierając wyniosły wyraz twarzy.

Nie do końca go przekonała, wyraźnie się wahał, ale w tym samym momencie pojawił się kamerdyner Franceski, mając na sobie szlafmycę i szlafrok.

- Milady! - niemal wykrzyknął, a potem pospiesznie zwrócił się do lokaja: - Odsuń się, Cooper, tak by jej lordowska mość mogła wejść.

- Przepraszam, że zjawiam się o tak późnej porze, Fenton - powiedziała Callie, wchodząc.

- Och, milady, proszę tak nie mówić - zaprotestował. - Jest pani zawsze mile widziana w tym domu. Cooper zaprowadzi panią do żółtego saloniku, a ja dam znać lady Haughston, że pani przybyła.

Skłonił się przed nią, skinął głową lokajowi i z pośpiechem zaczął się wspinać na schody. Callie poszła za lokajem do niewielkiego saloniku. Wiedziała, że to ulubiony pokój lady Franceski. Patrzące na wschód okna wychodziły na uroczy boczny ogródek. Ponieważ salonik nie był zbyt przestronny, wciąż panowało w nim

przyjemne ciepło, a podgarnięte węgle jeszcze całkiem nie wygasły. Podeszła do paleniska, chcąc znaleźć się jak najbliżej źródła ciepła. Upłynęło zaledwie kilka chwil i zjawiała się Francesca, jeszcze w biegu zawiązując pasek szlafroka z brokatu. Długie blond włosy spływały swobodnie na plecy, piękna twarz o porcelanowej cerze nosiła wyraz zatroskania.

- Callie, co się stało? - spytała, podchodząc do niej z wyciągniętymi ramionami. - Coś poważnego?

- Och nie - zaprzeczyła, czując nagłe zawstydzenie. - Ja... ja bardzo przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. '

Twarz Franceski się wypogodziła.

- Myślałam... Sama już nie wiem, co myślałam. .. - Zarumieniła się lekko i dodała: - Wybacz, pewnie uważasz, że dziwnie się zachowuję.

- Och nie - zapewniła szybko Callie. - To raczej ja dziwacznie się zachowałam. Nie powinnam zjawiać się o tej porze. Każdy pomyślałby, że wydarzyło się coś złego, to naturalne. Daruj, proszę, że cię niepokoję.

- Proszę cię, usiądź. Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję. I tak już postawiłam na nogi służbę.

Usiadła na brzegu krzesła, a Francesca zajęła miejsce na kanapie, przyglądając się Callie.

- Na pewno? - dopytywała się dociekliwie. - Wiem już, że to nic poważnego, ale... - Urwała i obrzuciła szybkim spojrzeniem salonik. - Czy przyszedłaś sama?

- Tak. Wiem, że to nie było bezpieczne ani rozsądne, ale ja po prostu... nie mogłam dłużej zostać w domu!

- W waszej rezydencji? - Francesca spojrzała na nią z wyrazem zagubienia w oczach.

- Tak. - Skinęła głową Callie. - Jeszcze raz przepraszam cię, że nachodzę cię o tej porze. Pewnie najchętniej posłałabyś mnie do diabła, ale nie wiem, do kogo innego mogłabym się zwrócić.

- Ależ, Callie, oczywiście, że mogłaś przyjść do mnie - zapewniła ją Francesca, ujmując jej dłoń. - Niech cię nie martwi późna godzina, przecież jeszcze nie spałam. Dopiero zaczęłam szcztokować włosy. Fenton uwielbia, jak coś się dzieje. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby zjawił się tutaj z herbatą i ciasteczkami.

- Jesteś bardzo uprzejma. - Callie uśmiechnęła się i dodała nieco nieśmiało: - Zawsze myślałam o tobie... jak o siostrze.

Twarz Franceski złagodniała, uścisnęła dłoń Callie.

- Dziękuję ci, kochanie. Wzruszyłaś mnie. Często myślałam o tobie w ten sam sposób.

- Kiedyś sądziłam, że rzeczywiście zostaniesz moją siostrą - rzekła z żalem Callie. - Nie



pamiętam tego dokładnie, ale trwało to ja czas, zanim Sinclair nie przywołał mnie do porządku... Byłam wtedy bardzo młoda. - Zapadła cisza. Callie zdawała sobie sprawę, że choć Francesca uprzejmie jej nie ponagla, czeka na wyjaśnienie powodów nieoczekiwanej wizyty;; - Przepraszam - zaczęła z westchnieniem - te4 raz, kiedy już się tu znalazłam, nie wiem, oJ czego zacząć... - Zebrała się w sobie. - Prawda jest taka, że mieliśmy z Sinclairem okropną; awanturę dzisiejszego wieczoru.

- Ty i Rochford? Ale dlaczego? Co się stało?; Przecież tak dobrze się rozumiecie.

- Zwykle tak, ale dzisiaj... - Urwała, krępując; się zdradzać rodzinne tajemnice nawet komuś, kogo znała od dziecka.

- Nie musisz mi o tym opowiadać, skoro nie masz ochoty - zapewniła ją łagodnym tonem Francesca. - Możemy porozmawiać o wszystkim... na przykład o balu. Doskonale się udał,? nie uważasz?

- Tak, to prawda, a ty wspaniale pełniłaś obowiązki gospodyni. Ja... muszę ci to powierzyć. Mam nadzieję, że mi pomożesz. Oczywiście, jeśli zechcesz.

- Ależ z pewnością. Znam twojego brata dłużej niż ciebie i śmiem twierdzić, że niczym mnie nie zaszokujesz.

- Nie ma w tym nic szokującego - zapewniła ją pośpiesznie Callie. - Nawet nadzwyczajnego. Po prostu nigdy bym się nie spodziewała, że Sinclair będzie taki... despotyczny. A w każdym razie nie w stosunku do mnie. Zachował się niewybaczalnie niegrzecznie wobec dżentelmena, z którym tańczyłam i którego nawet babcia uznała za dobrą partię. Poza tym potraktował mnie... jakbym była dzieckiem! - Zaczerwieniła się z gniewu, w głosie pojawiły się ostre nuty na wspomnienie upokorzenia, które przeżyła.

-Wiem, nie powinnam być z nim sam na sam na tarasie, ale to nie hrabiego wina. Przeciwnie, pomógł mi pozbyć się mężczyzny, który rzeczywiście mi się narzucał. Rochford nie pozwolił mi niczego wyjaśnić. Kazał mi odejść, jakbym była pięcioletnią dziewczynką, którą odsyła się do pokoju bez kolacji. Czułam się upokorzona.

- Tak, rozumiem - powiedziała współczująco Francesca. - Rochford z pewnością zdałby sobie z tego sprawę, gdybyś mu dała szansę się uspokoić.

- Och, proszę, przynajmniej ty nie bierz jego strony! - wykrzyknęła Callie.

- Ależ nie, kochanie. Jestem pewna, że zachował się okropnie. Przekonałam się, że mężczyźni to potrafią. Kiedy się zreflektuje, będzie mu przykro, że działał tak pochopnie.

- Szczerze wątpię - stwierdziła nie bez goryczy Callie. - Próbowałam z nim o tym poroz-

mawiać, kiedy wróciliśmy do domu, ale nie dał mi szansy udzielić wyjaśnień i twierdził, że postąpił tak dla mojego dobra i że powinnam być z tego zadowolona.

- Hm... Rzeczywiście denerwujące - zgodziła się Francesca.

- Wtedy włączyła się babcia, strofując mnie, że miał rację i że powinnam robić to, co mi każe. Że podlegam księciu, póki nie wyjdę za mąż. No i oczywiście jej także.

Francesca, doskonale znająca księżną wdowę, kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Nic dziwnego, że byłaś zdenerwowana. Callie westchnęła z 'ulgą.

- Wiedziałam, że zrozumiesz.

- To trudne, gdy krewni mówią ci, co masz robić.

Callie powinno ulżyć, tymczasem wydała się sobie dziecinna. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem i powiedziała:

- Przepraszam, nie powinnam cię tym obarczać. To dlatego, że jestem zmęczona tymi wszystkimi regułami i ograniczeniami. Babcia mieszkała z nami przez całą zimę i bez przerwy wypominała mi, ile mam lat, a wciąż nie wyszłam za mąż. Nawet babcia Odelia powiedziała mi dzisiaj, że jestem na najlepszej drodze, żeby zostać starą panną.

- Lady Pencully nie może cię do niczego zmusić. Wiem, że łatwo radzić, trudniej wykonać, wierz mi. Lady Odelia przeraża mnie w irracjonalny sposób. Uznałam, że najlepiej jej unikać.

- Tak, ale nie jest twoją babką. Poza tym aż tak bardzo mi nie dokucza.

Przynajmniej nie powtarza bez końca, że powinnam być odpowiedzialna, jakie są moje obowiązki i co jestem winna rodzinie. I żeby nie ważyła się zrobić niczego, co rzuciłoby cień na księcia czy dobre imię rodziny.

- Rodzina może potwornie ciążyć - przyznała z głębokim przekonaniem Francesca. - Matka naciskała na mnie, żebym zrobiła odpowiednią partię już w pierwszym roku po debiucie.

- I zrobiłaś? - spytała Callie z ciekawością.

- Rozczarowałam ją - odparła Francesca, wzruszając ramionami. - Nie pierwszy i nie ostatni raz.

- Czuję się zmęczona tymi bezustannymi wysiłkami, żeby zadowolić innych.

- Może próbujesz zadowolić zbyt wielu i za gorliwie - zasugerowała Francesca. - Może powinnaś pomyśleć o sobie.

- Właśnie dlatego do ciebie przyszedłam! - niemal wykrzyknęła Callie. -  
Wiem, że możesz mi pomóc.
- Nie rozumiem - odparła zaintrygowana

Francesca. - Z pewnością pomogłabym ci, gdyby to było możliwe, ale wiem, że moje zdanie niewiele waży u księcia czy księżnej.

- Och nie. Nie chodzi o to, żebyś z nimi porozmawiała. Chciałabym, żebyś pomogła mi znaleźć męża.

100

## **Rozdział piąty**

Francesca spojrzała na nią z osłupieniem.

- Proszę?

- Postanowiłam wyjść za mąż, a wszyscy zapewniają mnie, że jesteś najwłaściwszą osobą, do której można się zwrócić o pomoc w znalezieniu męża.

- Ale Callie... - Francesca miała niepewną minę. - Zrozumiałam, że irytują cię zabiegi babci i lady Odelii, nakłaniających cię do małżeństwa. Czy postanowiłaś wyjść za mąż, żeby je zadowolić?

- Nie, nie dlatego – odparła nad wyraz poważnie Callie. - Nie jestem wrogiem małżeństwa w ogóle. Nie jestem też tak niezależna jak Irene ani nie boję się związać z mężczyzną. Ja chcę wyjść za mąż, mieć własny dom, dzieci, a na pewno nie zamierzam spędzić reszty swoich dni

w roli siostry księcia Rochforda albo wnuczki księżnej Rochford. Chcę żyć własnym życiem, a nie odbitym. Taką możliwość stwarza mi tylko małżeństwo.

- Ale przecież jeśli pragniesz żyć na własny rachunek... Callie, ukończyłaś dwadzieścia jeden lat, masz pozycję i fortunę...

- Sugerujesz, że mogłabym prowadzić osobny dom? - spytała Callie z goryczą. - I sprawić, żeby cały *beau monde* plotkował, dociekając, dlaczego skłóciłam się z Rochfordem? Wysłuchiwać tyrad babci o mojej niewdzięczności i o tym, co jestem winna bratu i rodzinie? Nie chcę kwasów wśród najbliższych ani mieszkać od nich z dala. Zamierzam jedynie uwolnić się od tych wszystkich ograniczeń. Nie uda mi się to, jeśli wyprowadzę się do własnego domu. Będę musiała wynająć damę do towarzystwa, najprawdopodobniej wdowę, żeby ze mną mieszkała, i dalej będę miała status niezamężnej kobiety, która nie może chodzić, gdzie jej się podoba, ani robić, co jej się podoba. Przecież wiesz, jak to jest. Kobieta nie może marzyć o odrobinie wolności, póki nie wyjdzie za mąż. Nawet o zielonej balowej sukni albo w kolorze ciemnego, nasyconego błękitu. Wciąż ta biel i tylko biel!

Francesca nie mogła się nie roześmiać.

- Tak, pamiętam to uczucie. Nie możesz jednak wychodzić za mąż z powodu ciemno-błękitnej sukni.

- Czasami wydaje mi się, że tak - stwierdziła buntowniczo Callie, a potem westchnęła i powiedziała poważnie: - Chcę być czyjąś żoną. Czuję się tak, jakbym szła przez te lata nie wiadomo po co, jakby moje życie tak naprawdę wcale się nie zaczęło.

Francesca pochyliła się ku niej, patrząc na nią uważnie.

- Z pewnością nie brakuje ci starających, kochanie. Wystarczyłoby skinąć i wyobrażam sobie ten tłum kłębiący się przed drzwiami Rochforda, żeby go prosić o twoją rękę.

- To nie brak starających jest problemem, choć często są to łowcy posagów. Problemem jest to, że niektórych mężczyzn odstrasza moja pozycja. Boją się, że zostaną uznani za oportunistów Czyhających na okazję, albo myślą, iż nie zainteresowałabym się nimi, bo są niżej ode mnie urodzeni lub nie dość bogaci. Ludzie, nawet mnie nie znając, zakładają, że jestem nieprzystępna. A to nieprawda, przecież wiesz.

- Tak, wiem.

- Z kolei innych powstrzymuje osoba Rochforda. I świetnie, dopóki mam do czynienia z łowcą posagu albo kimś, kogo nie jestem w stanie znieść. Niestety, Sinclair jest tak dominujący, że odstrasza nawet sensownych kandydatów.

- Rochford rzeczywiście potrafi być odróbną denerwujący - przyznała Francesca.

- Delikatnie powiedziane. Jeśli próbuję z nim o tym rozmawiać, to robi minę udzielnej księcia i ucina dyskusję, twierdząc, że to wszystko dla mojego dobra.

- Znam tę minę. Przybiera ją, gdy nie chce odpowiedzieć na pytanie.

- Właśnie.

- Czy... masz na uwadze konkretnego mężczyznę? - spytała ostrożnie Francesca.

- Och nie - zaprzeczyła szybko Callie, choć przyszedł jej na myśl hrabia Bromwell.

Czy rzeczywiście chciałaby go poślubić? Było w nim coś zniewalającego, coś więcej niż ujmujący uśmiech i doskonały wygląd. W jego obecności czuła się ożywiona, radośniejsza, jakby pod jego wpływem rozkwitała. Mimo to zdawała sobie sprawę, że to niemądre myśleć z tego powodu o małżeństwie. W końcu nic o nim nie wiedziała, a jej brat wyraźnie go nie lubił.

Potrząsnęła energicznie głową. Francesca spojrzała na nią badawczo, ale nic nie powiedziała. Dopiero po chwili, gdy milczenie się przeciągało, zapytała:

- Czy nie sądzisz, że mogłabyś jeszcze chwilę poczekać? Irenę i Constance wyszły za mąż po ukończeniu dwudziestu pięciu lat, a ty dopiero skończysz dwadzieścia trzy. Nie musisz zamykać oczu i wybierać pochopnie. W końcu pojawi się ten odpowiedni...

- Sądzisz, że mogłabym się zakochać? - spytała Callie. - Że na widok przystojnego nieznajomego zabrakłoby mi tchu? - Mówiąc to, nie mogła oczywiście nie pamiętać o mężczyźnie, którego spotkała dzisiejszego wieczoru, ale szybko odpędziła tę myśl. Nie przyszła tu z jego powodu, przypomniała samej sobie. On nic do tego nie ma. Potrząsnęła raz jeszcze zdecydowanie głową i mówiła dalej: - Owszem, kiedy miałam siedemnaście, osiemnaście lat, jeszcze przed moim debiutem, sądziłam, że coś takiego mi się przytrafi. Gdy jednak poznałam reguły obowiązujące w angielskim towarzystwie, szybko zrozumiałam, jakie to nieprawdopodobne. Zostało mi przedstawionych wielu mężczyzn uważanych za dobrą partię, ale żaden nie zdobył mego serca. Owszem, dwóch czy trzech spodobało mi się przynajmniej na tyle, że flirtowałam z nimi podczas tańców i słuchałam chętnie duserów, którymi mnie bawili. Przez tydzień lub dwa myślałam „może to ten”, ale żaden z nich nie okazał się tym



wyśnionym. Szybko dostrzegłam ich wady albo cechy, które mnie denerwowały. W konsekwencji zaczynałam się zastanawiać, co ja w nich takiego widziałam... - Callie posmutniała. - Może po prostu taka jest moja rodzina.

Nie potrafimy się zakochać. Spójrz na Rochforda. Jest obiektem pożądania wszystkich panien w mieście, a on ani razu się nie zakochał.

- Rzeczywiście chyba nie - potwierdziła z dziwną miną Francesca.

- A czy wyobrażasz sobie księżnę zapominającą się do tego stopnia, żeby poddać się tak plebejskiemu uczuciu? Jestem pewna, że wyszła za dziadka, bo była to najlepsza partia sezonu.

- Istotnie trudno wyobrazić sobie księżnę tracącą głowę z miłości.

- Czasem zastanawiam się, czego nam brakuje. Matka kochała ojca bezgranicznie. Nie przestała po nim rozpaczać aż do dnia swojej śmierci. Czasem myślałam, że pragnęła umrzeć i połączyć się z nim w niebie. Snuła się po domu jak duch, jakby zabrał razem ze sobą jej serce... Może lepiej być osobą pozbawioną serca.

- Może - zgodziła się Francesca. - Jednak patrząc na Constance i Dominica... Twarz Callie rozjaśnił uśmiech.

- Są tak w sobie zakochani, że od razu robi się przyjemniej, gdy się pojawiają. To musi być wspaniałe.

- To prawda - zgodziła się z nią Francesca.

- Czy byłaś tak zakochana? - spytała zaciekawiona Callie.

- Myślałam, że tak - odparła z goryczą Francesca.

- Och, przepraszam... - Callie się zaczerwieniła. - Nie powinnam... Jak to bezmyślnie i niegrzecznie z mojej strony. Przecież byłaś zamężna.

- Coraz bardziej o tym zapominam - przyznała Francesca.

- Przepraszam cię.

Nie знаła zbyt dobrze jej męża, umarł w rok po debiucie Callie, a w Redfields pojawiał się niezwykle rzadko, właściwie prawie nigdy nie towarzyszył Francesce, gdy przyjeżdżała z wizytą do rodziny. Callie odniosła wrażenie, choć nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego, że jej brat nie darzył sympatią lorda Haughstona, a kiedyś słyszała, jak babcia robi uwagę, że Francesca ma nadto wiele okazji, by żałować dnia, w którym go poślubiła.

- Nie przejmuj się. Poza tym nie rozmawiajmy o mnie. Mamy mówić o tobie.

- Dobrze. Czy mogłabyś mi pomóc?

- Ależ oczywiście. Jak możesz w to wątpić? Chociaż nie wiem, co takiego byłabym w stanie zrobić, czego ty i babcia nie potrafiłybyście dokonać.

Księżna zna wszystkich, którzy się liczą. A ty z pewnością nie potrzebujesz wskazówek w kwestiach stylu czy zachowania z wdziękiem.

- Bardzo uprzejmie z twojej strony, że tak mówisz, ale babcia zapewniła mnie, że masz

niezwykle szczęśliwą rękę, jeśli chodzi o znalezienie komuś małżonka. Weźmy zresztą kilka ostatnich miesięcy. W czasie sezonu towarzyskiego skojarzyłaś dwie pary, i to obie bardzo szczęśliwe.

- To, że Constance i Irene znalazły miłość swojego życia, zawdzięczają raczej sobie i swoim mężom niż mnie.

- Chyba pomniejszasz swoją rolę - zaprotestowała Callie. - Doskonale wiem, że świetnie orientujesz się we wszystkim, co dotyczy soc-jety. Jestem pewna, że nikt nie pomoże mi w tym przedsięwzięciu tak jak ty. Babcia zna wielu odpowiednich kawalerów, to prawda, i skwapliwie zgodziłaby się ich przedstawiać. Jednak jej wybory nie są moimi. Dla niej ważne są pochodzenie, tytuł, bogactwo, a zupełnie nie liczy się wygląd czy zgodność temperamentów. Szczerze wątpię, czy kiedykolwiek choć przez moment zastanawiała się nad poczuciem humoru lub jego brakiem u ewentualnego kandydata na mojego męża. A przecież człowiek nie jest tyle wart, co jego pozycja w londyńskim towarzystwie. Ty od razu wiedziałaś, jak dobrze Irene

i Gideon pasują do siebie... nawet zanim sama Irene to odkryła.

- No tak, ale ja nie byłam zdeterminowana tak jak Irene, żeby tego za wszelką cenę nie widzieć - powiedziała spokojnie Francesca.

- Proszę cię, wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Tak. Chcesz znaleźć męża, który będzie odpowiadał tobie, a nie babci.

- Właśnie. Nie babci, nie bratu czy całej socjecie, tylko mnie.

- Mam nadzieję, że nie przeceniasz moich możliwości i nie oczekujesz po mnie zbyt wiele. Naturalnie pomogę ci, na ile zdołam.

- Dziękuję. Mam jeszcze jedną prośbę...

- Tak? - Francesca uniosła brwi w wyrazie uprzejmego zaciekawienia. - Proszę, powiedz, o co chodzi.

- To potwornie niegrzecznie z mojej strony, wiem, ale ja... Byłoby dobrze, gdybyśmy od razu zaczęły szukać... Muszę cię prosić... to znaczy, gdybyś była tak miła i... pozwoliła mi zamieszkać u siebie. - Ceglasty rumieniec zabarwił policzki Callie i zanim Francesca zdążyła się odezwać, pospieszyła z wyjaśnieniem: - Sinclair zamierza wrócić do majątku natychmiast po załatwieniu interesów w Londynie, ale ja wolałabym zostać i zająć się realizacją mojego planu. Nie mogę mieszkać w Lilles House sama, a gdyby nawet babka zechciała mi towarzyszyć... powiem szczerze, nie chcę tego. Będzie śledzić każdy mój krok, rozprawiać o zaletach tego lub tamtego

kandydata... Równie uciążliwe jak powrót do Marcasde i wysłuchiwanie pouczeń, co jest moim obowiązkiem.

- Doskonale cię rozumiem - zapewniła ją Francesca. - Możesz zamieszkać u mnie. Będziemy się dobrze bawić, planując rozgrywkę i robiąc zakupy. Zrobimy przegląd odpowiednich kandydatów. Z przyjemnością będę cię gościł, nie wiem tylko, czy zyskamy zgodę Rochforda.

- Dlaczego? Nie jest ze mnie zbyt zadowolony, ale przecież nie do tego stopnia, żeby mi zakazać bywania w twoim towarzystwie. Kogo miałby zaakceptować w tej roli jak nie ciebie? A co do babki, to wynosi cię pod niebiosa, dlaczego więc miałyby mieć coś przeciwko temu?

- Bardzo sprytnie. Udam się jutro z wizytą do księżnej i przedłożę zaproszenie.

- Dziękuję! - wykrzyknęła Callie. - Jesteś naprawdę wielkoduszna.

- Nonsens. Będę szczerze cieszyła się twoją obecnością. Przed sezonem jest dość nudno, wprowadzisz przyjemne ożywienie do mojego domu. Poza tym mamy przecież nasz plan. - Uśmiechnęła się i wstając, powiedziała stanowczo: - Czas się położyć. Poślę liścik do księżnej, że jesteś tutaj, nie będą się o ciebie martwić.

- Zostawiłam wiadomość dla Sinclaira, nie powinni się niepokoić, stwierdzając rano, że mnie nie ma. Podejrzewam, że jednak się zmartwią. Niedobrze, że tak wyszłam pod wpływem impulsu. Czułam jednak, że nie wytrzymam ani chwili dłużej!

- Znam to uczucie - powiedziała uspokajająco Francesca. - Mądrze zrobiłaś, zostawiając liścik. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby napisać drugi, tak by Rochford wiedział, że dotarłaś bezpiecznie do mojego domu i nic ci nie grozi.

- Dziękuję. Jesteś bardzo uprzejma... - Callie uśmiechnęła się łobuzersko - tym bardziej że tym samym upoważniasz go do złożenia ci wizyty jutro o poranku.

Francesca nie miała wątpliwości, że słowa Callie okażą się prorocze.

Pokojówka obudziła ją rano, informując, że księżę czeka na dole.

- Wygląda jak chmura gradowa - dodała Maisie. - Fenton nie odważył się powiedzieć, że pani jeszcze nie przyjmuje, i wprowadził gościa do salonu od frontu. Sądząc po minie księcia, będzie najlepiej, jak pani szybko się ubierze, inaczej zjawi się tutaj.

- Nie niepokój się. Księżę nie złamałby w tak wulgarny sposób etykiety. Nawet gdyby dom się palił, powiedziałby: powiadom, proszę, swoją panią, że jest jakiś problem z ogniem...

Maisie roześmiała się, wyjęła prostą poranną suknię i podała ją Francesce.

- Skoro pani tak mówi, milady... Ostrzegam, że wygląda naprawdę ponuro. Francesca westchnęła. Przeczuwała, że Rochford nie zaakceptuje pomysłu Callie, aby zamie-

szkała u niej. Niezależnie od tego, co usłyszała od Callie, nie była przekonana, że Rochford uzna jej towarzystwo za odpowiednie dla siostry. Przeciwnie, przysięgłaby, że księżę uważa ją za osobę frywolną.

Po porannej toalecie włożyła suknię, a potem Maisie szybko wyszczotkowała jej włosy i upięła w prosty węzeł. Zwykle nie tak wyglądała jej toaleta przed przyjęciem gości, a już zwłaszcza zjawiając się przed Rochfordem, chciałaby wyglądać olśniewająco, ale nic w tej sytuacji nie mogła na to poradzić.

Księżę stał w salonie zwrócony twarzą do wychodzącego na ulicę okna. Ubrany jak zwykle nienagannie w ciemnoniebieski surdut i beżowe spodnie. Wysokie buty błyszczały jak lustro, węzeł fularu był nieskazitelnie zawiązany, krótko przycięte czarne włosy wyglądały schludnie i stylowo. Kiedy się odwrócił, stwierdziła, że Maisie mówiła prawdę: minę miał ponurą, spojrzenie ciemnych oczu było pełne troski.

- Dzień dobry, Rochford - powiedziała Francesca, idąc w jego kierunku, aby podać mu dłoń.

- Przepraszam za złożenie wizyty o tak wczesnej porze, lady Francesco - odparł sztywno. Ujął jej dłoń i pochylił głowę.

- Proszę się nie przejmować. Rozumiem, że jest pan... zatroskany. - Usiadła, wskazując gestem ręki sofę stojącą naprzeciwko krzesła, które zajęła.

- Rzeczywiście. Ufam, że lady Calandra czuje się dobrze.

- Ależ tak. Śpi jeszcze. Pomyślałam, że najpierw powinniśmy porozmawiać. Skinął głową i unikając jej wzroku, powiedział:

- Jestem wdzięczny za przesłanie wiadomości. Byłbym znacznie bardziej zdenerwowany dzisiejszego ranka, gdyby nie dała mi pani znać, że Calandra znalazła się cała i bezpieczna w pani domu.

Zwykle tak swobodny w obyciu, księżę zachowywał się z niezgrabną sztywnością i Francesca zrozumiała, że nie potrafi się uporać z targającymi nim uczuciami. Wbrew sobie poczuła dla niego współczucie.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ją gościć i przepraszam, że wykorzystując pani wspaniałomyślność, narzuciła się ze swoją obecnością.

- Nonsens - oświadczyła stanowczym tonem Francesca. - Nie ma mowy o narzucaniu się. Callie jest zawsze mile widziana w moim domu. Cieszy mnie, że nie wahała się do mnie zwrócić.

Choć Francesce wydawało się, że to już niemożliwe, twarz księcia przybrała jeszcze bardziej surowy wyraz.



- Przypuszczam, że powiedziała pani o tym, że się... zwaśniliśmy.

- Tak.

Ku zaskoczeniu Francuski ksiązę z głębokim westchnieniem oparł się o sofę, porzucając nienaganne maniery.

- Niech to licho porwie! - wybuchnął. - Boję się, że diablo niezręcznie postąpiłem z tą dziewczyną.

- W istocie tak to może wyglądać.

- Moja droga, mogłaby pani przynajmniej *pro forma* zapewnić mnie, że nie zachowałem się aż tak beznadziejnie.

Francesca się roześmiała. '

- Ale jaki byłby z tego pożytek? - Nachyliła się ku niemu i dotknęła uspokajająco jego ramienia. - Proszę się nie zamartwiać. Zapewniam, że to niczego nie popsuje. Callie szczerze pana kocha i martwi się waszą sprzeczką.

- Oby miała pani rację - powiedział z dużo większym ożywieniem, niż zwykł okazywać. - Zdaję sobie sprawę, że zachowałem się zbyt surowo. Nieumiejętnie z nią postąpiłem. Chciałem ją chronić.

- Dominie powtarzał mi, że tak właśnie postępują bracia - odparła Francesca. - Jako siostra mogę stwierdzić, że niekiedy opiekuńczość braci bywa wyjątkowo denerwująca. Callie jest zrównoważoną młodą kobietą, a nie świeżo wypuszczoną spod kurateli krewnych dzierlatką. Jestem pewna, że nie zrobiłaby niczego nierozsądnego.

- To nie była kwestia zaufania do Callie - odparł ksiązę ponuro. - Chodziło o mężczyznę, który z nią był.

- Dlaczego uznał go pan za nieodpowiedniego? Callie twierdzi, że to przyzwoity młody dżentelmen.

- Być może tak. - Ksiązę spojrział na Francescę i natychmiast odwrócił wzrok. - Sądzę, że nie życzy mi najlepiej. - Potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić złe myśli. - To nieważne. Po prostu kiedy go z nią zobaczyłem... Rozmówiłem się z nim rzeczywiście zbyt obcesowo. Mogę tylko mieć nadzieję, że Callie nie będzie mi tego pamiętała zbyt długo.

- Jestem pewna, że nie - odparła Francesca, zastanawiając się, dlaczego ksiązę nie chciał zdradzić, kim był ów mężczyzna.

Szukała w pamięci wrogów Rochforda, ale nikt nie przychodził jej na myśl. Ludzie woleli komuś takiemu jak on oddać przysługę, niż występować przeciwko niemu. Poza tym lepiej było nie wchodzić mu w drogę. Zresztą

książę nie powiedział, że tamten jest jego wrogiem, wyraził tylko przypuszczenie, że nie życzy mu dobrze. Jednym słowem, zachował się w zwykły dla siebie, typowo męski i niezmiernie irytujący

sposób. Ominął kwestię, ponieważ uznał, że cokolwiek złego mógłby o tamtym powiedzieć, uraziłoby jej delikatne damskie uszy. Łatwo zrozumieć, dlaczego Callie wpadła w złość.

- Mam pewien pomysł - odezwała się Francesca. - Może załagodzimy sytuację.

- Tak?

- Proszę nie patrzeć na mnie tak podejrzliwie. To nic strasznego. Zaprosiłam Callie do siebie. Mogłaby mieszkać u mnie, póki sezon się nie zacznie. A nawet dłużej, gdyby nie chciał pan zjechać do Londynu na cały czas trwania sezonu. Przypuszczam, że Callie jest nieco znudzona pobytem w Marcastle, a'księżna... cóż...

Urwała, a Rochford powiedział z ciężkim westchnieniem:

- Ach tak, księżna.

- Myślę, że to męczące dla księżnej sprawować opiekę nad tak żywą młodą kobietą jak Callie - wybrnęła dyplomatycznie Francesca. -A jej, choć z pewnością docenia, jak wiele babka dla niej robi, może być odrobinę duszno przy tak surowej kontroli.

- Wiem, i zbytnio mnie to nie dziwi. Babka nie omija żadnej okazji do udzielenia reprimendy, co tylko pogarsza sprawę. Tej zimy miała sporo czasu, by grać Callie na nerwach. Nie wiem, co jej przyszło do głowy, żeby zostać z nami, zamiast jak co roku wyjechać do Bath.

- Prawdopodobnie niepokoi się, że Callie nie wychodzi za mąż.

Rochford westchnął ponownie.

- Potrafi doprowadzić do tego, że człowiek przestaje myśleć o małżeństwie, żeby zrobić jej na złość. - Spojrzał na Francescę z ukosa i dodał z lekkim poczuciem winy: - Wyglądam na niewdzięcznika po tym, co zrobiła dla Callie i dla mnie... Przyjęła nas pod swój dach, kiedy z racji wieku należał się jej zasłużony święty spokój. Jednak trudno żyć pod jej dyktando.

- Proszę nie spodziewać się po mnie współczucia. Zna pan moich rodziców

- odrzekła lekkim tonem Francesca. - Nawiasem mówiąc, wiedząc, że księżna jest zdolna do poświęceń i niezwykle obowiązkowa, śmiem mimo to twierdzić, że wyrazi zgodę, by kto inny przez jakiś czas opiekował się jej pełną życia młodą wnuczką. Natomiast ja z radością powitam towarzystwo Callie. Miasto jest takie nudne o tej porze roku... Callie i ja mogłybyśmy chodzić do teatru i odwiedzać sklepy. Znacznie przyjemniej upłynie mi czas.

- Czy moja siostra wymogła to na pani? -spytał księżę.
- Jest pan doprawdy niezwykle podejrzliwy - stwierdziła z uśmiechem Francesca. - Callie nie ma oczywiście nic przeciwko temu,

ale mnie naprawdę będzie cieszyć jej towarzystwo. Czasem czuję się bardzo samotnie.

Księżę patrzył na nią z namysłem, a potem ku zdumieniu Franceski powiedział beznamiętnie, zupełnie jakby cała sprawa przestała go obchodzić.

- Skoro pani i Callie tak sobie życzyacie, nie mam nic przeciwko temu.

Zresztą dobrze pani wie, że siostra, nawet jeśli twierdzi inaczej, nie musi prosić mnie o pozwolenie odbycia kilkutygodniowej wizyty u przyjaciółki. Skończyła dwadzieścia jeden lat, a ja nie jestem tyranem.

- Och jestem pewna, że nie - zapewniła go Francesca. - Jednak proszę nie zapominać, iż znam pana wystarczająco długo, by zaryzykować twierdzenie, że jest pan nieco... władczy.

- Doprawdy? Poproszę o podanie chociaż jednego przykładu.

- Mogę przytoczyć tysiące. Miałam dziesięć lat, gdy jadąc na kucyku, przestraszyłam tego okropnego pawia, który paradował po trawniku przed frontem waszego domu. Zostałam pouczona, że Dancy Park to pańska własność i nie życzy pan sobie, bym niepokoiła pańskiego pawia.

- Dobry Boże, prawie zapomniałem o tym stworzeniu. Był diabelnie hałaśliwy. Aż mi trudno uwierzyć, że wtedy tak: się zachowałem. Nawiasem mówiąc, gdyby chciała pani przytoczyć więcej takich przykładów, byłbym zmuszony zauważyć, że nie znałem bardziej nieznośnego dziecka, a zatem jeśli udzieliłem reprimendy, to widocznie się należała.

Francesca zaprotestowała ze śmiechem i żartowali w ten sposób dalej, aż do salonu weszła, a właściwie niemal wbiegła Callie. Kiedy zorientowała się w sytuacji, uśmiechnęła się z ulgą.

Obudziła ją pokojówka, która przyniosła herbatę i tosty, a gdy powiedziała, że księżę mimo tak wczesnej pory już się zjawił, Callie przewidywała najgorsze. Myśl o kolejnej awanturze z bratem wydała jej się nieznośna, mimo to ubrała się najszybciej, jak mogła, i popędziła do salonu, nie chcąc, by złość Rochforda skrupiła się na Fran-cesce. Teraz, patrząc na nich oboje, powiedziała sobie w duchu, że lady Haughston w pełni zasługuje na opinię osoby zdolnej uratować każdą sytuację. Oczarowanie poirytowanego księcia najwyraźniej przyszło jej z łatwością.

- Witaj, Sinclair - powiedziała trochę nieśmiało Callie, wciąż czując się niepewnie po ich ostatniej sprzeczce.

- Callie, kochanie - powitał ją z uśmiechem. Kamień spadł jej z serca.

Podeszła do brata,

wyciągając ręce.

- Och, Sinclair, przepraszam, że wczoraj w nocy wyszłam z domu w taki sposób. Z pewnością przysporzyłam zmartwienia tobie i babci. Nie powinnam była...

Ujął jej dłonie i popatrzył na nią z czule.

- Babcia o niczym nie wie. Lokaj przyniósł mi wiadomość od lady Haughston, więc miałem pewność, że jesteś bezpieczna. Poleciałem kamerdynerowi zabronić twojej pokojówce budzić cię dzisiaj rano, a sam poszedłem do twojej sypialni i zabrałem list. Dzisiaj rano wyszedłem, zanim babcia zeszła na śniadanie. Bez wątpienia będzie zdumiona, że zdecydowałaś się złożyć razem ze mną wizytę o tak wczesnej porze, ale... - Wzruszył ramionami i przyjrzał się sukni którą pożyczyła jej Francesca. - Nie powinno być żadnego problemu, o ile oczywiście babcia nie rozpozna, że nosisz cudzą suknię.

- Wszystkie poranne suknie z muślinu są do siebie podobne - stwierdziła Callie. - Jeśli babcia coś zauważy, powiem, że zostawiłam ją przez zapomnienie po ostatnim sezonie w Lilles House i dlatego nie widywała mnie w niej w Marcastle.

- Zdolna kłamczucha - rzekł pogodnie książę. - Powinno mnie zaniepokoić, z jaką łatwością to wymyśliłaś, ale wolę się nad tym nie zastanawiać. Lady Francesca poinformowała mnie, że była uprzejma zaprosić cię, abyś u niej zamieszkała do rozpoczęcia sezonu. Nie wątpię, że bardzo spodobał ci się ten pomysł.

- Tak, istotnie - potwierdziła Callie. - Lubię Marcastle, ale...

- ...życie na wsi ci się przejadło. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś tu została, choć muszę ostrzec lady Francescę, że zaciągniesz ją do każdego sklepu na Bruton Street.

- Naprawdę źle mnie oceniasz - zaprotestowała ze śmiechem Callie.

- Może idź po pelerynę i czepek, czas wrócić do domu i się spakować.

Pewnie chciałabyś też przygotować dla gospodyni w Marcastle listę rzeczy, które ma tutaj przesłać.

- Och nie, po prostu kupię sobie nowe ubrania - odparła z promiennym uśmiechem Callie, odwróciła się i lekkim krokiem wyszła z salonu.

- Proszę tylko nie mówić, że pani nie ostrzegałem - zwrócił się Rochford do Franceski.

- Myślę, że potrafię się obronić, kiedy dojdzie do zakupów - zapewniła go Francesca.

- Callie ma własne dochody, z których może swobodnie czerpać na ubrania czy cokolwiek chce, ale upoważnię plenipotentą, żeby wyasygnował odpowiednie środki na wydatki domowe związane z jej utrzymaniem.

Francesca zeszywniała. Czy to możliwe, że wie o jej kłopotach  
pieniężnych? Zorientował się, jak niebezpiecznie blisko bankructwa zo-  
stawił ją mąż, kiedy umarł pięć lat temu? Że żyje na krawędzi ubóstwa,  
sprzedając „podarunki” od rodziców, wdzięcznych za bezpieczne prze-



prowadzenie córek przez pułapki sezonu towarzyskiego?

- Nonsens - powiedziała chłodno. - Nie pozwolę, żeby mój gość płacił za utrzymanie. Jak pan sobie to wyobraża?

Rochford wyprostował się i spojrzał na nią z wyniosłym wyrazem twarzy.

Istna mina udzielnego księcia, jak ją określiła wczoraj Callie, pomyślała Francesca i omal nie zachichotała pomimo zażenowania, które czuła.

- Droga lady Haughston - odezwał się oficjalnym tonem, jakby nie znał jej od kołyski. - Czy rzeczywiście pani ma mnie za człowieka tak całkowicie pozbawionego manier, że zdolny byłbym obarczyć panią swoją siostrą i wszelkimi wydatkami związanymi z jej pobytem? Proszę nie protestować, bo doskonale wiem, że to Callie panią poprosiła o gościnę, a nie pani ją o towarzystwo.

- Oczywiście, że nie uważam... - Urwała nagle. - To znaczy... chciałam powiedzieć...

Jakim cudem on zawsze potrafił pokierować tak sprawą, że zbijał ją z pantafelki nawet wtedy, gdy była święcie przekonana o swoich racjach? Francesca poczuła się niepewnie, zastanawiając się wbrew własnej woli, czy przypadkiem rzeczywiście go nie obraziła.

- Doskonale. W takim razie to uzgodnione. - oświadczył księżę i skinął jej głową.

- Ale...

- Dopilnuję, żeby plenipotent poczynił odpowiednie ustalenia z pani kamerdynerem. Zechce mi pani wybaczyć, lecz muszę panią pożegnać. Nie czekali długo na ponowne pojawienie się Callie i przez cały ten czas księżę dziękował Francescę za to, że zechciała zająć się jego siostrą, przeproszał raz jeszcze za złożenie wizyty o tak wczesnej porze, nie dopuszczał jej do głosu, prawiąc grzeczności. Złożywszy zgrabny ukłon, wyszedł wraz z Callie, a Francesca zaczęła się zastanawiać, kto tu kogo właściwie przechytrzył.

## Rozdział szósty

Powrót do Lilles House nie okazał się tak koszmarny, jak Callie się obawiała. Sinclair nie wspominał o incydencie, który zapoczątkował całą sprawę, ona również wolała go nie roztrząsać. A ponieważ brat wielkodusznie i, jak się okazało, skutecznie, ukrył przed księżną fakt, że jej wnuczka nie nocowała w domu, obyło się bez kolejnej reprimendy. Babka była oczywiście zdziwiona, że zdecydowali się na złożenie wizyty o tak wczesnej porze, a jeszcze bardziej zdziwiło ją zaproszenie lady Haughston. Zaczęła, jak należało się spodziewać, gderać, że nie rozumie, dlaczego Callie miałyby zostać w Londynie, w którym jest nudno przed sezonem, zamiast wrócić z nimi do Marcastle. Mówiła jednak bez przekonania i Callie przysięgłaby, że dostrzegła ulgę na jej twarzy. Pod wieczór księżna snuła już plany wizyt, jakie złoży znajomym w Bath, dając Rochfordowi do zrozumienia, że nie wróci z nim do Marcastle. Nadzorowanie pakowania nie zajęło Callie wiele czasu, gdyż poleciła zabrać wszystko, co ze sobą przywiozła, i kilka sukien, które były przechowywane w londyńskim domu. Jak Rochford trafnie przewidział, wręczyła mu listę rzeczy, które miano jej przywieźć z Marcastle, ale uporała się z jej sporządzeniem na tyle szybko, że gotowa była udać się do domu Franceski jeszcze tego wieczoru. Rochford towarzyszył siostrze, ale nie zabawił długo. Niemal natychmiast po przywitaniu się z Francescą pożegnał je obie, a potem wziął na stronę kamerdynera. Rozmowa trwała krótko i rozstali się obaj najwyraźniej bardzo z niej zadowoleni. Resztę wieczoru Callie i Francesca spędziły w przytulnym małym saloniku, snując plany na najbliższe dni. Pierwsze, co powinny zrobić - tu obie były zgodne - to zająć się odświeżeniem garderoby Callie. W końcu trudno wymagać, aby w nowym sezonie wystąpiła w zeszłorocznych sukniach, a skoro miała bywać wcześniej niż zwykle, powinna pomyśleć o zakupach. Następnego dnia odwiedziły najlepsze mo-dystki i krawcowe na Bruton i Conduit Street. Wróciły późnym popołudniem zmęczone i zzię-

bnięte, bo dzień był chłodny, a powietrze przesiąknięte wilgocią, mimo to niezwykle zadowolone.

- Chyba odwiedziłyśmy wszystkie modniarki w mieście - zauważyła Callie, z wdzięcznością biorąc z rąk kamerdynera filiżankę herbaty, którą zaoferował im w kilka minut po tym, jak weszły do domu.

- Jeśli nie, to wkrótce to nadrobimy - odparła Francesca. - Wciąż nie znalazłam niczego odpowiedniego na letnie popołudnia. Uważam, że z twoimi sukniami doskonale nam się udało.

- Tak, chociaż żałuję, że nie mogę nosić niczego poza bielą - uskarżała się Callie. - Tak bym chciała mieć zieloną balową suknię albo chociaż bladoróżową.

Francesca się roześmiała.

- Powinnaś być zadowolona, że biel nie kłóci się z twoimi wspaniałymi czarnymi włosami i cerą jak krew z mlekiem. Pomyśl o tym, jak fatalnie wyglądamy w niej my, blondynki. Całkiem bezbarwnie.

- Jestem pewna, że w żadnej sukni nie wyglądasz bezbarwnie - zaproponowała Callie. - Od czasu twojego debiutu panuje powszechna opinia, że jesteś niekwestionowanie najpiękniejszą kobietą w Londynie.

- Dziękuję ci, kochanie, przyjemnie to słyszeć, nawet jeśli to nieprawda. Tak czy owak, myślę, że niebieskie akcenty przy tej satynowej balowej sukni rozwiązują sprawę bieli.

- Masz rację - przyznała Callie, myśląc o projekcie Franceski na suknię z białej, połyskującej satyny: wierzchnia spódnica podpięta nad burzą białych tiulowych falbanek, w najwyższych miejscach podpięcia przytrzymana niebieskimi rozetkami, pod wysokim stanem niebieska szarfa, wreszcie obszyte z niebieskich wstążek na rękawach. - Koronki i drobne perełki na tej drugiej też są urocze. Zresztą nigdy nie miałam powodów do narzekań podczas zakupów z tobą. Znacznie to przyjemniejsze niż z babcią, która za każdym razem nalega, żeby podnieść linię dekolту.

- Masz ci los. - Francesca zrobiła zafrasowaną minę. - Czyżbym naraziła się księżnej? Nie uważam, że któraś z tych sukien ma nieskromny dekolt.

- Bo nie ma - zapewniła ją Callie. - Wszystkie panie, nawet najmłodsze debutantki, odkrywają więcej wdzięków, niż mnie kiedykolwiek babcia pozwoliła. Nie rozumiem dlaczego. Za czasów jej młodości noszono śmiało wycięcia. Na pewno nie skrytykuje sukien, które ty wybrałaś. Zawsze mi powtarza, że masz najlepsze wyczucie stylu ze wszystkich osób nadających ton towarzystwu.

- Niezwykły komplement. Wiadomo po-

wszechnie, że księżna Rochford to uosobienie elegancji.

Gawędziły jeszcze jakiś czas o najnowszych nabytkach, ciesząc się wstążkami, guzikami, przybraniami i szalami od Graftona prawie tak bardzo jak pelisą i sukniami od najlepszych krawcowych. Fenton przyniósł tacę z ciasteczkami i kanapkami. Nie przerywając rozmowy, jadły je z apetytem, popijając herbatą z cukrem i mlekiem. Skończyły posiłek, temat zakupów wreszcie się wyczerpał i Francesca, odstawiając filiżankę z herbatą, powiedziała:

- Jeśli jesteś zmęczona albo nie masz nastroju, po prostu mi powiedz, ale pomyślałam, że mogłybyśmy rozpocząć realizację naszego zamiaru wizytą w teatrze.

- Nie, już się czuję odświeżona - zapewniła ją Callie. - To wspaniała propozycja.

- Dobrze. Poślę liścik do sir Luciena. Można liczyć na jego towarzystwo - powiedziała Francesca i natychmiast przystąpiła do urzeczywistnienia planu.

Usiadła przy małym biurku stojącym pod oknem i zaczęła pisać do przyjaciela.

- Będziemy miały szansę przeprowadzić wstępne rozpoznanie - wyjaśniła, gdy skończyła list. - Zobaczymy, ilu pojawi się kawalerów wartych uwagi. Przede wszystkim musimy zdecydować, jakiego rodzaju mężczyzny szukasz, a więc jakie wymagania musi spełnić przyszły mąż.

- Nie mam przesadnych oczekiwań - zapewniła ją Callie. - Nie musi być bardzo bogaty ani pochodzić z najznamienitszych rodów Anglii. Obawiam się jednak, że powinien mieć jakiś majątek i stosowny tytuł, inaczej nie będę miała pewności, czy nie żeni się ze mną dla pieniędzy i rodzinnych koneksji.

- A co do wyglądu?

- Też nie jest aż taki ważny, chociaż byłoby miło, gdyby można było patrzeć na niego bez przykrości. Niekoniecznie przystojny, ale lubię mężczyzn o wyrazistych rysach i inteligentnie patrzących oczach. - Nieoczekiwanie Callie uświadomiła sobie, że hrabia Bromwell ma taką twarz. - Powinien umieć interesująco prowadzić rozmowę i koniecznie mieć poczucie humoru - wyliczała zdecydowanym głosem. - Nie zniosę męża, który zawsze zachowuje powagę ani za bardzo uczonego. Zbyt wielu przyjaciół Rochforda zanudza mnie dywagacjami na temat historii czy czegoś tam... - Zerknęła na Francescę i zachichotała. - Mówię jak osoba płytką...

- Wcale nie. Jestem pewna, że uczeni przyjaciele Rochforda działaliby na mnie tak samo. -Francesca złożyła list i go zapieczętowała.
- Nie chciałabym, żeby był ignorantem -

kontynuowała Callie. - Rochford nie jest nudny, dopóki nie znajdzie się w towarzystwie kogoś, z kim koresponduje, naukowca, historyka... Ale nie chcę dżentelmena, który nie potrafiłby im nic odpowiedzieć albo nawet zrozumieć, o czym Sinclair mówi. - Umilkła na chwilę. - Zdaje się, że jednak więcej wymagam, niż przypuszczałam.

- Masz do tego prawo, jesteś świetną partią. Zaslugujesz na to, by zdobył cię wyjątkowy mężczyzna. Poza tym to nam znakomicie ułatwi odsianie nieodpowiednich kandydatów. Już samo skreślenie z listy ignorantów wyeliminuje znaczną liczbę kawalerów z towarzystwa.

- Jesteś niemożliwa - zaprotestowała ze śmiechem Callie.

- Tylko szczerza - sprostowała Francesca, wstając z biurka. Pociągnęła za sznur dzwonka, żeby wezwać służącego. - Zaprosiłam sir Luciena, żeby zjadł z nami kolację przed wyjściem do teatru.

Sir Lucien był zaufanym przyjacielem Franceski, niemniej wiedziała, że aby zapewnić sobie jego towarzystwo, najlepiej zaprosić go przed wyjściem na kolację. Zdeklarowany kawaler uznawany za wyrocznie w kwestiach stylu, nie cierpiał na nadmiar funduszków po części z powodu niewysokich dochodów, ale głównie dlatego, że większość pieniędzy wydawał na ubrania i niewielki, lecz położony w najelegantszej, snobistycznej dzielnicy apartament. Nic dziwnego, że kiedy tylko mógł, jadał poza domem, czyli praktycznie niemal zawsze, gdyż ze swoim wyglądem i opinią arbitra elegancji był pożądanym gościem w towarzystwie.

Zaproszenie zostało wysłane, a Francesca i Callie poszły do swoich pokoi przygotować się na wieczór. Teatr i sztuka były oczywiście tylko pretekstem, chodziło o to, by się zorientować, kto jest obecny, i samemu zostać zauważonym, musiały więc dołożyć wszelkich starań, aby wyglądać jak najlepiej.

Krótką drzemka i okład z wody lawendowej na oczy odświeżyły twarz Callie. Wzięła kąpiel i zaczęła się ubierać z pomocą Belindy, osobistej pokojówki. Zdecydowała się na białą wieczorową suknię ozdobioną przy linii dekoltu i obrębie spódnicy białą lamówką. Żałowała, że nie może włożyć ciemnozielonych pantofelków z maroki-nu, cienko wyprawionej i tłoczonej skóry koźlej, ale zamówiła je dzisiaj i miały być gotowe dopiero za kilka dni, wybrała więc brokatowe. Stroju dopełniały pojedynczy sznur pereł i pasujące do niego kolczyki, a także elegancki wachlarz i rękawiczki. Usiadła przed toaletką, a Belinda upięła jej włosy wysoko na czubku głowy w ciasny węzeł, z którego spływało kilka długich loków, starań

nie ufryzowanych. Kilka krótszych, lekko skreconych kosmyków okalało twarz. Widać było, że Belinda dokłada starań, układając fryzurę, i Callie wiedziała, że to z powodu Maisie, osobistej pokojówki Franceski, która słynęła jako mistrzyni w tej dziedzinie. Callie podziękowała Belindzie i zeszła na dół.

Sir Lucien sączył kieliszek sherry i gawędził z Francescą. Zerwał się na równe nogi, ledwie Callie weszła, i wykonał z wdziękiem elegancki ukłon.

- Lady Calandra! Nie wyobraża sobie pani, jaką przyjemność sprawia mi fakt, że wolno mi towarzyszyć dwóm tak pięknym damom w teatrze.

Gwiazdy zaiste muszą mi sprzyjać.

- Sir Lucienie - powitała go z życzliwym uśmiechem Callie.

Był dowcipny, przystojny i nie brakowało mu towarzyskiego obycia - idealny towarzysz na takie eskapady, w dodatku bardziej zainteresowany suknią niż damą, która ją nosiła. Nikt oczywiście nie rozmawiał z niezamężną dziewczyną o takich sprawach, ale Callie szybko wyczuła, że pochlebstwa sir Luciena i sztuka flirtu, którą doprowadził do perfekcji, służyły jedynie zabawie i nic się za nimi nie kryło. Nikt jak on nie potrafił docenić piękna, obojętne, twarzy, figury czy wieczorowej kreacji, ale Callie nie widziała w jego oczach tego, co czasem mogła dostrzec w oczach innych mężczyzn patrzących na kobiety. Na przykład hrabia Bromwell... W jego wzroku było coś palącego, z jego ciała emanował żar, gdy ją objął...

- Tak się cieszę, że pan przyszedł - mówiła dalej, odpędzając natrętną myśl o hrabim Brom-wellu. - Choć obawiam się, że przez nas doznały uszczerbku plany innych pań...

- Rzeczywiście miałem wziąć udział w wieczorku muzycznym pani Doddington - odparł bez skrępowania sir Lucien - ale mogę być tylko wdzięczny za ratunek. Przekąski w tym domu są, co prawda, znakomite... Nawiasem mówiąc, Lethingham od lat dokłada daremnych trudów, by ściągnąć do siebie jej kucharza: Gospodyni jednak nalega, by córki przyczyniły się do uświetnienia wieczoru, i doprawdy jest to trudny moment.

W ten sposób prowadził konwersację podczas kolacji. Był to kolejny powód, dla którego zapraszano go tak często: potrafił ożywić naj-nudniejsze przyjęcie. Po miesiącach spędzonych w Marcastle Callie chętnie go słuchała. Znał najświeższe ploteczki i wiedział o wszystkim, co się wydarzyło w *beau monde* - który dżentelmen siedział na walizkach,



gotowy zrezygnować na wieś, by uchronić się przed roszczeniami wierzycieli  
i więzieniem za długi; czyja żona

powiła dziecię przedziwnie niepodobne do męża; potomek którego znamienitego rodu został wyzwany na pojedynek za oszukiwanie przy grze w karty.

Sir Lucien nie usiłował się dowiedzieć, dlaczego Callie zdecydowała się zostać w Londynie przed sezonem. Był zdania, że każda osoba przy zdrowych zmysłach musi przedłożyć życie w Londynie nad pobyt w wiejskim majątku, choćby nie wiem jak pięknym i rozległym. Kiedy już zasiedli w teatralnej łoży i Callie z Francescą zaczęły wymieniać uwagi na temat publiczności, obudziła się w nim ciekawość. Nachylił się ku Callie.

- Drogie dziecko, czy słuch mnie nie myli, że dokonuje pani, co oczywiście w pełni zrozumiałe, oceny zgromadzonych tu dżentelmenów pod kątem zamążpójścia?

Callie zarumieniła się lekko, a Francesca odpowiedziała nonszalancko:

- Oczywiście, Lucien. A co innego robią damy w Londynie? Każdy sezon otwiera matrymonialną giełdę.

- Ale... lady Calandro? - Uniósł brwi. - Czy to możliwe, że zamierza pani złamać serca połowy Londynu, wybierając małżeński stan?

- Szczerze wątpię, że będzie to miało tak tragiczny efekt - odparła z lekkim uśmiechem Callie. - Owszem, rozważam taką możliwość.

- Czy już upatrzyła sobie pani szczęśliwca, czy cały sezon upłynie pod znakiem turnieju o pani rękę?

- Lucien... - powiedziała ostrzegawczo Francesca - jestem pewna, że nie zamierzasz rozpowiadać tej wiadomości. Nie życzę sobie szturmu zalotników do moich drzwi.

- Francesco, moja droga! - Przyłożył dłoń do piersi, robiąc zasmuconą minę.

- Jak mogłaś coś takiego pomyśleć? Oczywiście, że nie powiem ani słówka, skoro ty i lady Calandra chcecie zatrzymać to w tajemnicy. A zresztą - złośliwy uśmieszek pojawił się na jego wargach - nie zamierzam psuć sobie zabawy. - Uniósł do oczu lornetkę przyczepioną na czarnej jedwabnej wstążce do wyłogu fraka. - Kogo my tu mamy? Bertram Westin. Diabelnie przystojny, ale ponoć uwielbia grać w karty.

- Nie przepadam za nim - stwierdziła Callie. Od czasu, gdy zasiedli w łoży, rozglądała się

co jakiś czas, pilnując się, by nie robić tego zbyt często ani ostentacyjnie. Miała nadzieję, że nie wygląda to tak, jakby kogoś szukała, choć musiała przyznać, że wypatruje hrabiego Brom-wella. Nie dlatego oczywiście, żeby

brała go pod uwagę jako kandydata na męża... Po prostu stale jej się przypominał i chciała sprawdzić, czy przyszedł do teatru.  
- Są lord i lady Farrington - powiedziała

Francesca, unosząc wachlarz tak, by zakryć nim usta. - Trzecia łoża od sceny, naprzeciwko nas. Ich najstarszy syn odziedziczył fortunę. Rzadko się go widuje. Zastanawiam się dlaczego.

- Podobno jest bardzo nieśmiały - pospieszył z wyjaśnieniem sir Lucien. - Krążą pogłoski, że wybiera związki... powiedzmy, oparte na ekonomii. To łatwiejsze, niż stanąć oko w oko z młodymi damami.

- Rzeczywiście? W takim razie możemy go skreślić z listy - uznała Francesca.

- Co powiecie na sir Alastaira Surtona? - zapytał sir Lucien, zatrzymując lornetkę na mężczyźnie siedzącym poniżej nich na widowni.

- Mówi wyłącznie o swoich licznych koniach i psach - zauważyła Callie. - Lubię jazdę konną, ale czasem chciałabym porozmawiać o czymś innym.

- To zrozumiałe - zgodził się sir Lucien. - Rzeczywiście jest nudny. Obawiam się jednak, że dopóki sezon się nie zacznie, dopóty wybór będzie ograniczony.

- Robimy wstępne rozeznanie. Rekonesans. Nie tak wy, mężczyźni, to nazywacie?

- Nie ja. Nie jestem typem wojskowego. Lady Calandro, nie potrzebuje pani daleko szukać idealnego męża. Siedzi przy pani.

- Czyżbyś chciał się wpisać na listę kandydatów? - spytała sceptycznie Francesca.

- Wszyscy wiedzą, że jesteś zdeklarowanym kawalerem.

- Być może nie doznałem dotychczas odpowiedniego impulsu - stwierdził z błyskiem w oku Lucien. - Musicie jednak przyznać, drogie panie, że trudno o sympatyczniejszego albo weselszego kandydata. Do tego jestem świetnym tancerzem.

- To prawda - przyznała Callie.

- A kto lepiej niż ja nadaje się do rozmów z wszelkimi krewnymi, nawet najmodniejszymi starymi damami?

- Nikt - zgodziła się Francesca.

- I jeszcze coś - dodał triumfalnie. - Zawsze potrafiłbym doradzić w kwestii sukni balowej.

- Czegoż chcesz więcej? - spytała Callie.

- Jest tylko jeden problem, Lucien - przypomniała Francesca. - Musiałbyś stanąć przed ołtarzem.

- To rzeczywiście poważna przeszkoda

- przytaknął i dodał: - Dla kogoś tak pięknego jak lady Calandra warto się poświęcić.

- Ostrożnie. Któregoś dnia ktoś weźmie poważnie twoje żarty i cóż wtedy poczniesz?

- Zawsze można udać się na kontynent - powiedział, rzucając Callie porozumiewawcze spojrzenie.

Wciąż z uśmiechem na ustach Callie zerknęła na widownię. Zauważyła ruch w jednej z łóż.

Przez otwarte drzwi weszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był hrabia Bromwell. Serce zabiło jej mocnej, natychmiast odwróciła głowę i trzymała ją zwróconą w drugą stronę, póki nie uznała, że może dokonać ponownej inspekcji widowni.

To był naprawdę on, jej przebrany za rojalistę obrońca, tym razem w konwencjonalnym wieczorowym stroju, w czarnym fraku, oślepiająco białej koszuli, perfekcyjnie zawiązanym fularze. Wraz ze swoim towarzyszem zajął miejsce na krześle. Oparty ramieniem o parapet łoży, rozmawiał z drugim mężczyzną. Callie nie widziała jego twarzy, ale dobrze pamiętała, jak wygląda - uśmiech rodzący się w drobnych zmarszczkach wokół oczu, zanim pojawił się na ustach; szare oczy zmieniające kolor, srebrzyste albo ciemniejące jak chmura gradowa, zależnie od emocji, jakich doznawał.

- Kim są ci dwaj dżentelmeni w łoży po naszej prawej, niemal pośrodku widowni? - spytała. - Jeden ma ciemne włosy, drugi jaśniejsze, prawie blond.

Francesca odwróciła się i przebiegła oczami po widowni.

- W łoży sąsiadującej z tą, gdzie siedzi lady Whittington z córką?

Callie spojrzała, żeby sprawdzić, i tym razem zobaczyła, że hrabia Bromwell i jego towarzysz patrzą wprost na nie. Rumieniec zabarwił jej policzki. Hrabia z lekkim uśmiechem skinął głową.

- Tak - potwierdziła, starając się, by jej głos zabrzmiał obojętnie, i spuszczając wzrok na swoje dłonie.

- Znasz go? - spytała ze zdziwieniem Francesca.

- Niekoniecznie. Ja... Był na przyjęciu lady Pencully.

- A kogo na nim nie było? - spytał retorycznie sir Lucien, patrząc na obu mężczyzn. - Nie rozpoznaję tego o ciemnych włosach, a ten drugi to Archibald Tilford. - Przeniósł wzrok na Callie. - Przyjemny człowiek, ale żyje z pensji wypłacanej przez kuzyna. Zaraz... - Sir Lucien przerwał, zmarszczył czoło z namysłem i spojrzał raz jeszcze na łożę. - Tak, to może być jego kuzyn, hrabia Bromwell. Jeśli mam rację, zdecydowanie jest stosownym kandydatem.

- Hrabia Bromwell - powiedziała z zastanowieniem Francesca. - Nie sądzę, że bym... Och... - Zesztywniała lekko. - Czy to brat lady Swithington?

- Tak. - Sir Lucien skinął głową. - Rzadko bywa w Londynie, dobre dziesięć lat temu pojechał na północ do Yorkshire, kiedy odziedziczył tytuł i majątek. Niedługo po tym, jak ukończyłem Oksford. Stary lord niewiele zostawił po

śmierci, ale podobno Bromwellowi udało się odbudować rodzinną fortunę, a nawet powiększyć. Słyszałem, że tarza się w złocie.

- Jak to się stało? - spytała Callie.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparł sir Lucien, rzucając jej rozbawione spojrzenie. - Wiem tylko tyle, że rodzina wstydzi się na ten temat rozmawiać. Odium kupieckiej działalności, rozumiecie.

- Właśnie, że zupełnie nie rozumiem, dlaczego ludzie uważają za stosowne ukrywać fakt, że ktoś potrafi pomnażać majątek. Sinclair powtarza, że nie widzi powodu, dlaczego arystokratyczne urodzenie ma iść w parze z traceniem pieniędzy i popadaniem w ubóstwo.

- Pewnie dlatego, że dla niektórych szlachetne urodzenie jest jedynym powodem do chwały - stwierdził sir Lucien.

- Niestety - dorzuciła z goryczą Francesca. Spojrzała na łożę, w której siedział hrabia,

i przyjrzała się mu uważnie. Nie patrzył już w ich kierunku, rozmawiał ze swoim towarzyszem, od czasu do czasu spoglądając na ulotkę reklamującą przedstawienie. W końcu spytała powściągliwie:

- Czy chciałabyś wpisać go na naszą listę?

Callie wzruszyła ramionami, starając się przybrać obojętną minę na przekór temu, że jej serce biło żywiej, ilekroć na nią spojrzał.

- Podczas przyjęcia cioci Odellii wywarł na mnie... sympatyczne wrażenie - dokończyła niezręcznie.

Spojrzała na Francescę i zobaczyła, że ma dziwny wyraz oczu. Niepewność czy niepokój? Nie potrafiła rozpoznać. Francesca popatrzyła na sir Luciena, a potem opuściła wzrok na swoje dłonie.

- O co chodzi? - spytała Callie. - Czy coś o nim wiecie? Cięży coś na jego przeszłości?

- Nic o nim nie wiem - zapewniła ją Francesca, poprawiając się na krześle, a kiedy Callie wpatrzyła się w nią przenikliwie, dodała: - Znam jego siostrę... powierzchownie.

- Wiesz o niej coś nieprzyjemnego?

- Jak mówiłam, nie znam jej zbyt dobrze... Zdaje się, że kilka ostatnich lat spędziła w Walii w majątku dużo od siebie starszego męża. Podobno niedawno pożegnał się z tym światem

1 została wdową. Bez wątplenia pojawi się w Londynie, żeby znaleźć kolejnego bogatego męża.

Callie usłyszała nutę pogardy w głosie Franceski, co ją zastanowiło, ponieważ nie zwykła ona przejawiać skrajnych emocji. Jeśli ktoś zrobił w jej towarzystwie jadowitą uwagę na temat kogoś innego, zawsze to tuszowała, a jeśli sama była zmuszona wypowiedzieć nieprzychylną opinię, robiła to w delikatny albo żartobliwy sposób. Nie



lubiła siostry lorda Bromwella, to było oczywiste. Callie chciała kontynuować rozmowę, ale Francesca najwyraźniej nie miała na to ochoty. - Och, spektakl się zaczyna - powiedziała z ulgą, patrząc na scenę. Callie usadowiła się wygodniej, postanawiając, że wróci do tematu podczas antraktu, kiedy wypełniający skrupulatnie obowiązki dżentelmena sir Lucien pójdzie przynieść im coś do picia. Sztuka nie była zbyt interesująca i Callie nie mogła się skupić na tym, co działo się na scenie. Czuła pokusę, by spojrzeć na łożę, w której zasiadał Bromwell, ale udało jej się nad sobą zapanować. Nie powinien powziąć przekonania, że zdołał ją sobą zainteresować. Co miał przeciwko niemu Sinclair? Skoro Francesca i sir Lucien, dwie wyrocznie we wszystkim, co dotyczyło socjety, nic o nim nie wiedzieli, to całkiem nieprawdopodobne było, aby do uszu jej brata dotarły jakieś plotki. Hrabia nie mógł być znanym uwodzicielem młodych panien ani łowcą posagu, jak mogłaby wnioskować Callie po gwałtownej reakcji brata wtedy na tarasie. Zresztą w takim wypadku sir Lucien z pewnością znałby jego reputację, jeśli absurdalnie założyć, że jakimś trafem o niczym nie wiedziała Francesca. Z pewnością sir Lucien umiałby ostrzec ją w delikatny sposób, nie uchylając wymogom przyzwoitości. Jeżeli zatem nie otaczała go aura skandalu, to co miał przeciwko niemu Sinclair? Znał hrabiego, ale gdzie i jak mógł go spotkać, skoro według słów sir Luciena hrabia Bromwell spędził dziesięć lat w majątku w Yorkshire? Brat nie miał żadnych posiadłości w Yorkshire, to było pewne i raczej tam nie jeździł, w każdym Callie nic o tym nie wiedziała. Możliwe, że kiedyś Sinclair prowadził z hrabią jakieś interesy. Księżę w przeciwieństwie do większości arystokratów dbał o stan posiadłości, systematycznie też inwestował, także w imieniu Callie, pomnażając jej fortunę. Nie mógł zatem deprecjonować innego mężczyzny tylko z tego powodu, że angażował się w przedsięwzięcia, aby zarobić, choć wśród angielskiej arystokracji panowało przekonanie, że tó działalność niegodna dżentelmena. Chyba że hrabia nie postępował uczciwie w interesach... A może reakcja brata wynikała tylko z tej konkretnej sytuacji? Przecież wiedziała, jak dba o jej majątek i o nią samą. Kiedy zobaczył ją na tarasie sam na sam z mężczyzną, założył, że to musi być łajdak, nawet nic o nim nie wiedząc. Tak, to było najbardziej prawdopodobne. A jeżeli tak, to Sinclair ochłonie i po jakimś czasie, analizując sytuację, zrozumie, że zbyt pospiesz-

nie wyciągnął wnioski, postąpił niesprawiedliwie i nader pochopnie. Jej brat zawsze zachowywał się fair i z pewnością przyzna, że mylił się, sądząc po pozorach. Dotąd nie zdarzyło się, by Sinclair nie przyznał się do błędu, jeśli uznał, że go popełnił, i nie przeprosił. Doszła do wniosku, że tak też się stanie w przypadku hrabiego Bromwella. Chociaż... pamięta przecież, że Sinclair zwrócił się do hrabiego po imieniu. Zna go, nawet jeśli sir Lucien i Francesca nie. Hrabia również; sprawiał takie wrażenie, jakby spotkał już Sinclaira.

Rozważała wciąż ten problem, gdy światła na widowni rozbłysły, a w łóżach i na parterze zaczął się ruch. Sir Lucien zaproponował, że przyniesie paniom po kieliszku ratafii. Ledwo drzwi się za nim zamknęły, Callie zwróciła się do Franceski w nadziei, że uda jej się tak pokierować rozmową, aby zeszła na temat siostry hrabiego Bromwella, ale zdążyły wymienić tylko kilka uwag o przedstawieniu, bo rozległo się pukanie do drzwi.

Callie stłumiła uczucie irytacji, a Francesca uprzejmym tonem poprosiła gości, by weszli. Nic w tym nie było dziwnego; podczas przedstawień teatralnych i w operze odwiedzano się w łóżach, jednak Callie miała nadzieję, że uda się jej porozmawiać, zanim ktokolwiek się pokaże. Teraz nie pozostało jej nic innego, jak zwrócić się w stronę drzwi z uprzejmym uśmiechem.

Pojawił się w nich mężczyzna o blond włosach, którego sir Lucien rozpoznał jako pana Tilforda. Tuż za nim stał hrabia Bromwell.

## Rozdział siódmy

Callie serce podeszło do gardła, ale zdołała utrzymać na twarzy wyraz uprzejmego, chłodnego zainteresowania.

- Lady Haughston - zaczął nieśmiało młody mężczyzna o blond włosach - mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za zbyt aroganckiego. Poznaliśmy się podczas wieczorku u lady Bil-łingsley w zeszłym roku. Jestem Archibald Tilford.

Francesce obce było jego nazwisko i Callie nie żywiła wątpliwości, że nie pamięta, by ich sobie przedstawiono. Młody człowiek był wyraźnie zdenerwowany i miał tak niepewną minę, że Francesce musiało zrobić się go żal, bo uśmiechnęła się i skinęła z wdziękiem głową.

- Oczywiście, panie Tilford. Proszę, niech pan wejdzie.

- Dziękuję. Bardzo pani łaskawa - powiedział z wyraźną ulgą i wszedł do łóży, a za nim jego towarzysza.

Niewielkie pomieszczenie, w którym jednak było dotąd wystarczająco dużo miejsca, nagle wydało się Callie ciasne. Nie było dokąd zwrócić wzroku, musiała patrzeć na mężczyznę, który zajmował jej myśli od dwóch dni. Zastanawiała się, czy kostium nie dodał mu romantycznego uroku i bez niego okaże się nie tak czarujący ani tak przystojny. Tymczasem stwierdziła, że w wieczorowym ubraniu wygląda nawet bardziej atrakcyjnie. Był wysoki i szczupły, ale nie chudy i jego krawiec nie musiał nadrabiać watowaniem czy poduszkami niedostatków postury. Modne, zwężające się spodnie podkreślały muskularność nóg. Nie potrzebował ostróg ani miecza, by roztaczać wokół siebie aurę męskości.

- Lady Haughston, proszę pozwolić mi przedstawić pani mojego kuzyna Richarda, hrabiego Bromwella - kontynuował Tilford.

- Bardzo mi miło - odparła Francesca, wyciągając dłoń, a następnie wykonała gest w kierunku Callie. - Lady Calandra Lilles.

Oczy Bromwella rozbłysły na moment, gdy zwrócił się w stronę Callie i złożył przed nią pełen szacunku ukłon.

- Lady Calandra i ja już się poznaliśmy... jeśli pani pamięta, milady.

- Ależ oczywiście - potwierdziła, zadowolona, że jej głos brzmi całkiem naturalnie. - Niepodobna zapomnieć balu maskowego lady Pencully.

- Ach, w takim razie jestem w pełni usprawiedliwiona, że pana nie rozpoznałam, hrabio Bromwell - odezwała się Francesca. - Wszyscy byliśmy przebrani.

- Są jednak osoby, które robią wrażenie mimo przebrania i nie sposób ich zapomnieć - odparł gładko hrabia. - Takie jak pani, lady Haughston... Pasterka, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Rzeczywiście, nie' myli się pan.

- A lady Calandra pojawiła się jako Katarzyna Parr, mimo że jest stanowczo zbyt młoda, by wcielać się w tę damę w okresie, gdy została królową.

- Taki był twój pomysł? - zwróciła się do niej z pytaniem Francesca. - Uznałam, że przebrałaś się za Anne Boleyn.

- Po prostu za damę z okresu Tudorów. Taki był mój zamiar. To hrabia Bromwell wyniósł mnie do godności królowej.

- Ponieważ od pierwszego spojrzenia było dla mnie oczywiste, że ten tytuł pani się należy.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi łoży i pojawili się dwaj młodzi ludzie, tak że rzeczywiście zrobiło się ciasno, zwłaszcza gdy wrócił sir Lucien z kieliszkami dla Franceski i Callie. Wyglądało to zupełnie naturalnie, gdy Bromwell przesunął się w jej stronę, robiąc miejsce nowo przybyłym.

- Mówiono mi, że księżę wyjechał z Londynu - powiedział beznamiętnie. - Zdziwiłem się, zobaczywszy panią tutaj.

- Przebywam z wizytą u lady Haughston - wyjaśniła Callie. - Była tak uprzejma, by zaprosić mnie do siebie, póki sezon się nie rozpocznie i nie wróci moja rodzina.

Bromwell stał tak blisko, że musiała odchylić głowę, żeby na niego spojrzeć. W niezbyt jasnym teatralnym oświetleniu jego oczy wydały jej się ciemnoszare. Żałowała, że nie może poznać jego myśli. Czy krążyły wokół niej? Czy zobaczywszy ją, odczuł oprócz zdziwienia przyjemność?

Przyszedł z kuzynem do ich łoży, choć tamtego trudno byłoby uznać za znajomego Franceski. Callie zdawała sobie sprawę z tego, że mężczyźni przyciąga uroda Franceski, ale tym razem bez cienia próżności mogła uznać, że Bromwell przyszedł dla niej. Zresztą nie starał się stanąć blisko Franceski; manewrował tak, by znaleźć się obok niej, Callie. Ta myśl sprawiła jej radość.

- Jestem zobowiązany lady Haughston - powiedział hrabia. - Obawiałem się, że nie zoba-

czę pani więcej, zanim będę musiał wrócić na północ.

- Czy tam znajdują się pańskie posiadłości? - spytała, jakby nie uzyskała tej informacji godzinę wcześniej od sir Luciena.

- W Yorkshire. Wiem, że jestem dziwadłem wśród londyńskiego towarzystwa. Porzucam Londyn, gdy wszyscy do niego zjeżdżają na sezon. Jednak wiosna i lato to zbyt ważny okres, żeby opuszczać majątek. -

Ściągnął brwi. - Teraz robi pani zaszokowaną minę i powie, że nie miałem chyba zamiaru dać do zrozumienia, że sam zajmuję się moimi dobrami.

- Ależ nie - zaprzeczyła. - Myślę, że to jedyna sensowna możliwość. Inaczej nie można zyskać pewności, że wszystko przebiega jak należy ani że dzierżawcy są odpowiednio traktowani.

- W takim razie jest pani wyjątkową młodą damą. Zwykle słyszę, że to świadczy o niskim pochodzeniu.

- Sądząc po uśmiechu, z jakim pan to mówi, niewiele obchodzą pana takie oceny.

- Jeśli mam być szczery, w ogóle nie za bardzo obchodzi mnie, jak oceniają mnie inni - przyznał. - To jeden z powodów, dla którego nie pasuję do londyńskiej socjety.

- Nie wszyscy jej członkowie mają ciasne horyzonty - zaprotestowała Callie.

- Miło mi było się przekonać, że pani też nie - zauważył z uśmiechem.

Pochyliła głowę, żeby dłużej nie patrzeć na hrabiego, trochę zdenerwowana, że tak na nią działa, gdy się uśmiechnie. Przecież nie jest debiutantką! Od pięciu lat obracała się wśród londyńskiej śmietanki towarzyskiej i nie robiły na niej wrażenia znaczące spojrzenia oraz prowokacyjne uśmiechy. Dawno temu przestała przywiązywać wagę do komplementów, a nigdy dotąd nie brakowało jej tchu, gdy mężczyzna na nią spojrzał. Z Bromwellem było inaczej. Pod jego spojrzeniem i na widok uśmiechu serce zaczynało jej żywiej bić w piersi.

Hrabia rzucił okiem na kuzyna i zwrócił się do Callie:

- Powinienem się pożegnać. Widzę, że Archie zaczyna się denerwować.

Martwi się, czy nie przysporzę mu wstydu, zostając dłużej, niż wypada.

Chyba w ogóle zamartwia się, czy nie straciłem towarzyskiej ogłady, przebywając tyle lat poza Londynem... Jeśli kiedykolwiek ją miałem...

- Teraz mocno pan przesadza.

- Nigdy nie byłem biegły w sztuce uprzejmej konwersacji.

- To byłaby istotna przeszkoda - zgodziła się pogodnym tonem Callie. -

Niemniej podczas

balu odniosłam inne wrażenie. Doskonale pamiętam, że jest pan mistrzem w sztuce pochlebstwa.

- Żadna sztuka prawie komplementy, kiedy to prawda.

- No proszę. A nie mówiłam? Po mistrzowsku.

Uśmiechnął się.

- Czy teraz, kiedy zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni, wolno mi mieć nadzieję, że pozwoli pani złożyć sobie wizytę?

Przyjemnie było zyskać pewność, że chciałby ją zobaczyć ponownie.

Jednocześnie Callie ogarnęły wątpliwości. Sinclair stanowczo zabronił jej widywać hrabiego. Jeśli się zgodzi, postąpi wbrew życzeniom brata, czego do tej pory nie robiła, w każdym razie nie wtedy, gdy dotyczyło to poważnych spraw.

Gdyby знаła powód szczerej niechęci Sinclaira do tego mężczyzny! Czy przyjemna powierzchowność skrywała skazę na charakterze albo chorobę, o czym wiedział Sinclair, i stąd jego nerwowa reakcja, kiedy zastał ich sam na sam? Zdawała sobie sprawę z tego, że mężczyźni potrafią być całkiem inni, niż starają się pokazać. Przez pięć sezonów zyskała umiejętność oceniania ludzi, wyostrzyła intuicję. Zdarzali się jednak dżentelmeni zdolni wyprowadzić w pole nawet najbardziej pozbawioną złudzeń i ostrożną kobietę. Przekonała się też, że często opinia, jaką panie z towarzystwa mają na temat dżentelmenów, zupełnie nie pokrywa się z tą, jaką panowie mają nawzajem o sobie. Być może bezpieczniej byłoby polegać na zdaniu brata... A jednak... Wystarczyło, aby pomyślała o tym, jak Bromwell ją całował, a robiło się jej gorąco. Tęskniła za bliskością hrabiego, chciała znów poczuć jego usta na swoich. Być może było to niemoralne, niegodne i zaprzeczające wychowaniu, jakie otrzymała. Ale nic jej to nie obchodziło. Chociaż raz w życiu postanowiła zrobić coś, na co ma ochotę, a nie to, co powinna.

Callie podniosła głowę.

- Chciałabym pana znów zobaczyć - powiedziała wprost. - Umknęło panu jednak, że przebywam u lady Haughston. To ją powinien pan prosić o pozwolenie złożenia wizyty.

- Nie umknęło mi, pamiętam. Przede wszystkim zależało mi na tym, aby wiedzieć, czy pani to odpowiada.

Skłonił się przed nią i podszedł bliżej drzwi, gdzie stała Francesca, uprzejmie gawędząc z Til-fordem i jednym z nowo przybyłych mężczyzn.

Callie patrzyła, jak hrabia składa ukłon, zegnając się, jak Francesca uśmiecha się do niego, a on mówi coś jeszcze i Francesca, rzuciwszy naj-

pierw na nią szybkie spojrzenie, odpowiada mu. Zyskał pozwolenie. Reszta wieczoru wlokła się niemiłosiernie. Sztuka zupełnie nie zainteresowała Callie, a gdy zaczęła się druga przerwa, z trudem powstrzymywała się od patrzenia w kierunku łoża hrabiego. Prowadziła z roztargnieniem rozmowę z odwiedzającymi ich w łożu, nieobecna myślami. Z ulgą powitała moment, gdy przedstawienie się skończyło. W czasie drogi powrotnej milczała, Francesca również prawie się nie odzywała. Kiedy sir Lucien zaczął żartować na temat ich niezwykłej powściągliwości w rozmowie, Francesca ze słabym uśmiechem wymówiła się wyczerpującym dniem spędzonym na zakupach.

- W takim razie postaram się nie zatrzymywać pań dłużej niż to konieczne - obiecał.

Dotrzymał słowa. Odprowadził je do domu i natychmiast się pożegnał.

Weszły po schodach i Francesca zrobiła ręką zapraszający gest, pokazując na swoją sypialnię.

- Proszę, wejdz na moment.

- Dobrze.

Z lekką obawą Callie zastanawiała się, o czym chce rozmawiać Francesca. Czy Sinclair powiedział jej, że siostra nie może widywać hrabiego? Może Francesca żałowała, że zgodziła się ją gościć?

- Czy coś jest nie w porządku?

- Ależ nie - zaprzeczyła gospodyni. - Mam nadzieję, że nie spodziewasz się po mnie pouczeń.

- Wiem, że to do ciebie niepodobne, ale może powzięłaś wątpliwości co do mojego pobytu tutaj.

- Skądże! - zaprotestowała żywo lady Haughston. - Twoja obecność sprawia mi radość. Zastanawiam się tylko... - Delikatnie zarysowana pionowa zmarszczka pojawiła się na jej czole.

- Powiem po prostu. Nie jestem pewna, czy Rochford byłby zachwycony, wiedząc, że hrabia Bromwell nas odwiedzi.

- Masz coś przeciwko niemu? - spytała zaniepokojona Callie. - Czy ci się nie spodobał?

- Przeciwnie. Wyraża się wytwornie, ma dobre maniery i jest bardzo przystojny, co pewnie zauważyłaś.

Spojrzała na nią przekornie, a Callie się zaczerwieniła.

- Owszem - powiedziała.



- Nic o nim nie wiem oprócz tego, co usłyszałyśmy od Luciena. Nigdy dotąd go nie spotkałam.

Callie wiedziała, że powinna wyjawic, że Sinclair nakazał hrabiemu trzymać się od niej z daleka. Nie było to uczciwe wobec Franceski

- pozostawić ją nieświadomą życzeń księcia.

- Skoro go nie znasz, to dlaczego uważasz, że nie powinnam go widywać? - spytała z namysłem.

- Nie to, że nie powinnaś. Ja po prostu... nie jestem pewna. - Po chwili milczenia zapytała wprost: - Czy o hrabiego pokłóciłaś się z Rochfordem?

- Tak - przyznała Callie. Nie mogła kłamać przyjaciółce. - Sinclair szukał mnie i znalazł nas na tarasie. Nie było w tym nic niestosownego. Nie wyszliśmy razem. Byłam głupia na tyle, że dałam się wymanewrować na taras innemu mężczyźnie, a kiedy chciałam wrócić, stał się natrętny, złapał mnie za ramiona...

- Callie! - wykrzyknęła Francesca. - Czy on...?

- Próbował mnie pocałować. - Zaczerwieniła się ze złości i wstydu. - Byłam wściekła. Właśnie wtedy zjawił się hrabia Bromwell i posłał go do diabła. On... my... to znaczy... potrzebowałam chwili, aby ochłonąć. W tym momencie nadszedł Sinclair i zobaczył mnie z hrabią.

- Czy próbowałaś wyjaśnić sytuację Rochfordowi?

- Usiłowałam - zapewniła z rozgoryczeniem Callie. - Nie chciał mnie słuchać. Nie dał szansy się wytłumaczyć. Ani też nie podał powodu, dlaczego tak zareagował... A teraz ty mówisz, że nie spodobałaby mu się wizyta hrabiego, i też nie wyjaśniasz dlaczego.

Francesca odwróciła wzrok. Callie odniosła wrażenie, że siłą powstrzymuje się, aby czegoś nie powiedzieć.

- Ty coś wiesz. Dlaczego nie chcesz mi tego wyjawić? - spytała pośpiesznie.

- Nie mam pojęcia, z jakiego powodu Rochford tak zareagował. Poza tym nie ja powinnam ci to wyjaśniać - odparła zakłopotana Francesca.

- Wydaje mi się, że jednak coś podejrzewasz - nalegała Callie. - Mam prawo wiedzieć. Przecież to mnie dotyczy.

- Tak, oczywiście... jednak to sprawa między tobą a Rochfordem.

- Tyle że on nic nie powie. Francesca westchnęła.

- Mogę tylko podejrzewać, że chodzi nie tyle o hrabiego, co o jego siostrę. Jeśli Rochford żywi osobistą urazę do Bromwella, to naprawdę nie wiem, co mogłoby być powodem.

- Wymieniłaś już jej nazwisko, lady Smitting-ton, tak?

- Swithington - poprawiła Francesca. - Lady Daphne Swithington.

- Czyli ją znasz?

- Tak - przytaknęła Francesca. - Przebywała w Londynie podczas mojego debiutu. Chyba od roku była wdową. Pierwszy mąż był sporo od niej starszy. Dużo mówiono o jej skandalicznym

zachowaniu. Była dosłownie na ustach wszystkich. Nie potrafię ocenić, ile w tym prawdy. Jak wiesz, młodym dziewczynom, zwłaszcza debiutującym, nie powtarza się plotek, a już na pewno dotyczących spraw nieprzyzwoitych. Niemniej pamiętam, że miała reputację kobiety rozwiązłej, jeszcze zanim zmarł jej mąż.

- Romansowała?

- Tak mówiono.

- Przecież Sinclair nie może obwiniać brata za jej zachowanie! - zaprotestowała z oburzeniem Callie.

- Nie, i z pewnością tak -nie jest. Być może czuje, że hrabia ma taką samą naturę - zasugerowała Francesca.

- Przecież to tylko spekulacje. Nie wie tego na pewno.

- Nie mam pojęcia, co Rochford wie o tym mężczyźnie. Być może nie chce, aby łączono imię jego siostry z kimś, kto podchodzi niefrasobliwie do moralnych zasad. Może uważa, że nie powinnaś wychodzić za niego za mąż właśnie ze względu na skandaliczną aurę, jaką otacza lady Swithington. Skoro nie mogłabyś go poślubić, najlepiej dla ciebie będzie, żebyś się z nim nie kontaktowała.

- Ale to nie fair! - wykrzyknęła Callie. Rozgorączkowana, zaczęła chodzić po pokoju. - To nie w porządku przykładać tę samą miarkę do hrabiego tylko dlatego, że jest jej bratem. - Przystanąła i spojrzała badawczo na przyjaciółkę. - Czy ty też sądzisz, że Bromwell jest człowiekiem niegodziwym?

Francesca spojrzała na nią z urazą, ale odparła spokojnie:

- Nie znam go. Sprawia dobre wrażenie, obie jednak wiemy, że pozory mylą. Jest bratem lady Daphne, więc nie można wykluczyć, że należy do tego samego gatunku ludzi, co ona. Z drugiej strony, nie wszyscy członkowie rodziny są tacy sami. Jeden mój brat jest cudownym człowiekiem, drugi był niegodziwcem. Nie chciałabym być oceniana tak samo tylko dlatego, że jestem jego siostrą.

- Właśnie! - zawołała triumfalnie Callie. - Sama widzisz. Byłoby błędem zakładać, że Bromwell jest jak jego siostra.

- Tak, byłoby to niewłaściwe. Nie znamy jednak motywów postępowania Rochforda, a jeśli ma coś przeciwko temu, abyś widywała tego mężczyznę...

- A ja? - wybuchnęła Callie. - Czy nie liczy się, czego ja chcę? Dlaczego nie mogę sama decydować, kogo chcę widywać, z kim spędzać czas?

- Oczywiście, powinnaś mieć do tego prawo - zgodziła się Francesca.

- Przecież nie zamierzam postępować nierozsądnie. Całkiem dobrze potrafię rozpoznać, czy mężczyzna próbuje się do mnie zbliżyć dla korzyści. Zgadzasz się ze mną?
- Tak.
- Czyli w tej kwestii powinnam kierować się swoimi odczuciami, a nie Sinclaira?
- Jestem pewna, że Rochford próbuje cię chronić - odparła wymijająco Francesca.
- W to nie wątpię. Męczą mnie ci wszyscy, którzy usiłują mnie ochronić, bezustannie nakazując mi, co mam robić, a czego nie.
- To zrozumiałe.
- Chciałabym móc sama podejmować decyzje.
- Tak, kochanie, rozumiem.
- W takim razie, czy pozwolisz mi ją podjąć, czy powiesz, że on nie ma tutaj prawa wstępu? - spytała buntowniczo
- Ależ Callie! Niczego takiego nie zamierzałam powiedzieć. Po prostu uważałam, że muszę cię ostrzec. Nie byłam pewna, czy zdajesz sobie w pełni sprawę, jak do tego podchodzi Rochford.
- Tamtego wieczoru Sinclair zachował się tak, jakby nie był sobą... Kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że zwyczajnie martwił się o mnie i że to nie miało nic wspólnego z hrabią, bo zareagowałby tak samo, widząc mnie sam na sam z innym mężczyzną... W każdym razie z takim, którego dobrze nie zna.
- Być może - zgodziła się Francesca.
- Na pewno teraz żałuje swojego wybuchu. - Callie umilkła na chwilę, a potem dodała: - Nie mogę ci jednak kłamać. Sinclair zabronił mi widywać hrabiego Bromwella.
- Rozumiem. A ty go posłuchasz?
- Ja... - Callie wyprostowała się i uniosła dumnie głowę. - Zamierzam sama podjąć decyzję co do tego mężczyzny. Sinclair nie ma prawa dyrygować moim życiem. Kocham mojego brata, ale nie mogę żyć tak, jak on sobie wyobraża, że byłoby dla mnie najlepiej. Natomiast w pełni zaakceptuję twoją decyzję, jeśli nie chcesz narazić się Sinclairowi.
- Nie boję się Rochforda.
- Z pewnością, ale nie będę zdziwiona, jeśli powiesz, że nie życzysz sobie, aby Bromwell składał nam wizyty.
- Zdziwiłabym samą siebie, gdybym dopuściła do tego, że opinia księcia czy kogokolwiek innego wpłynęła na to, kogo przyjmuję we własnym

domu. Powiedziałam hrabiemu, że jest tu mile widziany, i niech tak zostanie. Jeśli twojemu bratu to się nie spodoba, cóż, nie pozostanie mu nic innego, jak zaakceptować fakt, że mną nie rządzi.

- Dziękuję ci! - Callie z rozjaśnioną twarzą podbiegła i uściskała przyjaciółkę. - Tak się cieszę, że u ciebie jestem!

- Ja też się z tego cieszę - zapewniła ją Francesca.

Callie uściskała ją ponownie, życzyła dobrej nocy i poszła do swojego pokoju. Francesca podeszła do okna. Była zmęczona, ale czuła, że jest zbyt niespokojna, by zasnąć. Odchyliła zasłonę z ciężkiego materiału i zapatrzyła się w panujące na zewnątrz ciemności. Zastanawiała się, czy podjęła słuszną decyzję. Byłoby źle, gdyby na skutek jej błędu Callie została skrzywdzona. Niepokoiła ją myśl, że hrabia Bromwell może jednak okazać się podobny do siostry. A także to, w jakim stopniu na jej decyzję, by sprzeciwić się woli Rochforda, wpłynęło szczere przekonanie, że Callie ma prawo decydować o sobie, a w jakim stopniu zastarzała uraza.

Obiecała sobie, że będzie bardzo skrupulatnie asystować Callie i Bromwellowi. Będzie uważać na najdrobniejsze sygnały świadczące o tym, że hrabia jest rozpustnikiem czy łajdakiem. Nie pozwoli skrzywdzić Callie, dopóki przebywa pod jej dachem. Czy jednak nie powinna poinformować Rochforda o Bromwellu? Z drugiej strony, nie mogła zdradzić Callie ani pisać do Rochforda lub rozmawiać z nim o wydarzeniach sprzed piętnastu lat. Bez wątplenia nie wchodzi to w rachubę, pomyślała, przypominając sobie, jak unikał wymienienia nazwiska osoby, przez którą pokłócił się z Callie. Pozostawała jeszcze taka

Mozliwość, że powie Callie, co wie. Ale jak miałaby jej rzucić prosto w twarz, że Rochford zabronił jej kontaktować się z Bromwellem, bo nie chciał, aby Callie związała się z mężczyzną, którego siostra kiedyś była jego kochanka?

## Rozdział ósmy

Dwa dni później lord Bromwell złożył im pierwszą wizytę. Zgodnie z wymogami etykiety został krócej niż pół godziny. Francesca siedziała w salonie przez cały czas, a na dziesięć minut przed tym, zanim wyszedł, kamerdyner zapowiedział lady Tollingford i jej córkę, lady Mary. Nie było cienia szansy, aby on i Callie wymienili kilka słów na osobności i cała rozmowa sprowadziła się do zwyczajowych podczas takich wizyt uwag o pogodzie, sztuce, którą oglądali przedwczoraj, gali, którą księżę Walii miał uświetnić spodziewaną za dwa tygodnie wizytę księcia z Gertensbergu-Zresztą Callie nie oczekiwała niczego więcej. Pierwsza wizyta zazwyczaj była czymś w rodzaju preludium, forpocztą długotrwałej kampanii i w miarę przedłużających się zalotów można było liczyć na akceptację kandydata przez rodziców, opiekuna czy przyzwoitkę.

Bromwell, w doskonale skrojonym ciemnoniebieskim surducie z pierwszorzędnego materiału i dopasowanych jasnobeżowych spodniach, zrobił dobre wrażenie. Był przystojny, uprzejmy i mimo lat spędzonych na wsi świetnie radził sobie z subtelnościami towarzyskiej etykiety. Grzeczny, ale nie nadskakujący ani usiłujący się przypodchlebiać. W tym, co mówił, i w sposobie, w jaki się zachowywał, nie było żadnej fałszywej nuty.

Callie widziała, patrząc na Francescę, że ta pierwsza wizyta uspokoiła ją nieco. Nikt lepiej niż lady Haughston nie orientował się w sprawach *beau monde* ani lepiej nie potrafił rozpoznać niebieskiego ptaka. Z każdą mijającą minutą Francesca wyraźnie się odprężała, uśmiechała się coraz szczerzej, a rozmowa przestała się ograniczać do wymiany grzeczności i przybrała bardziej naturalny ton.

Nazajutrz lord Bromwell odwiedził je ponownie i tym razem zaprosił na przejażdżkę odkrytym powozem po Hyde Parku. Była piąta po południu, ulubiona pora londyńczyków na spacer po parku. Wiele osób przechadzało się w alejkach, niektórzy wybrali przejażdżkę konną, ale zdecydowana większość pokazywała się

w luksusowych ekwipażach zaprzężonych w najlepsze konie. Demonstrowano wytworne stroje i popisywano się umiejętnością eleganckiego powożenia.

Byli nieco tłoczeni, ponieważ lekki powóz Bromwella został zaprojektowany do sportowej jazdy i konstrukcja miała zapewnić szybkość, a nie wygodę. Zwykle siedziały w nim dwie osoby, a nie trzy. Francesca nie dopuściła do tego, by Callie sama towarzyszyła hrabiemu, mimo że jechali odkrytym powozem w zatłoczonym Hyde Parku. Skłoniło ją to do ponownego zastanowienia się, czy przyjaciółka nie wie jednak czegoś o Bromwellu. Nie, to nieprawdopodobne, aby Francesca wiedząc coś złego o hrabim, chciała go przyjmować. Zachowywała się rygorystycznie, bo wolała, by Rochford nie miał jej nic do zarzucenia. Callie rozumiała to, a jednak żałowała, że lady Haughston tak dosłownie traktuje swoją rolę. Siedziała między nimi i mogli wymieniać tylko banalne uwagi.

Przez cały następny tydzień lord Bromwell pojawiał się wszędzie tam, gdzie i one. Złożył im wizytę jeszcze dwukrotnie. Był na raucie lady Battersea, proszonym obiedzie pani Mellenthorpe, wieczorku u Carringtonów.

Ku rozczarowaniu Callie Francesca nie odstępowała jej na krok, tak że o swobodniejszej rozmowie z Bromwellem nie było co marzyć. Intymniejszy kontakt między nimi sprowadzał się do pocałunku, który składał na jej dłoni, witając się i żegnając. Już dawno zapomniała o tak ścisłej asyście. Zaznała jej tylko w pierwszym roku po debiucie, a nawet wtedy babcia popuszczała jej nieco cugli na przyjęciach. Oczywiście Francesca robiła to w bardzo dyskretny sposób, nie demonstracyjnie, pozornie niczego nie narzucając, ale jednak jakimś sposobem zawsze stawała przy niej, gdy hrabia się pojawił. W pewnym momencie Callie pomyślała, że gdyby znaleźli się wszyscy troje na balu

1 Bromwell poprosił ją do tańca, Francesca znalazłaby sposób i na to, aby pójść z nimi na parkiet. W każdym razie o żadnym wyśliźnięciu się na słodkie *tete-d-tete* na taras czy gdziekolwiek nie było co marzyć.

Właściwie Callie powinna być wdzięczna przyjaciółce. Nawet Rochford nie miałby powodów do zdenerwowania, gdyby dowiedział się, że siostra bywała w tych samych miejscach, co Bromwell, skoro Francesca przez cały czas nie spuszczała z niej oka.

W sobotę pojechały na raut do Fotheringha-mów. Jak zawsze przy takich okazjach było dość tłoczno. Callie rozglądała się dyskretnie za hrabią



Bromwellem, ale po półgodzinie, lekko rozczarowana, doszła do wniosku, że już się nie

zjawi. Stała z Francescą, gawędząc z Irene i Gideonem, którzy również zdecydowali pozostać w Londynie, gdy zobaczyła go wchodzącego przez podwójne drzwi do salonu.

Bezwiednie zacisnęła palce na trzonku wachlarza. Obok Bromwella, z ręką wsuniętą poufale pod jego ramię, szła uderzająco piękna kobieta. Wysoka, proporcjonalnie zbudowana, z burzą miedzianych loków upiętych *a la Meduse*, była ubrana w czarną wieczorową suknię z jedwabiu, bogato ozdobioną na dole spódnicy i przy linii dekoltu czarnymi koronkami i dżetami. Śmiałe wycięcie stanika odsłaniało piękne ramiona, marszczone koronki nie skrywały całkowicie pełnych piersi. Poważna czerń doskonale podkreślała rude włosy, bladą cerę i jasnoniebieskie oczy. Usta miała może zbyt wąskie jak na skończoną piękność, ale ta drobna skaza niczego jej nie ujmowała. Spojrzała na swojego towarzysza i uśmiechnęła się do niego czule.

Callie zeszywniała, kiedy zobaczyła, że lord Bromwell odwzajemnia uśmiech. Francesca, jakby wyczuła, że coś się dzieje z Callie, spojrzała na nią, a potem podążyła za jej wzrokiem i mruknęła coś z dezaprobatą.

- Kto to... - zaczęła Irene, ale natychmiast urwała. - Ach tak, przypominam sobie. Była na balu z okazji naszych zaręczyn. Lady... - Umilkła i nie mogąc przypomnieć sobie nazwiska, spojrzała na męża.

- Mnie nie pytaj - zaprotestował Gideon. - Ja jej nie pamiętam.

- Swithington - powiedziała ostrym tonem Francesca. - Lady Daphne Swithington.

- Och! - wyrwało się Callie i sama była zdumiona ogromną ulgą, jaką poczuła. - Siostra hrabiego Bromwella.

- Tak. Najwyraźniej zjechała do Londynu na sezon - powiedziała z wyraźnym przekąsem Francesca.

Callie spojrzała na przyjaciółkę. Z całą pewnością nie chodziło tylko o nadszarpniętą reputację lady Swithington. Zresztą ze słów Franceski wynikało, że lady Daphne była zamieszana w jakiś skandal wiele lat temu i od tamtej pory nie pokazywała się w towarzystwie. Jej pojawienie się zostało zauważone, lecz nie spotkały jej wzdargliwe spojrzenia, nikt też nie odwrócił się demonstracyjnie na jej widok. Zresztą gdyby nawet w dalszym ciągu wykluczano ją z towarzystwa, Francesca, która na nikogo nie patrzyła z góry, nie odzywałaby się o niej z takim przekąsem. Jedyne, co Callie przychodziło na myśl, to że być może zmarły mąż Franceski był uwikłany w romans z lady Daphne.

Hrabia Bromwell i jego siostra ukłonili się

kilku osobom, ale nie przystanęli, dopóki nie znaleźli się przy Callie i jej towarzystwie.

- Lady Haughston, lady Calandro, niech mi będzie wolno przedstawić moją siostrę, lady Swithington - powiedział Bromwell.

- Znamy się od dawna - odparła oficjalnym tonem Francesca.

- Rzeczywiście - potwierdziła lady Daphne. Z bliska Callie dostrzegła, że jest dużo starsza,

niż z daleka się wydawało. W kącikach oczu widać było siateczkę zmarszczek, od nozdrzy do ust biegły głębokie pionowe bruzdy.

- Rzeczywiście z lady Haughston znamy się dość dobrze, prawda? - Nie czekając na odpowiedź Franceski, lady Daphne zwróciła się z uśmiechem do Callie: - Bardzo mi miło, że panią spotykam. Znam pani brata, ale pani była zbyt mała, aby mnie pamiętać. Zdradzam nasz wiek, Francesco - dodała z uśmiechem. - Nierozsądnie z mojej strony.

Francesca nawet nie próbowała się uśmiechnąć. Ignorując jej słowa, powiedziała:

- Poznała już pani lorda i lady Radbourne'ów:

- Tak, podczas przyjęcia zaręczynowego. - Lady Swithington uśmiechnęła się do nich promiennie. - Dopiero co skończyłam nosić żałobę po mężu, mimo to nie mogłam nie przyjść, skoro lady Odelia mnie zaprosiła. Przez małżeństwo jest spowinowacona z naszym ojcem. Zawsze była do nas życzliwie usposobiona, prawda, Brom? - zwróciła się z czułym uśmiechem do brata.

- Tak, lady Odelia to nieoceniona osoba. - Sarkastyczny ton hrabiego przeczył słowom.

- Bromwell... - siostra uderzyła go lekko złożonym wachlarzem - to może zostać źle odebrane.

Gideon roześmiał się.

- Niekoniecznie. Wszyscy tutaj jesteśmy spokrewnieni z lady Odelią.

- Teraz, kiedy lady Daphne bawi w Londynie, moglibyśmy pojechać w następnym tygodniu do Richmond Parku - zaproponował Bromwell. - Nasz kuzyn Tilford z pewnością się do nas przyłączy. Sprawiłoby mi ogromną przyjemność, gdyby wszyscy państwo mogli się z nami wybrać. - Spojrzał kolejno po zebranych. - Lordzie i lady Radbourne? Lady Haughston? - Na Callie popatrzył na końcu, ale już nie oderwał od niej wzroku. - Lady Calandro?

- Chętnie pod warunkiem, że pogoda dopisze - odparła, obawiając się, że Francesca powie co innego. - Muszę przyznać, że brakuje mi ruchu. Długa przejażdżka konna dobrze by nam zrobiła.

- Rzeczywiście - przyznała bez zbytniego entuzjazmu Francesca. - Niestety, ani ja, ani lady Calandra nie mamy wierzchowców. Zwykle nie

znajduję czasu na dłuższe przejażdżki w Londynie, korzystam zatem z tej rozrywki tylko w Redfields. Lady Calandra przebywa u mnie z wizytą, więc również nie ma do dyspozycji konia.

- Proszę się o to nie kłopotać - powiedział Bromwell. - Kupiłem w tym tygodniu w Tattersall kilka koni i nie odesłałem ich do majątku. Będę wdzięczny, mogąc zobaczyć je w ruchu.

- Trzymamy część naszych koni tutaj - wtrącił lord Gideon. - Jestem pewien, że wystarczy dla wszystkich.

- W takim razie dziękujemy - powiedziała z wdziękiem Francesca. - To przemiała propozycja.

Callie była pewna, że Francesca nie mówi szczerze, ale nie zamierzała się nad tym zastanawiać. Perspektywa przejażdżki konnej po rozległych zielonych terenach Richmond Parku była zbyt pociągająca. Nie tylko dlatego, że stwarzała możliwość swobodniejszych kontaktów niż wszelkiego rodzaju przyjęcia. Callie zaczynała dusić się w mieście. Kochała jeździć konno i często zażywała tej przyjemności, przebywając w wiejskich posiadłościach. W Londynie miała zwyczaj kilka razy w tygodniu kłusować wzdłuż Rotten Row, alei wyznaczonej do konnej jazdy w Hyde Parku, i teraz bardzo brakowało jej ruchu i świeżego powietrza.

Zostało zatem postanowione, że pojedą do parku w następny czwartek pod warunkiem, że deszcz im nie przeszkodzi. Bromwell i lady Daphne rozmawiali z nimi jeszcze kilka minut. Francesca była niezwykle milcząca, za to lady Daphne mówiła dużo, zdając żartobliwe sprawozdanie z podróży z mocno odległej od Londynu posiadłości zmarłego męża. Jakby wszystko sprzysięgło się, aby opóźnić jej przyjazd: najpierw trzeba było wracać po zapomniany przez niedopatrzenie kufer, potem pękło koło, wreszcie została uwięziona w wiejskiej gospodzie na trzy dni przez zimową nawałnicę.

Wkrótce Irenę i Gideon przeprosili i odeszli, a w chwilę potem uczynili to samo hrabia Bromwell i lady Swithington. Lady Daphne ujęła rękę Callie i wyraziła nadzieję, że będzie z nią mogła dłużej pogawędzić podczas wycieczki. Bromwell pochylił się nad dłonią Callie, wargi dotknęły delikatnie skóry i palce Calandry zacisnęły się mimowolnie na jego palcach. Kiedy się wyprostował, oczy mu błyszczały. Po ich odejściu przysunęła się bliżej do Franceski i powiedziała cicho:

- Jeśli nie masz ochoty, nie musisz jechać do Richmond Parku. Będą z nami Irene i Gideon, wszystko będzie w porządku. Mogę powiedzieć, że źle się poczułaś.

- I dać okazję Daphne do snucia przypuszczeń, że nie starczyło mi animuszu, żeby spędzić dzień w jej towarzystwie? Nonsens. Jakoś" to wytrzymam. - Dodała cicho, niemal do siebie, z przekąsem: - Zdradzam nasz wiek, też coś"! Jakby nie była sześć lat ode mnie starsza i nie miała najlepszych dni za sobą!

Callie uniosła wachlarz, skrywając uśmiech. Nie pamiętała, aby Francesca kiedykolwiek okazała choćby cień zawiści wobec innej kobiety. Mogła być całkowicie pewna swojej urody i miejsca wśród śmietanki towarzyskiej Londynu. Jeśli spotykała się z zazdrością ze strony innej kobiety, umiała osadzić ją w miejscu, nie okazując przy tym niesmaku czy pogardy ani nie uciekając się do złośliwości. Właściwie to podnoszące na duchu, pomyślała Callie, że nawet ktoś taki jak Francesca potrafi czasem pozwolić sobie na jawne okazanie niechęci.

Lady Daphne wydała się Callie przyjemną, przyjacielską osobą, ale nie zamierzała się dzielić tą opinią z Francescą ani też wypytywać ją wprost o powody tej jawnej niechęci. Byłoby wysoce niegrzeczne zadać tak osobiste pytanie, tym bardziej skoro Callie podejrzewała, że miało to związek ze zmarłym mężem Franceski, którego otaczała wątpliwa sława rozpustnika. Szkoda, bo Callie chętnie dowiedziałaby się, co takiego zrobiła lady Daphne, że zdołała wzbudzić we Francesce podobne uczucia.

Jednak sądząc po wyrazie twarzy przyjaciółki, ciekawość Callie miała pozostać niezaspokojona. Nawet najostrożniejsze próby wysondowania nie wchodziły w rachubę. Callie odłożyła to na później i skoncentrowała się na przyjemnych spekulacjach dotyczących przebiegu spotkania z Bromwellem w przyszły czwartek.

- No, no... - powiedziała lady Swithington, ledwie odeszli parę kroków od Calandry i Franceski. - Zainteresowałaś się siostrzyczką księcia.

Fascynujące... - Rzuciła z ukosa spojrzenie na twarz brata.

- Powinienem był cię uprzedzić, przyznaję, ale zobaczyłem je obie od razu, jak tylko weszliśmy, i nie mogłem się powstrzymać, żeby nie wykorzystać okazji. Chciałem zobaczyć, jaką robi minę na twój widok.

- Niby dlaczego? Chyba nie oczekiwałeś po kimś z rodu Lilles okazania skruchy.

- Chciałem się przekonać, czy wie, jak jej brat z tobą postąpił.

Podejrzewałem, że nie, w końcu to było wiele lat temu. Niemniej byłem ciekaw.

- I przekonałeś się?



- Nic nie wie - orzekł. - Czego nie mogę powiedzieć o lady Haughston -  
dodał, spoglądając na siostrę.

- Francesca... zawsze była skończoną gęsią. Wachlowała się od niechcenia przez cały czas, gdy szli wśród gości w przeciwny koniec salonu. Przystanęli tam i odwrócili się. Kiedy tłum nieco się przerzedził, mogli dostrzec Francescę i Callie, wciąż stojące w tym samym miejscu i pogrążone w rozmowie.

- Jakie masz plany w stosunku do miłutkiej lady Calandry? - spytała żartobliwym tonem lady Daphne. - Chyba nie zalecasz się do niej na serio?

- Och, zapewniam cię, że podchodzę do tego bardzo serio.

- Czyżbyś myślał o małżeństwie?

- Powinnaś znać mnie lepiej. Nie umiałbym cię znieważać, wiążąc się z kimś z rodu Lilles.

- Ależ dobrze cię znam! - zapewniła z uśmiechem. - Więc co zamierzasz? Odplacić księciu jego własną miarką? To chyba najlepsze, co można zrobić.

- Co masz na myśli? - spytał Bromwell, patrząc ze zdziwieniem na siostrę. - Przecież nie to, że byłbym zdolny ją uwieść i porzucić.

- Mnie się to wydaje słuszną odpłatą za to, co jej brat mi zrobił. Nie aż tak, żeby zostawić ją brzemienną i nie chcieć poślubić, ale...

- Nie. To by mnie zrównało z Rochfordem. Jestem pewien, że nie życzysz innej kobiecie podobnego losu.

- Czasem zapominam, jaki jesteś wielkoduszny. - Daphne uśmiechnęła się do brata. - Oczywiście, że nie, ale irytuje mnie myśl, że księżę za to nie zapłaci. - Spojrzała badawczo na Bromwella, który nie spuszczał oczu z lady Calandry. Skrzywiła się lekko. - Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli któremuś z Lilles wreszcie, cie utrzyma nosa.

Skinął głową. To samo powiedział przecież nie tak dawno kuzynowi Archie.

- Niemniej to nie fair wobec Callie.

- Callie?

- Tak się do niej zwracają lady Odelia i lady Haughston. Calandra brzmi zbyt surowo, nie pasuje do niej.

- Tylko mi tu nie opowiadaj, że się zaangażowałeś - oświadczyła ze złością lady Daphne.

- Nie. Przyjemna dzierlatka, ale nie jest dla mnie niebezpieczna.

- Cieszę się. Pamiętaj, że nie można ufać żadnemu z rodziny Lilles - powiedziała cierpko.

- Wiem.

Po chwili milczenia lady Daphne podjęła temat:

- Jakie są twoje prawdziwe zamiary wobec lady Calandry?
- Dostarczyć księciu powodu do niepokoju. - Na wargach Bromwella pojawił się mściwy uśmiezek. - Będzie się kręcił jak pies za włas-

nym ogonem, zastanawiając, co chce zrobić. Co mogę opowiedzieć o nim siostrze? Czy to ją do niego zniechęci albo nawet czy się od niego odwróci? Albo czy uda mi się ją w sobie rozkochać, a potem porzucić? Jak się przekonałem, mężczyzna pozbawiony honoru spodziewa się po innych takiego samego zachowania.

- Z pewnością nie ucieszy go, że się do niej zalecasz - zgodziła się lady Daphne.

- Z pewnością. Prawdę mówiąc, już zdążył mnie ostrzec, żebym tego nie robił.

- Naprawdę? - spytała zaintrygowana. - Kiedy to było? Co powiedział?

- Był jak zawsze arogancki. Kazał mi trzymać się od swojej siostry z daleka. Tak jakby wystarczyło mu się skrzywić, a cały świat miałby go słuchać.

- I co zrobiłeś?

- Chciałem wymierzyć mu policzek, ale obawiałem się, że lady Odelia może to źle przyjąć. Dwóch dżentelmenów okładających się na tarasie podczas jej balu urodzinowego popsułoby przyjęcie. A zresztą - wzruszył ramionami - znacznie zabawniej będzie podrażnić go trochę. Niech do niego dotrze, że nie wszyscy na świecie tańczą, jak im zagra... nawet jego ukochana siostrzyczka. Z pewnością doniosą mu, że go nie posłuchałem, a przede wszystkim, że ona go nie posłuchała. Spodziewam się, że popędzi z powrotem do Londynu, wściekły jak niedźwiedź, którego wykurzono z barci, a wtedy... - Uśmiechnął się mściwie. - Wtedy złoży mi wizytę.

- Liczysz na to, że wyzwie cię na pojedynek? - Lady Daphne szczerze się zaniepokoiła. - Brom, nie! Ma opinię doskonałego strzelca. Może cię zabić!

- Zapomniałaś, moja droga, że ja również jestem doskonałym strzelcem.

- Tak, wiem... Jednak ryzykować życie... to stanowczo za wiele.

- Nie sądzę, by do tego doszło. Rochford nigdy się nie pojedynkował.

Wątpię, żeby zaczął.

- A jeżeli uzna, że został wystarczająco sprowokowany?

- Znacznie bardziej prawdopodobne, że będzie chciał to załatwić na miejscu, rzucając się na mnie z pięściami. - Uśmiechnął się ponuro, zaciskając dłonie.

- Ale ostatnim razem... - zaczęła z niepokojem lady Daphne.

- Ostatnim razem - przerwał jej, zbywając jej obiekcje machnięciem ręki - miałem siedemnaście lat. Wyzwanie go było gestem uczniaka. Dorosłem, wiem, że znacznie więcej satysfakcji sprawi mi, jeśli mu porządnie przyłożę.

- Niech tak będzie, skoro tego chcesz - po-

wiedziała Daphne i wzięła brata pod ramię. - Może rzeczywiście tego nam potrzeba.

Czwartek okazał się rześki i pogodny, opromieniony niezbyt mocno grzejącym lutowym słońcem. Wymarzona pogoda na konną przejażdżkę za miasto, pomyślała uszczęśliwiona! Callie. Podniecona czekając je wyprawą do królewskiego parku, mówiła dużo i wesoło podczas śniadania. Francesca okazywała stanowczo mniej entuzjazmu, nie chciała jednak ; psuć Callie przyjemności, więc z uśmiechem potakiwała, że dzień jest prześliczny, towarzystwo będą miały niezwykle przyjemne, że jazda na koniu stwarza okazję do zaprezentowania dobrej figury.

Strój do konnej jazdy Callie był uszyty z zielonego aksamitu, nowiutki spod igły, ponieważ zamówiła go u modniarki, gdy na początku pobytu u Franceski dokonywały szaleńczych zakupów. W przeciwieństwie do modnych sukienek odcinanych pod biustem i luźno spływających do ziemi był dopasowany. Ozdobiony czarną lamówką wzdłuż linii zapięcia i przy mankietach żakiet pięknie podkreślał jej talię. Kapelusik również był zielony i tkwił zawadiacko na jej głowie, przekrzywiony na jedną stronę. Francesca, patrząc na nią, pomyślała, że wygląda w tym stroju prześlicznie i że warto pomęczyć się w towarzystwie lady Daphne, skoro hrabia Bromwell nie będzie mógł oderwać wzroku od Callie.

Godzinę później w stronę Richmond Parku wyruszyła grupka osób w doskonałych humorach. Oprócz Radbourne'ów, hrabiego Bromwella i jego siostry, Franceski, Callie i Archie Tilforda, jechali panna Bettina Swanson i jej brat Reginald, młody, roześmiany dżentelmen, świeżo po Oksfordzie. Panna Swanson z bratem i lordem Radbourne'em, który nader skwapliwie odstąpił Francesce swojego wierzchowca, zasiedli w eleganckim, wygodnym landzie.

- Gdyby umiał mówić, podziękowałby mi za to, że może go dosiadać dobry jeździec - rzekł z uśmiechem do Franceski lord Radbourne, który na skutek nieszczęśliwego splotu okoliczności wychował się w ubóstwie i nie miał możliwości nauczyć się jeździć konno tak świetnie jak większość arystokratów.

- Bellissima jest dla pani, milady - zwrócił się do Callie hrabia, biorąc ją pod ramię i prowadząc do siwej klaczy. - Mam nadzieję, że panią zadowoli. - Przelotny uśmiech zgasł szybko. - W każdym razie nosi imię bardzo dla pani odpowiednie. Jest posłuszna, ale nie łagodna. Nie byłem pewien, jakim jest pani jeźdźcem.

- Utrzymam się na koniu-odparła z krzywym uśmiechem.

- Co oznacza, że trzyma się pani w siodle jak zrosnięta z koniem, a ja będę musiał przełknąć wstyd za wybranie dla pani marnego wierzchowca - zauważył Bromwell.

Callie roześmiała się i pogłaskała Bellissimę po chrapach.

- Sądzę, że w jej przypadku to zbyteczna obawa. Dziękuję. Jestem pewna, że dokonał pan znakomitego wyboru, i będę się cieszyć każdą chwilą przejażdżki.

- Mam nadzieję... - Urwał, a po chwili zaproponował: - Proszę mi mówić Bromwell albo Brom. Wszyscy znajomi tak się do mnie zwracają.

Callie spojrzała na niego przyjemnie zaskoczona.

- Obawiam się, że nie znamy się na tyle dobrze.

- Nie? - Zobaczyła w jego oczach błysk, przypomnienie ich pocałunków. Zgasł szybko i hrabia dodał lekkim tonem: - Mam jednak nadzieję, że to nastąpi. A teraz proszę pozwolić mi sobie pomóc. - Wyciągnął ramiona i podsadził ją na siodło, a potem zajął się poprawianiem uprzęży, żeby dostosować ją do Callie.

Dla wygody zdjął rękawiczki i patrząc na jego długie, giętkie palce, poruszające się z wprawą, Callie wyobraziła sobie, że dotykają jej szyi' ramion, wracają na szyję, by ująć jej twarz. Uciekła wzrokiem, czując, jak rumieniec zabarwia jej policzki. Co za idiotyzm, skarciła się w duchu, to absurdalne, że moje myśli zawsze idą tym torem, ile razy go zobaczę. Na domiar złego musiał to wyczuć, bo posłał jej porozumiewawcze spojrzenie... A może to tylko dlatego, że pamiętał, jak zareagowała na pocałunki.

Czy mógł powziąć o niej mylne wyobrażenie? Pomyśleć, że jest doświadczona w tych sprawach? Czy jej brat nie lubił Bromwella, bo wiedział, że jest kobieciarzem? Rozpustnikiem? Czy Bromwell mógł pomyśleć, że ona jest z tego samego rodzaju? Nie bez poczucia winy przyznała, że dała mu wszelkie powody, by tak uważał. Spotkał ją idącą samotnie w środku nocy. A potem pozwoliła mu się całować bez słowa protestu, przeciwnie, ochoczo wpadła w jego objęcia.

Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że taki był w istocie powód jego zainteresowania. Który rozpustnik poświęciłby tyle wieczorów i popołudni na przyjęcia i wizyty, pod czujnym okiem trzeciej osoby? Nie, mężczyzna poszukujący łatwej zdobyczy zwróciłby swoją uwagę na bardziej dostępną kobietę. A jednak wciąż jej asystował. Czuli, że musi się za tym kryć coś więcej, głębsze zainteresowanie, do czego rozpustnik raczej nie byłby



zdolny... Ale może, przyznała uczciwie wobec samej siebie, myślę tak tylko dlatego, że chcę, aby tak było.

Podniosła głowę i spojrzała na resztę towarzystwa, dosiadając koni. Lady Swithington przyglądała się jej szczególnie uważnie. Callie odniosła wrażenie, że wręcz wrogo.

### **Rozdział dziewiąty**

Zaniepokojona Callie mimowolnie zacisnęła dłonie na cuglach i klacz przestąpiła z nogi na nogę.

- Malowniczo prezentuje się pani na koniu, lady Calandro -' powiedziała lady Daphne, uśmiechając się promiennie. Po wrogim spojrzeniu nie zostało śladu. - Pani ciemne włosy, jabłkowita klacz... Obawiam się, że nie możemy się z panią równać.

- Nic nie zaćmi pani piękności, lady Swithington - pospieszył z zapewnieniem Reginald Swanson.

- Oczywiście, że nie - zawtórował mu Archie Tilford. - To znaczy... lady Calandra również jest piękna. Rzeczywiście wygląda zachwycająco.

-Spojrzał po obecnych i lekko się zaczerwienił. -Oczywiście, lady Haughston, lady Radbourne,

panna Swanson... panie są nie mniej piękne. Chodzi mi o to, że nie sposób porównywać Afrodyty z Heleną Trojańską. Z tym, że pań jest pięć, a nie dwie... - Urwał, wyraźnie zmieszany.

Lord Radbourne parsknął śmiechem i natychmiast zaczął kasłać, aby to pokryć, na co z kolei lady Radbourne zakryła dłonią usta i odwróciła się, jednak widać było, że ramiona trzęsą się jej ze śmiechu.

- Wystarczy, Archie - zwrócił się cierpkim tonem do kuzyna hrabia Bromwell. - Nie mamy aż tyle czasu, żeby pozwolić ci kontynuować. Ujmując to krócej, Archie zamierzał powiedzieć, że wszystkie obecne tu panie są uosobieniem wdzięku i piękna, a ja śmiem twierdzić, że nie ma w całym Londynie mężczyzny, który nie chciałby znaleźć się na naszym miejscu. A teraz powinniśmy wyruszyć.

Puścili się kłusem, część osób wyprzedzała powóz, część jechała za nim. Przeciskanie się przez zatłoczone ulice Londynu wymagało skupienia uwagi i początkowo nie rozmawiano wiele, z czego Callie była zadowolona, ponieważ mogła swobodnie oddać się rozmyślaniam. Zaniepokoiło ją spojrzenie lady Daphne. Zadała sobie pytanie, z jakiego powodu siostra Bromwella miałyby jej źle życzyć?

Wyjechali na przedmieścia i konwersacja się ożywiła. Callie porzuciła niepokojące myśli, zdecydowana czerpać z przejażdżki jak najwięcej przyjemności. Rozdzielili się na niewielkie grupki, po dwie, trzy osoby i rozmawiali z ożywieniem, śmiejąc się często. Callie obawiała się, żeby Francesca i lady Daphne nie znalazły się nieszczęśliwym trafem w jednej gromadce, ale lady Swithington najpierw jechała obok Reginalda Swansona, wyraźnie z nim flirtując, a potem przemieściła się w pobliże landa i próbowała flirtować z lordem Radbourne'em.

Callie zerknęła na Irenę i zobaczyła, jak ta, rzuciwszy okiem na powóz, wywróciła zabawnie oczami i kontynuowała beztroską pogawędkę z jadącą obok niej Francescą. Spojrzawszy na Gideona, Callie szybko zrozumiała ten brak zaniepokojenia. Wyglądał na śmiertelnie znudzonego i zerkał ku żonie.

Bromwell jechał obok Callie i ku jej zdumieniu Francesca najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu, ponieważ nie podjechała do nich, tylko konwersowała z Ireną. Tilford towarzyszył im obu i dzięki temu Callie i hrabia większość czasu pozostali sami.

Przez ostatni tydzień marzyła o tym, aby nadarzyła się im taka sposobność, a teraz nagle ogarnęła ją nieśmiałość i nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Całkiem nowe dla niej doświadczenie, gdyż do tej pory była w kontaktach

z innymi dość otwarta. Babcia przed każdym przyjęciem pouczała ją, żeby nie mówiła zbyt dużo i nie skupiała na sobie zainteresowania, ale Callie nie stosowała się do tych przestróg.

Zdała sobie sprawę z tego, że jej powściągliwość płynie z faktu, że być może pierwszy raz w życiu obchodzi ją to, czy jakiś mężczyzna uzna jej towarzystwo za przyjemne. Zrezygnowała z uwagi na temat pogody oraz piękna krajobrazu.

- Wspaniałą klacz pan kupił - powiedziała i natychmiast uznała, że już gorzej nie można było zacząć i że dwie pierwsze możliwości były zdecydowanie lepsze.

Na szczęście Bromwell uśmiechnął się i od razu poczuła się raźniej.

- Miałem nadzieję, że się pani spodoba. Myślałem o pani, kiedy ją kupowałem. To znaczy, myślałem o wycieczce do Richmond Parku i liczyłem na to, że pani i lady Haughston będą mogły do nas dołączyć. Kupiłem ją oczywiście dla siebie, do majątku, ale uznałem, że mogłaby pani na niej pojechać.

- Bardzo się z tego cieszę - przyznała Callie i pochyliła się, aby poklepać szyję konia i ukryć wyraz zadowolenia na twarzy, który wywołały słowa hrabiego. - Jest dobrze ułożona, a jednocześnie bardzo żywa.

- Obawiałem się, czy nie okaże się nazbyt żywa, ale wydała mi się zbyt dobra, żeby z niej zrezygnować. Z tego, co widzę, nie muszę się martwić o pani umiejętność jeździeckie.

- Ojciec kupił mi kucyka, ledwie nauczyłam się chodzić - wyjaśniła Callie. - Uwielbiał konie. Jedno z niewielu wspomnień, jakie o nim mam, to gdy idzie obok mojego kucyka, żeby mnie asekurować.

Bromwell spojrział na nią, ściągając brwi.

- Umarł młodo? To przykre.

- Tak. - Skinęła głową. - Zachorował zimą i po kilku tygodniach odszedł.

Nawet go nie zobaczyłam przed śmiercią. Matka obawiała się, że się zarażę.

- Tak mi przykro. Fatalnie, że wzbudziłem bolesne wspomnienia.

- Nie są aż tak bolesne, bo miałam pięć lat, kiedy umarł, i mgliście go pamiętam. Czasem zastanawiam się, czy w ogóle wiedziałabym, jak wyglądał, gdyby nie portret, który wisiał w pokoju matki. Zazdroszczę bratu, że miał ojca o tyle dłużej...

- Czasem kontakty z ojcem nie przysparzają radości - powiedział z goryczą hrabia.

- Czy właśnie pan... - Urwała i zerknęła na niego spłoszona, zdając sobie sprawę z tego, że chciała zadać zbyt osobiste pytanie.

- Nie przepadałem za nim, gdy żył, i nie

tęskniłem za nim, gdy umarł - odparł spokojnie Bromwell.

- Och, to okropne! Przepraszam! - wykrzyknęła Callie i impulsywnie wyciągnęła rękę w geście pocieszenia, ale natychmiast ją cofnęła, świadoma obecności innych.

- Niezbyt lojalne wobec własnego ojca mówić, że się go nie szanowało. Nie potrafię udawać. Był zimnym, bezdusznym człowiekiem, dbającym tylko o siebie i obawiam się, że niewiele znalazłoby się osób, które czuły żal, gdy odszedł. Niemniej przepraszam, nie powinienem sprowadzać naszej rozmowy na tak osobiste tory. Porozmawiajmy lepiej o pani. Rozumiem, że kontynuowała pani naukę jazdy konnej po śmierci ojca. Czy pani matka była również zapaloną miłośniczką konnej jazdy?

- Och nie... Nie przepadała za nią. Wiedziała jednak, że mnie się to podoba, a poza tym chciała, żeby wszystko było tak, jak wyobrażał to sobie ojciec. Było to dla niej ważne, bardzo go kochała. Uczył mnie ten sam stajenny, co przed śmiercią ojca, a także Sinclair. Jest nieco nad-opiekuńczy, ponieważ był dla mnie raczej jak ojciec niż brat.

- Nie uważam za nienormalne, że brat troszczy się o siostrę. Zrobiłbym wiele, aby chronić moją. - Mówiąc te słowa, hrabia spojrzał na lady Daphne, wciąż jadącą równoległe z landem.

Śmiała się z jakiegoś kalamburu pana Swan-sona, piękną głowę odrzuciła do tyłu, odsłaniając białą szyję. Nosila czarny kostium do konnej jazdy i rzeczywiście nie potrzebowała żadnych ozdób, aby podkreślić swoją urodę. Tak jak czarna balowa suknia, stanowił doskonale tło dla jej bladej cery i płomiennych loków. Nachyliła się lekko, wyciągając rękę i poklepała pana Swansona po plecach. Młody mężczyzna zaczerwienił się po korzonki włosów. Callie rzuciła okiem na jego siostrę - miała kwaśną minę. Gideon natomiast, nie zwracając uwagi na innych, siedział z wzrokiem wbitym w niedużą książkę. Callie słyszała wystarczająco wiele anegdot na temat ignorowania przez niego towarzyskich reguł, by ją ten widok zdziwił. Zdusiła uśmiech i spojrzała na Bromwella. On też miał kwaśną minę.

- Ludzie czasem źle oceniają Daphne - powiedział. - Jest serdeczna i żywa.

- Sprawia wrażenie miłej osoby - zauważyła Callie, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. - Jest bardzo piękna.

- Tak - przyznał z uśmiechem - ale płaci za to wysoką cenę. Kobiety nie darzą jej sympatią.

Callie przypomniała sobie, co Francesca mówiła o lady Swithington. A może tylko lubiła flirtować? Callie doskonale wiedziała, jak łatwo dostać się na języki londyńskiej socjety, a piękna



kobieta często wzbudza zazdrość w sercach tych, które natura mniej hojnie obdarzyła. Z drugiej strony, Bromwell jest bratem lady Daphne i naturalną koleją rzeczy chroni ją i usprawiedliwia. Callie nie mogła jednak zapomnieć wrogiego spojrzenia lady Daphne, gdy dosiadali koni. Zdecydowanie klócił się z przyjaznymi, pochlebnymi słowami i słodkim uśmiechem, który jej potem posłała. Bez względu na to podobała się jej lojalność Bromwella wobec siostry.

- Nie było więcej dzieci w waszej rodzinie? - spytała.

- Nie. Poza tym majątek leży w dość odludnej okolicy. Daphne i ja przebywaliśmy praktycznie tylko we własnym towarzystwie. Ojciec uważał, że żaden z sąsiadów nie dorównuje nam pochodzeniem, i skutecznie zniechęcał nas do kontaktów z nimi. Miał ułatwioną sytuację, bo ani jedna z tych rodzin nie mieszkała w bliskiej odległości. Moja siostra jest kilka lat ode mnie starsza, ale nie odważyłbym się tego przy niej powiedzieć - dodał z uśmiechem hrabia. - Przyzwyczaiła się mną opiekować, oczywiście do czasu. Gdy miałem siedem czy osiem lat, bardziej zajmowały ją modne suknie i uczesania niż poszukiwanie ze mną robaków czy śledzenie innych stworzeń w naszym ogrodzie. Kiedy skończyłem jedenaście lat, wyjechała do Londynu i wkrótce potem wyszła za mąż.

- Musiał pan czuć się samotnie...

- Bardzo - przyznał. - Na szczęście z natury jestem samotnikiem.

- Ja nie, a, niestety, też nie było wokół mnie dzieci w moim wieku.

Spędzałam większość czasu ze służącymi, głównie nianią i pokojówkami, co bardzo gorszyło babcię.

- I pani matkę, jak sobie wyobrażam - dodał Bromwell.

- Moja matka nie angażowała się zbyt w moje wychowanie.

- Nie angażowała? - spytał, patrząc na nią ze zdziwieniem. Po chwili dodał:

- Przepraszam, nie powinienem się dopytywać.

- Nie, chętnie o niej rozmawiam. Zwłaszcza że z rodziną nie mogę, Sinclaira to zasmuca. Tak jak i z ojcem, był z matką dłużej. Zapamiętał ją taką, jaka była przed śmiercią ojca: ciepła, serdeczna, kochająca. Ja też pamiętam spacerować z nią po ogrodzie. Pokazywała mi rośliny i kwiaty, mówiła, jak się nazywają. Uwielbiała nasz ogród. Latem zrywała kwiaty i pozwalała mi układać je razem z nią w wazonach. Zmieniła się po śmierci męża, a naszego ojca. Bardzo go kochała i żał po stracie zatruł jej życie i zgasił

radość. Było tak, jakby odeszła z nim, a z nami została tylko jej cielesna powłoka. Nic jej nie

interesowało, nawet ogród. Przestała zrywać kwiaty, nie zabierała mnie na spacer. Snuła się po ścieżkach samotnie, czasem siadała na ławce, patrząc przed siebie i niczego nie widząc... Musi uważać mnie pan za potwornie samolubną osobę, kiedy tak się uskarżam, że matka nie poświęcała mi uwagi.

- Nie uważam pani za samolubną - zapewnił ją. - Pani również przeżywała tragedię. Utratę ojca i jak słyszę, właściwie także matki.

- Tak.

Zażenowana Callie poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Od śmierci rodziców minęło wiele lat i od dawna po nich nie płakała, ale zrozumienie, jakie okazał jej Bromwell, wzbudziło w niej uczucie smutku i wdzięczności zarazem. Zamrugła powiekami, odpędzając łzy i spojrzała przed siebie, próbując się uspokoić.

- Rozumie to pan...

- Bardzo dobrze. Moja matka umarła wkrótce po moim urodzeniu.

Wychowała mnie niania. Była dla mnie jak matka, ale gdy podrosłem, zaczęli się mną zajmować guwernerzy. Wykradałem się, żeby ją zobaczyć. Była siostrą jednego z naszych dzierżawców, wdową, której dziecko zmarło w krótkim czasie po śmierci mojej matki. Oboje coś sobie daliśmy. Jej brat miał syna w moim wieku. Henry był jedyną bliską mi duszą oprócz Daphne.

- Czy widuje pan dalej Henry'ego?

- Tak - potwierdził. - Nadal jest moim jedynym przyjacielem. Zarządza moją posiadłością. Henry był zdolny. Szybko nauczył się ode mnie liczyć i czytać, przemyślałem dla niego książki. Zatrudniłem go, kiedy odziedziczyłem tytuł. Człowiek pracujący dla ojca okradał go systematycznie przez lata, bo ojciec uważał sprawdzanie rachunków za niegodne siebie. Majątek cierpiał na tym, na domiar złego obaj wraz z moim ojcem pogardzali dzierżawcami... - Bromwell urwał zakłopotany. - Proszę mi wybaczyć, nie wiem, dlaczego zacząłem panią zanudzać tak przyziemnymi sprawami. Z pewnością żałuje pani, że zgodziła się przyjąć zaproszenie na przejażdżkę.

- Ależ nie - zapewniła go szczerze. - Często słyszę, jak brat rozmawia o interesach i zarządzaniu majątkiem. Przyznaję, że kursy walut mało mnie interesują, ale co do farm, to inna sprawa. Tutaj za cyframi kryją się ludzie, mają twarze, nazwiska. Zawsze towarzyszę bratu, gdy przyjmuje dzierżawców, także w drugim dniu świąt, i witam ich wszystkich. Jak już

mówiłam, spędzałam sporo czasu ze służbą, a kiedy podrosłam,  
objeżdżałam konno ze stajennym nasze posiadłości. Znam wszystkich  
dzierżawców i ich rodziny, w każdym razie w Marcastle i Dancy Park.  
Uczciwie przyznaję, że nie jestem

tak zaznajomiona z dzierżawcami z innych majątków. Spędzałam w nich za mało czasu.

- W takim razie ile majątków posiada pani brat?

- Oprócz wiejskiej posiadłości w Szkocji,, która nie jest zbyt duża i do której Sinclair jeździ sam, żeby łowić ryby, a tak naprawdę, podejrzewam, że głównie po to, aby odpocząć od obowiązków księcia... jest jeszcze rezydencja: w Cotswolds, należąca do posagu matki. Ma być również częścią mojego posagu, jak mówi Sinclair, ale na razie to on nią zarządza. Jest majątek w Kornwalii ze starą, ponurą twierdzą, która raczej nie przypomina domu. Sinclair twierdzi, że szkoda na nią łożyć, ale są na tym terenie i niewielkie kopalnie cyny, więc jeździ na inspekcję. Jest jeszcze rezydencja w Sussex, i to chyba wszystko. Naturalnie oprócz Lilles House w Londynie, ale to przecież nie posiadłość.

- Chyba wszystko? - spytał Bromwell. - Ściągnęła mnie pani na ziemię. Byłem dumny, że udało mi się wyprowadzić na czyste wody majątek w Yorkshire i kupić dom w Londynie, a tymczasem...

- Ależ... - Callie się zarumieniła. - Nie zamierzałam się przechwalać. Brat jest księciem, więc to dlatego... Poza tym nasza rodzina zaczynała od tytułu barona i za każdym razem, gdy była wynoszona do wyższej godności, nadawano jej jednocześnie nowe ziemie... - Urwała zażenowana. - Zabrzmiało to jeszcze gorzej... Cały majątek należy do mojego brata, nie do mnie.

- Oprócz Cotswolds.

- Przepraszam, to naprawdę... - Zamilkła, nie wiedząc, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

- Proszę się nie usprawiedliwiać - powiedział ze śmiechem hrabia. - Prawda jest taka, że pochodzi pani z arystokracji.

- Nie znoszę, gdy się o mnie tak myśli. Zupełnie jakbym była... pyszna i nadęta.

- Nie sądzę, by ktokolwiek tak uważał. Jest pani czarująca.

- Raczej trajkocząca. Zwykle nie potrafię powściągnąć języka. Babcia stale mi wytyka, że to jedna z moich okropniejszych wad.

- Pani babcia chyba nie jest przyjemną osobą.

- To nie tak... Jest dumna z rodziny, do której weszła przez małżeństwo, i nie uchylała się od związanych z tym obowiązków. Nawet od wychowywania niesfornej małej dziewczynki, co spadło na nią, gdy była już w wieku, kiedy człowiek chce odpocząć od dzieci. Dlatego spodziewa się po

innych, że również będą wypełniać, co do nich należy. Niezależnie od tego, czego by pragnęli albo co ich cieszy.

- A czego pani pragnie?

- Sama dobrze nie wiem. Na pewno nie chcę poślubić nadętego osobnika tylko dlatego, że

jest księciem, a potem urodzić gromadę dzieci, by zadowolić jego rodzinę. Czasem żałuję, że nie jestem niemającą panną.

- Zabrzmiało to tak, jakby uważała pani posiadanie fortuny za nieszczęście.

- Jakbym była nierozsądnym, niewdzięcznym dzieckiem. Oczywiście, że nie byłabym szczęśliwa, nie mając pensa przy duszy albo gdybym musiała, na przykład, szyc czy coś w tym rodzaju, aby zarobić pieniądze na przeżycie. Tylko dlatego nachodzą mnie takie myśli, że czasem wydaje mi się, jakby ludzie widzieli we mnie jedynie siostrę księcia Rochforda, a nie mnie.

- Zapewniam, że kiedy na panią patrzę - powiedział poważnie Bromwell - widzę tylko panią.

Callie spojrzała na niego i odniosła wrażenie, jakby wszystko wokół znikło - droga, towarzystwo, zimowy wiejski krajobraz. Widziała tylko jego oczy, szarosrebrzyste w słonecznym świetle, okolone czarnymi, gęstymi rzęsami. Zaczęło brakować jej tchu; poczuła, że rodzi się w niej dziwne uczucie, coraz bardziej narastające, aż pomyślała, że dłużej tego nie wytrzyma. Odwróciła głowę, próbując opanować mimikę, żeby nie zdradzić światu tego, co, jak się obawiała, było aż nadto oczywiste.

- Och, dojeżdżamy - powiedział z wyraźną ulgą w głosie Bromwell.

W odpowiedzi tylko skinęła głową.

Wjechali na parkową ścieżkę. Teren opadał nieznacznie, w zasięgu wzroku nie było widać zabudowań. Rozległą przestrzeń ograniczały drzewa rosnące po jednej stronie i przed nimi, w dalekiej odległości, tam, gdzie grunt przestawał się obniżać. Wokół nie było jeszcze żywej zieleni cieszącej tu oko wczesną wiosną; drzewa, z wyjątkiem cisów, stały nagie. A jednak rozjaśniony bladym zimowym słońcem krajobraz tchnął sielskim pięknem. Stadko saren, jakby chcąc dopełnić jego piękna, unosząc głowy na ich widok, umknęło żywo.

Callie zerknęła na Bromwella i kopnąwszy konia piętami, pobudziła go do szybszego biegu. Klacz ruszyła z kopyta, wyraźnie chętna do galopu. Bromwell krzyknął coś i pomknął w ślad za Callie, zostawiając resztę towarzystwa daleko za sobą.

Callie rozkoszowała się chłodnym powietrzem, owiewającym jej policzki i miarowym ruchem końskiego grzbietu, a szybkość, z jaką pędzili, odzwierciedlała jej nastrój i uczucia, jakie Bromwell w niej wzbudził. Wiatr porwał jej czarujący, mały kapelusik, który podskakiwał w jego porywach, ale Callie roześmiała się tylko. Bromwell galopował tuż za nią i choć

zmuszała klacz do jak najszybszego biegu, wyprzedził ją i oglądając się na nią z uśmiechem, pomału



ściągnął cugle koniowi. Zrobiła to samo i wkrótce się zatrzymali. Odjechali tak daleko, że nie widzieli pozostałych, zwłaszcza że osłaniał ich uskok terenu. Dobrze się stało, pomyślała Callie, widząc, że Bromwell zwraca konia w jej kierunku. Twarz miał rozjaśnioną, minę zdecydowaną. Stał tuż przy jej klaczy, ujął dziewczynę dłońmi w talii i przesadził na swojego konia.

Objął ją jednym ramieniem, asekurując, aby nie spadła, druga ręka powędrowała do jej twarzy, przesunęła się pieszczotliwie po policzkach i włosach. Biło od niego ciepło, pierś wznosiła się w szybkim oddechu. Nie mówiąc ani słowa, spoglądał błyszczącymi oczami w Callie. Uniosła lekko twarz, czując, że jej pierś faluje równie szybko, i siedzieli tak, wpatrując się w siebie. Nagle Bromwell pochylił głowę.

Callie ogarnęła fala gorąca, zadrżała w jego objęciach z pragnienia, a jego usta zaspokajały je i jednocześnie rozbudzały. Objęła go za szyję, przyciągając bliżej do siebie. Całował ją coraz natarczywiej, aż Callie pomyślała, że nie wytrzyma tego dłużej, spali się z pożądania, które w niej wzbudził.

- Callie... Callie... - powiedział cicho, odrywając wargi od jej ust i przesuwał nimi po jej policzku. - Czekałem na to przez cały dzień... A raczej przez całe dwa tygodnie.

- Ja też.

Mruknął coś gardłowo, usłyszawszy jej odpowiedź, i przytulił ją mocniej, niecierpliwiej i zaczął całować, przesuwał dłońmi po jej piersi.

- Nie możemy - powiedział, wreszcie unosząc głowę. - Za chwilę się zjawia. Pocałował ją znowu, krótko i mocno, po czym postawił na ziemi i zeskoczył z konia,

- Musimy poszukać twojego kapelusza.

- Uhm - mruknęła z roztargnieniem, skoncentrowana na swoich odczuciach: gorących ustach, nabrzmiąłych boleśnie piersiach, dziwnym pulsowaniu w podbrzuszu.

Jej twarz pałała, wargi miała zaczerwienione i wilgotne, ciemnobrązowe oczy rozszerzone i zamglone. Zabłąkany kosmyk włosów spływał po policzku. Wyglądała jak kobieta przychwycona na prowadzeniu gry miłosnej i Cromwell znowu poczuł pożądanie. Zacisnął ręce w pięści i wreszcie powiedział chrapliwym głosem:

- Callie, nie patrz tak na mnie, bo zapomnę o wszelkim honorze.

Zamrugnęła powiekami, usiłując wrócić do rzeczywistości. Uśmiechnęła prowokująco, zanim odwróciła głowę. Wygładziła kostium do konnej jazdy, podeszła do klaczy i ujęła cugle.

Wracali tą samą drogą, którą przyjechali, prowadząc konie i nie odzywając się do siebie. Zbyt świeże było to, co się między nimi wydarzyło. Callie usiłowała upiąć kosmyki, które

wysunęły się, gdy wiatr zerwał jej kapelusz, i Bromwell ujął cugle jej klaczy, aby miała wolne ręce. Dotknął jej dłoni przelotnie, i to wystarczyło, żeby znów między nimi zaiskrzyło.

Kiedy osiągnęli szczyt niewielkiego wzniesienia, zobaczyli w oddali towarzyszy eskapady, zgromadzonych w osłoniętym miejscu na granicy drzew. Woźnica i stajenny wyładowywali kosze piknikowe, umieszczone z tyłu powozu. Callie westchnęła z ulgą, że ma jeszcze kilka dodatkowych minut, aby dojść do siebie, zanim stawi czoło ciekawskim, oceniającym spojrzeniom. Spozrzegła swój kapelusz, a Bromwell wręczył go jej, wywijając nim w żartobliwym ukłonie.

- Czy włosy w porządku? - zapytała niespokojnie, przypinając kapelusik szpilką, która na szczęście się nie zgubiła, w ten sam co przedtem zawadiacki sposób.

- Wyglądasz ślicznie - odparł, spoglądając na nią z uśmiechem.

- Nie patrz tak na mnie. Pewnie wszyscy zastanawiają się intensywnie, co robiliśmy, kiedy stracili nas z oczu.

- Mają oczywiście jakieś podejrzenia, ale nie było nas zbyt krótko, żebyśmy mogli wiele zbroić. Zapewniam cię, że moja siostra nie będzie o tym rozpowiadać.

- Podobnie jak lord i lady Radbourne i Francesca - zgodziła się Callie. - Pan Swanson jest tak zauroczony twoją siostrą, że mógł niczego nie zauważyć. Bromwell roześmiał się.

- To prawda. Zostaje panna Swanson, ale jest młoda i niedoświadczona. - Szli jakiś czas w milczeniu, zanim odezwał się znowu: - Mam nadzieję, że nie sądzisz, iż okazałem ci brak szacunku. Na ogół nie obłapiam młodych kobiet, żeby je porwać z koni, które dosiadają.

- Och, nie? - spytała, rzucając mu przekorne spojrzenie. - Poszło ci całkiem sprawnie, jakbyś miał sporą praktykę.

- Usiłuję cię przeprosić.

- Niepotrzebnie. Ja... - Odchrząknęła. - Zdaje się, że też brałam w tym udział.

- Droga lady Calandro, robi pani ze mnie pośmiewisko.

- Ja? A to w jaki sposób?

- Kiedy jestem przy pani, czuję się niebezpiecznie bliski... - Urwał.

- Niebezpiecznie bliski czego? - spytała, nie rozumiejąc.

- Zrobienia czegoś takiego, co właśnie się stało - odparł. - Albo pokazania całemu światu, że żywię wobec pani uczucia, jakich dżentelmen nie powinien okazywać publicznie.

Zmarszczyła lekko czoło, a kiedy znaczenie jego słów dotarło do niej, wykrzyknęła:

- Hrabio!

- Sama pani widzi... Tracę nawet zdolność prowadzenia z panią lekkiej konwersacji.

- Czy twierdzi pan, że niegodne dżentelmena zachowanie to moja wina? - spytała.

- Rzeczywiście nie widzę innego wytłumaczenia na moje szalone zachowanie jak tylko takie, że to pani mnie do niego doprowadza. Z pewnością jest pani świadoma, że przyprawia mężczyzn o szaleństwo.

- Przeciwnie. Akurat pan jest pierwszy -; stwierdziła sucho.

- Trudno mi to sobie wyobrazić. Te włosy, oczy - Bromwell stopniowo zwalniał kroku - usta, sposób, w jaki różchylają się w uśmiechu, tak że jedyne, o czym mogę myśleć, to by je całować.

- Brom...

Callie przystanęła, hrabia także. Wpatrywali się w siebie, czując, jak powietrze między nimi zaczyna wibrować. Wreszcie Callie z trudem odwróciła wzrok.

- Boję się, że nie ułatwiasz sytuacji - powiedziała drżącym głosem. - Że na darmo podejmujemy wysiłki, by stanąć jak gdyby nigdy nic przed przyjaciółmi.

- Masz rację - przyznał Bromwell i zaczął iść, mówiąc lekkim tonem: - A więc, lady Calandro... prześliczny dzień na zimową przejażdżkę, nieprawdaż?

Roześmiała się i poszła za nim. Rozmawiając

o niczym, dołączyli do reszty towarzystwa, a kiedy to się stało, sprawiali wrażenie, jakby nie zdarzyło się nic oprócz szaleńczej pogoni za wiatrem.

Callie dobrze wiedziała, że jest inaczej i że już nie będzie tak samo, jak było.

## Rozdział dziesiąty

Panie siedziały na rozłożonych na ziemi pledach, mężczyźni stali obok nich, czekając na Callie i Bromwella. Francesca i lady Daphne usadowiły się najdalej, jak mogły od siebie, a lekki rumieniec na policzkach przyjaciółki zdradził Callie, że nie czuła się komfortowo. Irene i panna Swanson zajmowały miejsca pośrodku. Irene starała się utrzymać całkowicie pozbawioną wyrazu minę, na twarzy panny Swanson malował się wyraz błogosławionej nieświadomości.

- Ach, lady Calandra. Bromwell. Nieznośne dzieciaki! Żeby uciekać w ten sposób! - powiedziała z ożywieniem lady Daphne, unosząc palec i grożąc im. - Narazacie się, że wezmą was na języki.

- Tylko jeżeli ktoś zacznie rozsiewać plotki, lady Daphne - zareagowała ostro Francesca, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Ależ oczywiście, że nikt z nas - odparła lady Daphne, robiąc urażoną minę.

- Wszyscy wiemy, jak to jest być młodym i pełnym temperamentu - dodała, uśmiechając się figlarnie do mężczyzn.

- Lady Swithington, nie ma powodu niepokoić się o reputację lady Calandry - wtrąciła spokojnie Irene. - Wszyscy wiedzą, że jej zachowanie jest bez zarzutu.

- Oczywiście, że tak - potwierdził lord Bromwell, podchodząc bliżej, aby usadowić się obok siostry.

Callie usiadła przy Francesce i przyjaciółka zwróciła się do niej z uśmiechem:

- Wymarzony dzień na przejażdżkę. Przyjemnie było galopować?

- Och tak - odparła Callie, wdzięczna przyjaciółce za zmianę tematu. - Klacz lorda Bromwella jest cudowna. To oczywiste, że jest doskonałym znawcą koni.

- Rzeczywiście - potwierdziła z dumą lady Daphne. - Brom doradzał mi co do koni, zresztą także mojemu mężowi, kiedy jeszcze żył.

Rozmowa zesłała, jak było do przewidzenia, na konie. Callie słuchała innych, czasem wtrącając jakąś uwagę. Nie pozwoliła sobie na wraca-

nie myślami do tego, co zaszło między nią a Bromwellem. Na to przyjdzie czas późnym wieczorem, kiedy będzie sama w swoim pokoju, rozkoszując się tajemnym wspomnieniem.

Zjedli lunch na zimno, a potem Callie, Francesca, Archie i panna Swanson poszli na spacer. Reszta towarzystwa została, aby odpocząć. Odbyli jeszcze krótką, powolną przejażdżkę po parku, zanim skierowali się z powrotem ku Londynowi.

- Przyjemna wycieczka - oświadczyła lady-Daphne.

Panna Swanson natychmiast zapewniła, że-spędziła najmiłszy dzień od momentu, gdy przyjechali do Londynu. Pan Swanson zgodził się ochocho z opinią siostry, dodając, że było kapitalnie.

- Musimy zorganizować następną - kontynuowała lady Daphne. - Co mogłoby nam dostarczyć podobnej rozrywki? Już wiem! Vauxhall Gardens! Idealne.

Panna Swanson klasnęła z aprobatą, panowie Swanson i Tilford z entuzjazmem przyznali, że to świetny pomysł. Francesca uśmiechnęła się z przymusem i mruknęła coś pod nosem.

- Może następny czwartek? - naciskała lady Daphne. - Lady Calandro, proszę się zgodzić.

Callie rzuciła okiem na przyjaciółkę, która wyraźnie nie miała ochoty przebywać w towarzystwie lady Swithington.

- Niestety, przyjęłam już czyjeś zaproszenie - schłodziła atmosferę Francesca.

- Mimo to lady Calandra może do nas dołączyć - nie ustępowała lady Daphne, nie usiłując nawet wyrazić żalu, że Francesca pozbawi ich swojego towarzystwa. - Będzie nas spora grupa, z pewnością zdołamy zapewnić młodzieży odpowiednią opiekę. Lord i lady Radbourne wybiorą się z nami, prawda?

Irenę przenosiła wzrok z Franceski na Callie i powrotem.

- Właściwie... tak, moglibyśmy.

- No proszę! - Lady Daphne spojrzała triumfująco na Francescę.

- Lady Calandra ma prawo robić to, co sprawia jej przyjemność - poinformowała ją chłodno Francesca.

Callie była w kropce. Chciałaby uczestniczyć w wyprawie, a jednocześnie czuła się winna, jakby zdradziła przyjaciółkę.

- Ja... to znaczy powinnam pójść z lady Haughston...

- Nonsens - zaprzeczyła Francesca i pochyliła się lekko na koniu, żeby poklepać Callie po ramieniu. - Nie musisz się poświęcać. Spotkam się ze znajomą.



- W takim razie postanowione. Będziemy mieli wspaniałą zabawę - stwierdził hrabia Bromwell.

Jego siostra wdała się w ożywioną dyskusję z panną Swanson na temat strojów maskaradowych i maseczek, a Callie powściągnęła klacz, zostając w tyle i dołączyła do Franceski i Irene.

- Mogę posłać lady Swithington bilecik z wiadomością, że nie przyjdę - powiedziała cicho.

- Czułabym się okropnie, psując ci przyjemność tylko dlatego, że nie mogę znieść jej towarzystwa przez kilka godzin - zaproponowała Francesca. - Nie polegałabym w najmniejszym stopniu na opiece lady Swithington, ale skoro Irene i Gideon tam będą, mogę być spokojna, że wszystko odbędzie się jak należy.

- Dopilnuję, żeby względem przyzwoitości stało się zadość - obiecała z przesadną powagą Irene.

Powszechnie było wiadome, że w Vauxhall Gardens panuje duża swoboda w zachowaniu, a nawet rozluźnienie obyczajów. Można było tam jednak spędzić przyjemny i odmienny od innych wieczór, jeśli zapewniło się sobie należyłą ochronę godnych zaufania dżentelmenów, którzy potrafiąc osadzić natrętnych młodych mężczyzn krążących pomiędzy łozami i rzucających natarczywe spojrzenia na siedzące w nich kobiety. Callie bywała w Vauxhall Gardens razem z bratem i przy każdej wizycie to miejsce wydawało się jej magiczne, z tymi wszystkimi ścieżkami, fontannami, sztucznymi ruinami skąpanymi w ciepłym świetle rozmieszczonych wzdłuż chodników i drzew latarń. W pawilonie grała orkiestra, tańczono, występowali śpiewacy, czasem chodzący po rozpiętej wysoko linie akrobaci lub żonglerzy. Ciekawa była, jak się tam poczuje nieskrępowana ścisłym nadzorem Sinclaira, a perspektywa przechadzania się po ścieżkach ogrodów w towarzystwie Bromwella była nadzwyczaj kusząca.

- Dziękuję - zwróciła się do Irene, a potem znów spojrzała na Francescę. - Jeśli rzeczywiście tak uważasz...

- Tak uważam. Nawet twoja babcia nie miałaby nic przeciwko temu, skoro będziesz w grupie. Wolałabym, abyś nie zmuszała mnie do spędzenia wieczoru z tą kobietą.

Callie rzuciła pytające spojrzenie Irene, która wzruszyła lekko ramionami.

- Dobrze - powiedziała z wdzięcznością do Franceski. - Bardzo ci dziękuję.

- Nie żartuj. Nie ma powodu, abyś rezygnowała z przyjemności, bo ja nie umiem poradzić sobie z tym, że ona gra mi na nerwach. Przyszedł czas, żeby i ja nieco wyprzedziła innych, zobaczę, czy mi to poprawi nastrój. -

Uśmiechnęła się do nich obu i ponagliła konia do biegu.

Callie patrzyła za nią, jak mija resztę ich grupki, a potem jedzie samotnie na przedzie.

- Czy znasz powód, dla którego żywi taką urazę do lady Swithington? - spytała.

- Żadnego poza tym, że lady Swithington potrafi być nieznośna - odparła Irene. - Widywałam Francescę rozmawiającą pogodnie ze znacznie bardziej dokuczliwymi osobami, wliczając w to moją bratową.

Callie знаła lady Wyngate, żonę brata Irene, Humphreya.

- Z tego, co słyszałam, reputacja lady Swithington pozostawiała nieco do życzenia - kontynuowała Irene - ale to było dawno temu. Nie pamiętam jej z tamtego okresu. Potem spędziła wiele lat w Walii, w jakimś odosobnionym zakątku, więc raczej nie mogła tam wywoływać skandali. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Jest zawziętą flirtiarą, co do tego wszyscy się zgodzą. - Głos Irene brzmiał pogodnie, zupełnie jakby jej mąż nie był obiektem umizgów lady Daphne. - Nie mam pojęcia, dlaczego miałyby to denerwować Francescę. To ja z rozkoszą bym ją spoliczkowała.

- Naprawdę? - spytała Callie, robiąc wielkie oczy.

- Tak, ale Gideon miał żalowaną minę i posyłał mi błagalne spojrzenia, abym mu przysłała na odsiecz, i w końcu mnie to rozbawiło.

Zmysłowy uśmiezek pojawił się na jej ustach, oczy rozbliły, i Callie odwróciła wzrok, czując, że zobaczyła coś nazbyt intymnego.

- Zastanawiam się, czy Franceski nie zdenerwowało to, że lady Swithington bez przerwy o tobie mówiła. Same przyjemne rzeczy, a to jaka jesteś urocza, a to jakie masz wyrafinowane maniery, jak świetnie trzymasz się w siodle. Być może chciała pomóc bratu, ale mądrzej było trzymać język za zębami, niż zwracać w ten sposób uwagę na fakt, że jesteście nieobecni. W innym towarzystwie albo gdyby nie znano cię tak dobrze, mogłoby to wzbudzić plotki.

- Rozmawialiście o nas? - Callie poczuła, jak pieką ją policzki. - Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że nas tak długo nie ma. To dlatego... Było tak przyjemnie galopować. - Odwróciła wzrok, nie mogąc spojrzeć wprost w oczy Irene.

- Nic się nie stało. Masz taką reputację, że musiałybyś zrobić coś znacznie gorszego, żeby nią zachwiać. Poza tym szybko pojawiliście się w zasięgu wzroku. Lady Swithington kilkakrotnie nadmieniła, że jesteś siostrą księcia Rochforda. Francesca musiała to uznać za zbyt nachalne.

Callie skinęła głową, lecz w dalszym ciągu uważała, że niechęć zwykle zrównoważonej

Franceski nie może wypływać tylko z takich drobiazgów. Powrót do domu przebiegł bez niespodzianek. Tym razem hrabia Bromwell trzymał się z daleka od Callie. Wiedziała, że to rozsądnie z jego strony. Nie powinien okazywać, jak bardzo jest zainteresowany Callie, zwłaszcza że towarzyszył jej przez całą drogę do parku. Niemniej brakowało jej jego obecności i żałowała, że nie będzie miała więcej wspomnień, by o nim rozmyślać, leżąc w łóżku. Pożegnał się w formalny sposób i tylko ciepły błysk w jego oczach zdradził, jakie żywi wobec niej uczucia. Odjechał z siostrą i znajomymi, a w chwilę potem pożegnali się także Irenę

1 Gideon, nie przyjmując zaproszenia Franceski na spóźnioną herbatę. Francesca i Callie, spojrzawszy jedna na drugą, zgodziły się, że najlepiej zrobią, jeśli odświeżywszy się nieco, zjedzą lekką kolację i położą wcześniej spać. Callie była zadowolona, że zostanie sama. Uwielbiała rozmowy z przyjaciółką, ale akurat teraz chciała zostać sama na sam z własnymi myślami. Weszła do wanny, do której pokojówka dolewała co jakiś czas gorącej wody z czajnika. Potem usiadła w szlafroku na niskim stołeczku przed kominkiem i zaczęła szcztokować włosy, czekając, aż wyschną. Przypominała sobie, co wydarzyło się dzisiejszego popołudnia: słowa, gesty, uśmiechy, pocałunki, wyraz szarych oczu Bromwella, gdy wpatrywał się w jej twarz. Zaczerwieniła się, wspominając, co między nimi zaszło, i własną reakcję. Nigdy dotąd niczego podobnego nie przeżywała i było to cudowne uczucie, a jednocześnie nieco zatrważające. Nie wiedziała, co jeszcze między nimi się wydarzy, ale wiedziała na pewno, że życie cieszyło ją jak nigdy przedtem i że każdego ranka budziła się z ochotą, przepelniona radosnym oczekiwaniem. To nie mogło trwać. Zdała sobie z tego sprawę. Także z tego, jak mała jest szansa, by skończyło się pomyślnie. Sinclair wcześniej czy później przyjedzie do Londynu w interesach albo dlatego, że jakaś „życzliwa dusza” doniesie mu lub babci w liście, że hrabia Bromwell usilnie asystuje lady Calandrze. Nie miała pojęcia, jak brat zareaguje na wiadomość, że wbrew jego wyraźnemu zakazowi widuje Bromwella, i wcale nie była tego ciekawa. Skóra na niej cierpła na myśl o awanturze z bratem i wołała nie rozważać, co ona robi, jeśli Sinclair każe jej wracać na resztę sezonu do Marcastle. Nie pozwoli, żeby brat dyktował jej, jak ona powinna ułożyć swoje życie, ale z drugiej strony, nie chciała na serio się skłócić

z Sinclairem. Co ona pocznie, jeśli rzeczywiście do tego dojdzie? Jeśli będzie musiała wybierać między Sinclairem a hrabią?

Zadała sobie kolejne pytanie: co będzie dla niej oznaczał wybór Bromwella? Zalecał się do niej, okazywał względy, ale do czego zmierzał? Nie była pewna, co on do niej czuje. Sprawiał wrażenie, że jest nią oczarowany, ale jak zadra tkwiła w jej głowie myśl, że Sinclair ją przed nim ostrzegął. Brat jest rozsądnym człowiekiem i nie wpada łatwo w gniew. Z takim uporem nalegał, aby nie widywała Bromwella, że musiała się zastanowić, co jest nie tak. Coś nieuchwytnego, czego nie potrafi dostrzec? Nie stara się o nią na serio? Prowadzi jakąś grę?

Nie wyjawiał, jakie ma wobec niej zamiary, ale przecież na to było zdecydowanie za wcześnie. Zresztą... czy ona sama wiedziała, jak go potraktować? Gdyby jutro poprosił ją o rękę, musiałaby się zastanowić, co mu odpowiedzieć. Kiedy jej dotykał, drżała, myśl o spotkaniu z nim przypominała ją o zawrót głowy. Gdy ją całował, rozpalał pragnienie, jakiego do tej pory nie znała, i było to czarowne uczucie. Dzień bez jego wizyty wydawał jej się pusty, a gdy stawał w drzwiach, rozjaśniała się. Czy to była miłość? A może tylko zauroczenie?

Nie wiedziała, ale była pewna, że tak właśnie chce się czuć.

Lady Swithington dotrzymała słowa i przyszła je prosić, aby dołączyły do towarzystwa udającego się do Vauxhall Gardens. Nie ograniczyła się do skreślenia słów zaproszenia, ale złożyła im wizytę. Francesca ponownie wymówiła się fikcyjnym spotkaniem ze znajomą i wyraziła nadzieję, że Callie nic nie stanie na przeszkodzie. Nie była zachwycona całym tym przedsięwzięciem. Wiedziała, że Callie bardzo chciałaby wziąć udział w eskapadzie, ale niepokoiła ją myśl, jak księżę zareaguje na wiadomość, że jego siostra spędza czas w towarzystwie jego byłej kochanki, kobiety uważanej za rozpustną...

Oczywiście wina leżała po stronie Rochforda, a nie jej, rozmyślała Francesca. To on przez swoje postępowanie znalazł się w tak niezręcznym położeniu wobec lady Swithington. Nie może się spodziewać, że ona będzie go chronić przed konsekwencjami lekkomyślności. Niemniej było jej obowiązkiem dopilnować Callie, a Francesca miała głębokie przekonanie, że lady Swithington nie jest odpowiednią towarzyszką dla żadnej młodej kobiety.

Wydawało się jednak, że *beau monde* wybaczył lady Daphne, a w każdym razie zapomniał, jaką reputacją cieszyła się piętnaście lat temu przed

poślubieniem lorda Swithingtona. Co więcej, Francesca nie miała pewności,  
czy związek

Daphne z księciem był powszechnie znany. Rochford był niezwykle dyskretnym i konserwatywnym mężczyzną i choć Daphne uganiała się za nim na oczach wszystkich, Francesca wiedziała, że znalazła się w gronie niewielu osób, które zobaczyły ich wychodzących razem po miłosnej schadzce.

Żadna z pań należących do socjety nie odmówiła Daphne wstępu do swojego domu. Lady Pencully, wyrocznia w sprawach towarzyskich, wręcz za nią przepadała. Zatem jak wytłumaczyć Callie, dlaczego nie powinna mieć do czynienia z lady Swithington i skąd taki zakaz? - głowiła się Francesca. Nie mogła przecież ujawnić tego, co Rochford wolał zatrzymać przed siostrą w tajemnicy.

Wiedziała, że powinna towarzyszyć Callie w Vauxhall, ale po wyprawie do Richmond Parku zdawała sobie sprawę z tego, jak trudno jej znieść obecność lady Swithington. Czas leczy rany i wydawałoby się, że po piętnastu latach uraza nie będzie już żywa, tymczasem z każdą godziną spędzoną z lady Daphne było coraz gorzej. Ilekroć tamta wspomniała o Rochfordzie, Francesca sztywniała, przypominając sobie, dlaczego tak nie znosi tej kobiety, a pod koniec wycieczki z trudem powstrzymywała się, aby nie wybuchnąć.

Poza tym przecież Irenę i Gideon też się tam wybierali, Callie będzie pod ich opieką, a nie lady Swithington czy jej brata. Przebranie i maseczka ochronią ją przed wścibskimi spojrzzeniami. Nikt się nie dowie, że była w Vauxhall Gardens. Reputacja Callie na tym nie ucierpi. Jeżeli Rochforda to zdenerwuje, to niech się zastanowi, co zrobił piętnaście lat temu, i ma do siebie pretensję, uznała z irytacją.

Przemyślawszy to wszystko, Francesca ostatecznie postanowiła nie brać udziału w imprezie, ale też nie odwozić od tego Callie. Czuła jednak lekki niepokój, gdy patrzyła, jak jej podopieczna wsiada do powozu lady Swithington.

Callie była całkowicie spokojna. Pożegnała się z Francescą i usadowiła wygodniej, choć jazda do domu lady Daphne, gdzie wszyscy mieli się zebrać przed wyruszeniem do ogrodów, nie powinna długo potrwać. Była ubrana w białą wieczorową suknię ozdobioną srebrnymi lamówkami, na nią narzuciła czarne domino podszyte białą satyną. Pożyczyła je od Franceski, ponieważ jej własne zostało na wsi i uważała, że to jest niezwykle eleganckie, a jednocześnie wyraziste. Spływający na plecy kaptur był podbity białą satynową podszewką i czarne loki Callie pięknie się na tym



tle prezentowały. Z maseczką zasłaniającą połowę twarzy wyglądała na osobę tajemniczą i wyrefinowaną.

Uśmiechnęła się do siebie, tak ją ta myśl rozbawiła, bo te określenia zupełnie do niej nie pasowały. Przepelniał ją entuzjazm, zupełnie jakby jechała na pierwszy bal. Pewnie było to widoczne na pierwszy rzut oka. Lokaj oczekiwał na gości przy drzwiach zbudowanego z piaskowca, rzeźbionego oświetlonego domu lady Swithington. Otworzył drzwi, a w środku powitał Callie kamerdyner i wprowadził do salonu, gdzie zebrała się spora grupka wesoło rozmawiających osób. Oprócz lady Swithington i rodzeństwa Swansonów był pan Tilford, a także dwóch młodych mężczyzn i młoda kobieta, których Callie nie знаła.

- Lady Calandra! - Lady Daphne podeszła do niej z wyciągniętymi rękami. - Tak się cieszę, że pani przyszła. Chodźmy, przedstawię pani pozostałych gości.

Obaj mężczyźni byli ubrani według najświeższej mody i nosili wymyślne dodatki: wielki jak pięść bukiet kwiatów w butonierce oraz łańcuszek od zegarka obwieszony tyłoma ozdobami, że już dawno powinien pod ich ciężarem wysunąć się z kieszonki. Wtrącali do rozmowy gwarowe określenia i śmiali się z rzucanych przez siebie uwag, a Callie pomyślała, że trzeba sporo dobrej woli, by nawet niektóre z nich uznać za zabawne. Panna Swanson i młoda kobieta o blond włosach, często wybuchająca głośnym chichotem, najwyraźniej uważały obu za czarujących i kwitowały każdy *bon mot* perlistym śmiechem.

Lady Daphne skrzywiła się lekko, gdy blondynka wydała z siebie szczególnie wścibski śmiech, i pospiesznie przystąpiła do prezentacji: panna Lucilla Turner, panowie William Pacewell i Roland Sackville. W pięć minut potem Callie zapomniała, który jest który, ale ponieważ nie zamierzała się wdawać z nimi w rozmowę, wydało się jej to nieistotne. Skinęła głową pannie Swanson i jej bratu, zadowolona, że przynajmniej ich zna, i rozejrzała się po salonie.

- Jak widzę, szuka pani mojego brata - powiedziała z porozumiewawczym uśmiechem lady Daphne. - Dołączy do nas w Vauxhall. Wie pani, jak to jest... Młodzi mężczyźni mają zwykle tyle do zrobienia.

- Tak - odparła Callie, starannie ukrywając rozczarowanie. - Lord i lady Radbourne również jeszcze nie przybyli?

- Nie, ale mamy czas. Może napije się pani czegoś, zanim się zjawią?

Lady Daphne skinęła na lokaja i wkrótce Callie stała z kieliszkiem ratafii w dłoni. Popijała ją małymi łydkami, rozmawiając z lady Daphne i czując się

nie na miejscu w tym towarzystwie. Nie była nieśmiała, ale ponieważ nikogo z obec-

nych dobrze nie znała, nie mówiła wiele, a głośna, chętna rozmowa prowadzona przez obu okazujących nadmierną pewność siebie mężczyźni szybko zaczęła ją męczyć.

Czas włókł się niemiłosiernie, a Irenę i Gideona wciąż nie było. Lady Daphne kilkakrotnie rzucając ze zniecierpliwieniem spojrzenie na zegar, zapewniała zebranych z beztróskim uśmiechem, że oczekiwanie nie potrwa długo i wkrótce przyjadą. W końcu jednak, gdy panna Turner po raz kolejny zapytała, kiedy wreszcie wyjadą, lady Swithington westchnęła i powiedziała:

- Najlepiej będzie, jeśli pojedziemy do Vauxhall. Zbliża się pora, kiedy hrabia Bromwell miał do nas dołączyć.

- A lord i lady Radbourne? - spytała Callie.

- Nie rozumiem, dlaczego nie przyjechali. Z pewnością chodzi tylko o spóźnienie. Wyślę kamerdynera z bilecikami, żeby dołączyli do nas w Vauxhall.

- Może zostanę i poczekam na nich - zaproponowała Callie, wiedząc, że Francesce nie spodobałoby się, gdyby pojechała w towarzystwie lady Swithington i nieznanymi osobami.

- Och nie! - zaprotestowała energicznie lady Daphne. - A jeśli któreś z nich zachorowało i w ogóle nie przyjadą? Straciłaby pani dobrą zabawę.

Możliwe też, że sami zorientowali się, jak bardzo są spóźnieni, i zdecydowali nie zajeżdżać do mnie, tylko się udać od razu do Vauxhall.

Chyba nie chciałaby pani siedzieć tutaj samotnie przez cały wieczór?

Rzeczywiście Callie nie uśmiechało się spędzać beczynnemu czasu w obcym domu. Powinna powiedzieć lady Swithington, że w takim razie wraca do domu Franceski, ale nie wiedziała, jak to grzecznie ująć, tak by nie dać gospodyni do zrozumienia, że ani Francesca, ani Rochford, a tym bardziej księżna wdowa, nie uważają jej towarzystwa za odpowiednie. Może lady Daphne ma rację, Irenę i Gideon wkrótce się zjawia, uznała, a ona niepotrzebnie zrezygnuje z rozrywki. Poza tym... tak bardzo chciała odbyć romantyczny spacer z hrabią Bromwellem po ścieżkach Vauxhall, oświetlonych mglistym światłem lamp. Zdobyła się na uśmiech i powiedziała:

- Z pewnością ma pani rację. Powinniśmy jechać.

Panie zajęły miejsca w powozie lady Swithington, a panowie najęli dorożkę i wyruszyli w drogę. W miarę jazdy wątpliwości Callie zniknęły. Bez obu

mężczyzn rozmowa przebiegała gładko, prowadzona cichymi głosami, i Callie coraz bardziej cieszyła się na Vauxhall i spotkanie Bromwella. Vauxhall Gardens wyglądały jak zwykle ma-

gicznie. Panowie kupili bilety i zarezerwował lożę przy głównej promenadzie. Całe towarzystwo poszło do niej piechotą i okazało się, że jest położona w pobliżu pawilonu, gdzie miał wkrótce zacząć grać orkiestra. Zajęli miejsca i zaczęli obserwować prze chodzących obok nich ludzi. W dominie i ma seczce Callie czuła się swobodna i wolna o ograniczeń. Mogła bez przeszkód przypatrywa się mijającym ich osobom, nie obawiając się, że jej zachowanie zostanie skomentowane jako nieodpowiednie.

*Kelner* przyniósł kolację: pokrojoną na cieniutkie plasterki szynkę, kurczaki, kilka sałatek i nalał im hojnie arakowego ponczu, z którego słynęły Vauxhall Gardens. Trunek był bardzo mocny i choć Callie wypła ledwie parę łyżków, szybko poczuła jego działanie. Usadowiła się wygodniej i z wielką przyjemnością obserwowała przepływający tłum.

Ludzie wyglądali rozmaicie i wyraźnie należeli do różnych klas społecznych. Zdarzali się wymuskani dandysi i chudzi eleganci, ale także potężnie zbudowani atleci. Spora liczba samotnych kobiet flirtowała swobodnie z mężczyznami. Callie patrzyła zafascynowana, czerwieniąc się, gdy do jej uszu doszła śmiała zaczepka lub soczysta uwaga, które rzucano w tłumie, nie krępując się zbyt.

Czasem któryś z młodych mężczyzn okazywał tyle bezczelności, by przystanąć i bezceremonialnie przyjrzeć się jej i siedzącym z nią kobietom. Panna Swanson i panna Turner odpowiadały na takie spojrzenia chichotem, a lady Daphne, ku zgorszeniu Callie, raz czy dwa uniosła wachlarz i trzepocząc nim, strzeliła zalotnie oczami do zuchwalca. Callie nie rozumiała, dlaczego towarzyszący im mężczyźni nie reagują. Mogła sobie wyobrazić, jak w tej sytuacji postąpiłby Sinclair. Inna sprawa, że nie musiał, bo sama jego obecność powstrzymywała młodych dżentelmenów od takich zachowań.

Orkiestra zaczęła grać i Callie, czyniąc zadość wymogom grzeczności, poszła zatańczyć z panem Tilfordem, a potem z panem Pacewellem, który poruszał się niezgrabnie i nie w rytm, a jego oddech był tak przesycony alkoholem, że zdecydowała się więcej nie tańczyć, dopóki nie pojawi się hrabia Bromwell. Jeśli się pojawi... Zaczynała mieć co do tego poważne wątpliwości.

Lord i lady Radbourne nie przyszli. Hrabiego też nie było. Rozmowa w ich loży stawała się coraz bardziej głośna i bezładna w miarę konsumpcji mocnego ponczu. Dziewczęta śmiały się coraz częściej i bardziej piskliwie, panowie coraz rubaszniej. Głosy brzmiały zamazanie,

szklaneczki z ponczem odstawiano na stół niepewnie, z głuchym stuknięciem. Pan Sackville albo pan Pacewell - Callie przestała ich odróżniać - nie trafił w końcu ze szklaneczką na stół i poncz rozlał się po ziemi. Wszyscy oprócz Callie zanieśli się śmiechem. Pan Swanson, serdecznie rozbawiony, przechylił się niebezpiecznie na krzesło i w rezultacie straciwszy równowagę, wywinął koziołka. Siedział na ziemi, a pozostali śmiali się do rozpuku.

Callie próbowała ignorować to, co wokół niej się działo, ale z każdą chwilą stawało się to trudniejsze. Pan Pacewell albo pan Sackville, nieważne, w każdym razie ten, który nie rozlał ponczu, przysunął się do panny Turner i bez skrupowania zajrzał w dekolt jej sukni, a potem szepnął coś, niemal przyciskając usta do jej ucha.

Callie szybko odwróciła wzrok i spojrzała na lady Swithington. Od razu zrozumiała, że była w błędzie, jeśli liczyła na to, że rzeczona dama przywróci ład i choć pozory przyzwoitości. Lady Daphne siedziała tuż przy wyjściu, z ramieniem opartym na parapecie łoży, i wychylona, rozmawiała przyciszonym głosem ze stojącym na zewnątrz mężczyzną. Callie zobaczyła, jak wyciąga rękę i przesuwając ją po dłoni lady Daphne, po ramieniu, obejmuje w łokciu.

Znów pospiesznie odwróciła wzrok, niepewna, w którą stronę tym razem spojrzeć. Pociągnęła nerwowo łyk ponczu i zatchnęła się, gdy mocny trunek spłynął do gardła. Gdzie po-dziewa się Bromwell? Dlaczego nie przyszedł? Desperacko pragnęła, aby wreszcie się zjawił. Na pewno zaprowadziłby porządek. W każdym razie taką miała nadzieję... A jeżeli zachowywałby się tak samo jak pozostali? Jeśli chętnie wziął udział w tej pijackiej hulance i bezczelnie przypatrywał się kobietom siedzącym w innych łożach i przechodzącym obok nich?

Kolejny mężczyzna przystanął przy łoży i nachylił się, aby porozmawiać z lady Daphne i panną Swanson. Nie trwało długo i obie zaprosiły nieznanym do środka. Callie cofnęła krzesło w kąt pod ścianę najdalej, jak mogła, i zdenerwowana zadała sobie pytanie, co w tej sytuacji zrobić. Straciła wszelką nadzieję, że Irene i Gideon się stawiają, i zaczynała wątpić w pojawienie się Bromwella. Wieczór przerodził się w pijatykę. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinno jej tu być. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, jak wyjść. Myśl o przedzieraniu się przez tłum przejmowała ją dreszczem. Samotna kobieta mogła spodziewać się obelżywych uwag i lubieżnych spojrzeń... i pewnie nawet gorszych rzeczy.

Poprosić któregoś z towarzyszących im dzeń-



telmenów o odprowadzenie? Ledwie ich znała, a patrząc na to, co wyprawiają, nie miała pewności, czy może im zaufać. A gdyby nawet, byli już tak pijani, że stanowili wątpliwą ochronę przed zaczepkami innych mężczyzn.

Odstawiła szklaneczkę na stół i potarła czoło ręką. Myśli jej się plątały i zaczęła się zastanawiać, ile mogła wypić mocnego ponczu. Jedną szklaneczkę? Nie, chyba jednak dwie, bo kiedy odstawiała ją do połowy pustą na stół, natychmiast kelner dolewał do pełna. Lady Daphne zatroszczyła się, aby gościom nie zabrakło animuszu... Nawet teraz, jak spod ziemi zjawił się kelner. Potrząsnęła przecząco głową, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, dopełnił jej szklaneczkę i zniknął. Callie postanowiła przestać pić dla kurazu. Trudno, jej zdenerwowanie wzrosło, ale musi odzyskać zdolność jasnego myślenia.

- Całkiem samotna? - zwrócił się do niej bełkotliwie jeden z nieznanym, których lady Swithington zaprosiła do łóża. Opadł ciężko na sąsiednie krzesło. - Nie do wiary, taka ślicznotka...

Uśmiechnął się do niej, jak pewnie sądził, czarująco.

- Doskonale się czuję, siedząc sama - odparła lodowatym tonem.

Zachichotał pijacko.

- Ho, ho, zadzieramy nosa. - Podniósł szklaneczkę, którą Callie odstawiała, i podał jej. - Naucz się, jak się dobrze bawić. Łyknij sobie. To ci pomoże.

- Nie, dziękuję.

Wzruszył ramionami i sam wypił. Pochylił się ku niej.

- Co z tobą? Nie chcesz się zabawić? - Oddech miał przesycony alkoholem, oczy nabiegłe krwią.

Callie cofnęła się.

- Nie - odparła stanowczym tonem. - Proszę sobie iść.

W innych okolicznościach nie odezwałaby się tak niegrzecznie, na szczęście zrozumiała, że uprzejma odmowa nie robi na nim wrażenia. Przyglądał jej się przez chwilę zwężonymi oczami i serce zabiło jej trwożnie na myśl, że powie coś obelżywego. Jednak wzruszył ramionami, wstał chwiejnie i odwrócił się do niej plecami.

Callie zorientowała się, że w czasie gdy usiłowała pozbyć się intruza, część jej towarzystwa zniknęła z łóża. Nie było panien Swanson i Turner ani obu młodych dandysów. Callie pomyślała, że poszli tańczyć i prawdopodobnie wkrótce wrócą. Obrzuciła wzrokiem łóżę. Pan Swanson siedział zgarbiony

nad jednym ze stołów, oczy miał zamknięte i pochrapywał. Pan Tilford uniósł szklaneczkę, napelnił ją ponczem

i wymknął się tylnymi drzwiami, najprawdopodobniej postanawiając poszukać weselszego towarzystwa. Lady Swithington siedziała między dwoma mężczyznami, których zaprosiła do łoża, śmiała się i flirtowała, trzepocząc wachlarzem. Co chwila składała go i uderzała żartobliwie kóregoś z adoratorów. Jeden z nich ujął jej dłoń i podniósł do ust, przytrzymując znacznie dłużej, niż nakazywała przyzwoitość, ale lady Daphne nie cofnęła ręki. Roześmiała się gardłowo i nachyliła do zuchwalca, szepcząc mu coś do ucha.

- Lady Swithington - powiedziała z naciskiem Callie. - Ja... muszę panią opuścić. Jestem pewna, że Francesca martwi się o mnie.

Znalezienie spojrzaniem Callie zajęło lady Daphne dłuższą chwilę.

- Moja droga, jeszcze jest wcześnie.

- Lord i lady Radbourne nie przyszli i ja... nie powinnam tutaj być. Gdyby mogła pani posłać po swój powóz...

Callie nie wiedziała, jak zdoła dotrzeć do niego bezpiecznie, ale czuła, że musi wyjść, zanim sytuacja zmieni się na gorsze.

Lady Daphne roześmiała się i machnęła lekceważąco ręką.

- Przecież Brom zaraz tu będzie. Nie psujmy wieczoru z powodu lorda i lady Radbourne.

- Obawiam się, że hrabia Bromwell nie przyjdzie - odpowiedziała Callie, starając się mówić spokojnie. - Jest już dość późno.

- Wieczór dopiero się zaczyna - zaproponowała lady Daphne. - Nie możesz odejść. Chodź z nami. - Wstała i wyciągnęła rękę do Callie. - Idziemy tańczyć. Biedny Willoughby szuka partnerki do tańca, prawda, panie Willoughby?

Mężczyzna przyjrzał się Callie, po czym potrząsnął głową i odparł:

- Nie pójdzie. Pokutnica.

- Lady Swithington - powiedziała Callie. -Przepraszam, ale nie mam ochoty tańczyć.

- A nie mówiłem? - oświadczył z pijacką powagą mężczyzna, kiwając głową.

- Chciałabym wyjść - powtórzyła Callie. -Obawiam się, że panna Swanson i panna Turner również powinny wyjść.

- Ależ proszę bardzo, skoro sobie życzysz -zgodziła się łaskawym tonem lady Daphne. -Niech tylko Brom przyjdzie. Szczerze jednak wątpię, czy panna Turner i panna Swanson dadzą się stąd wyciągnąć. - Roześmiała się i dodała: - Skoro nie chcesz z nami pójść tańczyć...

- Odwróciła się i biorąc obu mężczyzn pod ramię, obdarzyła ich promiennym uśmiechem:

- Chodźmy, panowie, mam ochotę tańczyć.

- I nie tylko, śmiem twierdzić - powiedział pod nosem towarzysz Willoughby'ego.

Lady Swithington roześmiała się niefrasob-

liwie, najwyraźniej nie czując się obrażona jego słowami, i powiedziała:

- Kto wie, kto wie?

- Lady Swithington! - wykrzyknęła Callie. Lady Daphne wyszła z łoży wraz ze swoimi

towarzyszami, a Callie stała nieruchomo, patrząc za nimi z

niedowierzaniem. Powoli ogarnęła wzrokiem łożę. Była sama, nie licząc śpiącego na krześle pana Swansona. Spojrzała przed siebie. Lady Daphne i jej dwaj adoratorzy zniknęli w rozbawionym tłumie. Nie widziała żadnej z osób, z którymi tutaj przyszła.

Usiadła zasepiona na krześle. Najchętniej rzuciłaby się przez tłum do wyjścia i wskoczyła do dorożki, która zawiozłaby ją do domu. Nie dawała jej jednak spokoju myśl o pannie Swanson i pannie Turner. Wypiły stanowczo zbyt dużo arakowego ponczu, a niezależnie od tego nie były najmądrzejszymi osobami. Na mężczyznach, pod których opieką się znalazły, raczej trudno było polegać. Callie uznała, że nie może ich tak po prostu zostawić, postąpiłaby bowiem nieodpowiedzialnie.

- Dlaczego siedzisz samotnie, moja piękna? Callie podskoczyła na krześle i zobaczyła

przechyloną przez parapet łoży mężczyznę w średnim wieku. Zerwała się na równe nogi, zaciskając pięści, serce waliło jej jak młotem.

- Proszę, niech pan odejdzie. Za chwilę wróci mój brat - powiedziała, zastanawiając się gorączkowo, czego mogłaby użyć do obrony.

Butelka! Przesunęła się ostrożnie w kierunku śpiącego teraz z głową opartą na skrzyżowanych ramionach pana Swansona.

- Brat? Aha. - Porozumiewawczy uśmiech intruza powiedział jasno, że jej nie wierzy. - Powinien mieć więcej rozumu, żeby nie zostawiać takiej ślicznotki samej. Może wejść dotrzymać towarzystwa, dopóki on nie wróci?

- Nie, to niepotrzebne. - Sięgnęła ręką i zacisnęła palce na szyjce pustej butelki.

- Ojej! - Mężczyzna się roześmiał. - Chcesz się bić? - Podparł się dłońmi na parapecie łoży, jakby zamierzał wskoczyć do środka.

Callie z całej siły rzuciła butelką i trochę zaskoczona, zobaczyła, że go trafiła, wprawdzie w pierś, a nie w głowę, jak zamierzała. Zastygł na moment, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Coś podobnego - powiedział z urazą. -1 po co to było? - Wygładził ubranie, popatrzył na nią z pogardą i odszedł chwiejnym krokiem.

Callie odetchnęła z ulgą i odsunęła się w najdalszy kąt łoża. Rozejrzała się za następną butelką, żeby jej użyć w razie potrzeby. Podniosła ją, a kiedy się wyprostowała, zobaczyła, że do środka zagląda kolejny intruz. Krzyknęła z przestrawieniem i uniosła butelkę.

- Callie? To ty? - spytał mężczyzna, kładąc dłonie na parapecie łoża i pochylając się lekko. - Dlaczego jesteś sama?
- Brom! - Upuściła butelkę i podbiegła do niego.

### **Rozdział jedenasty**

Rzuciła się w jego ramiona, a on objął ją mocno.

- Callie, co z tobą? Co się tutaj dzieje?
  - Och, Brom... - Przyłgnęła do niego. - Nic się nie stało.
- Nie było to fałszywe zapewnienie. Teraz, kiedy znalazł się przy niej, wszystko wróciło do normy. Z głową opartą na jego piersi, słuchając spokojnego bicia serca, nie czuła zdenerwowania ani obawy.
- Gdzie się wszyscy podzieli? Dlaczego, u licha, zostałeś sama?
  - Nie jestem sama - odparła pogodnie i oderwawszy się od niego niechętnie, wskazała na skurczonego pana Swansona.
  - Jest nieprzytomny? - na poły spytał, na poły stwierdził hrabia.

Callie potwierdziła skinieniem głowy.

- Obawiam się, że wszyscy wypili za dużo ponczu. Sama czuję, że mam nieco zamuloną głowę - przyznała.

- Gdzie jest moja siostra? Gdzie są lord i lady Radbourne i pozostali?

Dlaczego zostawili cię samą?

- Nie wiem, dlaczego Irene i Gideon nie przyjechali. Inni poszli tańczyć. Zaczęłam myśleć, że ty też się nie zjawisz.

- Dlaczego miałbym nie przyjść? Daphne powiedziała... - Urwał, minę miał coraz bardziej marsową. - Jak długo tutaj jesteście?

- Wydaje mi się, że całą wieczność.

- W każdym razie wystarczająco długo, żeby pan Swanson zdążył się upić - stwierdził sucho Bromwell.

- Tak. Przyjechaliśmy, ponieważ panna Swanson nalegała, żeby zjawić się, zanim orkiestra zacznie drugi występ.

Hrabia spojrzał na przewalający się promenadą tłum i westchnął ciężko.

- Nie rozumiem, co opętało moją siostrę, żeby zostawić cię tutaj tylko z panem Swan-sonem. Czy był już w takim stanie, gdy odchodziła?

Callie skinęła głową.

- Kiepska ochrona - powiedziała z przekąsem.

- Żadna - orzekł Bromwell. - Przepraszam, że nie przyjechałem wcześniej. Musiałem pomylić godziny. Nie będę zdziwiony, jeśli lady Haughston zabroni mi się u siebie pokazywać.

- Chyba będzie najlepiej, jeśli Francesca o niczym się nie dowie - zauważyła Callie. - Będzie się martwić, a jestem pewna, że nic podobnego więcej się nie wydarzy.

Bo więcej nie popełnię tego błędu, żeby przyjąć zaproszenie lady Swithington, dodała w myślach.

- Później porozmawiam z Daphne, a teraz będzie najlepiej, jeśli odwiozę cię do domu.

- Będę wdzięczna - zgodziła się ochoczo Callie, ale zawahała się na moment i dodała: - Panna Swanson i panna Turner wciąż są tutaj. Powinniśmy sprawdzić, czy nic im się nie stało.

- Przecież niemożliwe, żeby one także były same!

- Nie, poszły tańczyć z panami Pacewellem i Sackville'em.

- Pacewell i Sackville? - powtórzył z niedowierzaniem. - Dobry Boże, tych dwóch błaznów? Pociuszające jest to, że dama może być całkiem bezpieczna



w ich towarzystwie. Najważniejsze, żebym odwiózł cię bezpiecznie do domu, potem wrócę zobaczyć, co z resztą.

- Dziękuję.

- Wybacz, Callie, że zostałaś postawiona w takiej sytuacji.

- Nie było aż tak źle - skłamała.

- Miło, że tak mówisz, ale doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że znalazłaś się w wyjątkowo nieprzyjemnym położeniu. Porozmawiam z siostrą na ten temat.

- Nie chciałabym, żeby przeze mnie doszło do niesnasek między tobą a lady Swithington.

- Nie rozdzielimy się. Niemniej boję się, że zbyt długo nie brała udziału w życiu socjety. Być może zapomniała, jak restrykcyjne reguły dobrego zachowania obowiązują młode, niezamężne kobiety. Bez wątpienia nie jest też przyzwyczajona do picia tak mocnego ponczu, jaki tu podają. Zdaje się, że przestała myśleć. Spróbujmy przedrzeć się przez tłum.

Ujął brzegi kaptura w obie dłonie i delikatnie naciągnął go na głowę Callie. Przez chwilę stał z dłońmi zaciśniętymi na materiale, patrząc na jej zamaskowaną twarz. Potem zamrugał powiekami, jakby przywoływał się do porządku, opuścił ręce i podał Callie ramię. Wyszli tylnymi drzwiami łoży, chcąc ją obejść dookoła, żeby dostać się na promenadę.

Przystanęli na chwilę i Callie rozejrzała się wokół. Teraz, kiedy nie czuła strachu ani zdenerwowania, mogła w pełni cieszyć się widokiem ogrodów. Pożałowała, że Bromwella nie było od początku. Odwróciła się do niego z proszącym wyrazem twarzy.

- Czy moglibyśmy trochę pospacerować przed odjazdem? Właściwie niczego tutaj nie widziałam...

- Nie byłoby to właściwe, żebyś chodziła bez asysty przyzwoitki lub opiekunki.

- Przecież nic mi nie grozi - zaprotestowała Callie - skoro ty jesteś ze mną.

- Właśnie w tym rzecz. Niektórzy uznaliby, że to ja ci zagrażam.

- Oboje dobrze wiemy, że tak nie jest - odparła z uśmiechem.

Przypomniała sobie, że jeszcze dzisiejszego wieczoru, może więcej niż pół godziny temu, zastanawiała się, czy Bromwell zachowywałby się w taki sam sposób jak inni. Gdy się zjawił, pojęła, że jej obawy były bezpodstawne. Nie bardzo rozumiała, co właściwie zaszło. Postępowanie lady Swithington było co najmniej dziwaczne, wręcz szokujące, i to w większym stopniu, niż Callie przyznałaby to jej bratu. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że lady Daphne zaplanowała taki rozwój wydarzeń, choć nie potrafiłaby powiedzieć w jakim celu.

Cokolwiek zrobiła jego siostra, specjalnie czy nie, Callie była pewna, że Bromwell nie brał w tym udziału. Była też przekonana, że gdyby

był z nimi od początku, sprawy nie wymknęłyby się spod kontroli. Świadczyły o tym zdumienie i gniew malujące się na jego twarzy. Uśmiechnął się i twarz mu złagodniała.

- Dobrze, możemy się przejść. Zaraz będzie pokaz sztucznych ogni, szkoda byłoby tego nie obejrzeć.

Ruszyli promenadą, ale wkrótce Bromwell skręcił w boczną ścieżkę biegnącą pośród drzew. Rozmieszczone na obrzeżach ścieżki latarnie rzucały niezbyt intensywne, ciepłe światło; te, które ustawiono pośród drzew, przebłyskiwały poprzez gałęzie. Czasem napotykali na swojej drodze sztuczne ruiny, oświetlone tak, by dodać im jak najwięcej dramatyzmu, albo rozpryskującą krople wody fontannę.

Rozległ się wystrzał i kiedy unieśli głowy, zobaczyli rozbłyskującą na niebie racę. Rozpoczął się pokaz sztucznych ogni i na niebie rozlewała się feeria kolorów. Szli powoli dalej, czasem przystając, aby podziwiać szczególnie zachwycające fajerwerki.

Ścieżka zwężała się, mijali coraz mniej osób, aż wreszcie zostali sami. Gdzieś w niedalekiej odległości rozległ się kobiecy śmiech, po czym odgłos biegnących stóp. Potem zapanowała cisza. Usiedli na małej kamiennej ławce, stojącej nad stawem, żeby obejrzeć do końca pokaz. Kiedy się skończył, zrobiło się cicho, w powietrzu unosił się słaby zapach prochu strzelniczego.

- To było bardzo ładne - odezwała się wreszcie Callie. - Dziękuję, że zostaliśmy.

- Jest mi przykro, że nie wszystkie wspomnienia z tego wieczoru będą przyjemne - odparł Bromwell.

- To nie ma znaczenia. Przesunął palcem po jej policzku.

- Jesteś taka piękna. Żałuję...

- Żałujesz czego?

- Szkoda, że sprawy nie mają się inaczej.

- Jakie sprawy? - spytała Callie, marszcząc czoło. - Co masz na myśli?

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Obawiam się, że nie jestem w najlepszym nastroju - odparł hrabia i podszedł do stawu.

Callie stanęła obok niego i wzięła go za rękę.

- Dlaczego? Czy mogę pomóc?

- Chciałbym, żeby to było możliwe. Nieustannie myślę o tobie od czasu przejażdżki do Richmond Parku. A właściwie od momentu, gdy cię pierwszy raz zobaczyłem. Chyba rzuciłaś na mnie urok.

Callie zrobiło się gorąco, pomyślała, że musiał to poczuć, skoro trzymała jego rękę w dłoniach.

- Nie starałam się o to - powiedziała drżącym głosem.

- Wiem. To właśnie czyni cię tak niebez-

piecznie pełną wdzięku. Zachowujesz się naturalnie, a jednak czarujesz mężczyzn jednym spojrzeniem.

Odwrócił jej dłoń i ucałował wewnątrz. Callie zwinęła dłoń w pięść, jakby chciała zamknąć w niej jego pocałunek. Pragnęła, żeby ją objął. Chciała poczuć bijące od niego ciepło, jego silne, zwarte ciało. Nie doznawała takiej pokusy przy żadnym innym mężczyźnie - przy Brom-wellu była bezbronna.

Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. W następnej sekundzie znalazła się w jego objęciach. Przyciągnął ją do siebie, całując zaborczo, i Callie natychmiast oplótła go ramionami, pragnąc jedności i zespolenia. Bromwell przesunął wargami po policzku Callie, skubnął wrażliwy, delikatny płatek ucha, drażnił go lekko zębami. Wypowiedział niewyraźnie jej imię głosem nabrzmiałym namiętnością, obsypał pocałunkami jej twarz i szyję.

W ostatnim przeblysku zdrowego rozsądku oderwał się od Callie i pociągnął ją za sobą ze ścieżki w nieoświetlone lampami miejsce. Poszła za nim bez oporu. Całowali się i Bromwell wsunął dłonie pod domino, które Callie miała na sobie. Nawet przez materiał sukni czuła, jakie są gorące, a gdy dotknęły nagiej skóry na piersi, wydawały się parzyć. Rozchylił połę domina i przycisnął usta do miękkiej, drżącej piersi.

Callie wciągnęła powietrze, zdumiona silnym uczuciem przyjemności i zacisnęła palce, zbierając w nie materiał jego fraka, jakby chciała się przytrzymać. Świat wokół niej zawirował, ciało żyło własnym życiem: biodra drżały, czuła rozlewające się coraz niżej po brzuchu ciepło. Lekko zaszokowała ją myśl, która przemknęła jej przez głowę: jak dobrze byłoby opleść go nogami, poczuć jeszcze bardziej intymnie.

Dłonie Bromwella, błędząc po ciele Callie, zsunęły się na pośladki. Przycisnął ją do siebie i wtedy odkryła, jak bardzo jej pożąda. Oddychała chrapliwie, urywanie, czując, że za chwilę stanie się coś niezwykłego. Pragnęła tego, a zarazem się obawiała. W tym momencie Bromwell mruknął coś i odsunął się od Callie.

- Dobry Boże...

Otulił ją dominem, objął i oparł czoło o jej głowę. Słyszała jego ciężki, przyspieszony oddech, czuła bijące od niego ciepło. Stali tak dłuższą chwilę, ich serca zwalniały rytm.

- Jeszcze moment - odezwał się - a całkiem zapomniałbym, co to honor.

Muszę odwieźć cię do domu.

Wiedziała, że miał rację, ale wolałaby nie wracać. Chciała, żeby to dalej trwało. Żeby spełniło się to, za czym tęskniło jej ciało. Nagle dotarło do niej, że znajdują się w miejscu publicznym, chronieni tylko panującymi ciem-

nościami, i że całowała Bromwella w sposób, który każdy uznałby za bardziej śmiało zachowanie niż to, na które zdobyła się którakolwiek z kobiet towarzyszących jej tego wieczoru w łoży. Jaką była hipokrytką, osądzając lady Daphne za zbyt swobodne poczynanie sobie z adoratorami... A sama? 2 rozkoszą wymieniała namiętne pocałunki z jej bratem. Niemoralne, tak, była tego pewna, ale nie żałowała. Prawda była taka, że jeśli czegoś żałowała, to że nie kontynuowali tego dalej. Odchyliła głowę, patrząc na Bromwella. Wargi miał czerwone i nabrzmiące, źrenice powiększone, z lekka nieprzytomne. Wystarczył jej ten widok, aby poczuła na nowo pożądanie.

Była jednak różnica między nią a lady Daphne, która poczyniała sobie ostro i wchodziła szybko w zażyłość z nieznanymi. Można było podejrzewać, że do jej celów nadawałby się każdy mężczyzna przechodzący obok ich łoży, który by się jej spodobał. Callie nie wyobrażała sobie, aby to był ktoś inny niż Bromwell. Jedynie on potrafił obudzić w niej namiętność. Wzięła głęboki oddech i wypuściła powoli powietrze, myśląc po raz kolejny, że była o krok od czegoś, czego robić nie powinna.

Podczas drogi do domu lady Haughston mało rozmawiali. Wciąż jeszcze tliła się w nich namiętność. Nie chcieli o tym mówić i wymagało to od nich pewnego wysiłku, by o tym nie myśleć. Bromwell odprowadził Callie do drzwi i odszedł, kiedy tylko się z nią uprzejmie pożegnał. Wrócił pospiesznie do dorożki, rzucił kilka słów woźnicy i pojechali galopem do Vauxhall Gardens.

Kiedy hrabia tam się znalazł, skierował się prosto do łoży zajmowanej przez siostrę. Zobaczył w niej kilku pijanych młodzieńców, podpita pannę Swanson i jeszcze jakąś młodą kobietę, której nie znał. Daphne siedziała na kolanach nieznanego mu mężczyzny. Przeskoczył przez parapet łoży, nie tracąc czasu na otwieranie drzwi. Podeszedł do siostry, złapał ją za ramię i bezceremonialnie postawił na nogi. Odwróciła się oburzona.

- Brom, kochanie! - powiedziała, widząc, że to on. - Zastanawiałam się, gdzie jesteś.

- A zastanawiałaś się, gdzie jest lady Calandra? - spytał ostrym tonem.

- Zakładałam, że jest z tobą - odparła z uśmiechem, rzucając na niego przebiegłe spojrzenie.

- Na szczęście dla ciebie i wszystkich innych tutaj, rzeczywiście tak było.



- Coś podobnego! - Mężczyzna, na którego kolanach siedziała Daphne, wstał chwiejnie. -Za kogo, u diabła, pan się ma! Powiniennem pana wyzwąć na pojedynek za obrażanie lady... lady...

- Jestem jej bratem i zapewniam, że przyjąłbym wyzwanie tylko od dżentelmena. Takich jak pan pozbywam się jak śmiecia.  
- Co? Niech się pan miarkuje! - Mężczyzna uniósł ręce, przyjmując nieudolnie pozę boksera. - Niech mi to pan powie prosto w twarz.  
- Właśnie powiedziałem - odparł Bromwell, wykrzywiając z niesmakiem usta.

Złapał nieszczęsnego adoratora Daphne za klapy, poderwał do góry i przewiesił przez parapet łoży. Drugą ręką schwycił go za nogę i zrzucił na ziemię. Odwrócił się do dwóch pozostałych mężczyzn stojących obok Daphne. Patrzyli z półotwartymi ustami i pijackim osłupieniem na twarzach. Kiedy ruszył w ich stronę, poszli, zataczając się, do drzwi i znikli.

- Kuzynie! - Archie Tilford wstał i zaczął wykonywać elegancki ukłon, nachylił się jednak nieco zbyt mocno do przodu i musiał złapać oparcie krzesła, żeby się nie przewrócić. - Cieszę się, że cię widzę. Dobrze, że się ich pozbyłeś. Nie podobali mi się.

- Do licha, Archie, dlaczego sam nic nie zrobiłeś? - spytał ze złością Bromwell.

- Bo... nie nadaję się do tego.

Bromwell przeniósł wzrok na dwóch dandysów, panów Pacewella i Sackville'a, wyglądających nie najlepiej mimo eleganckich ubiorów.

- A wy dwaj! Czy nie ma tu nikogo trzeźwego?

Spojrzeni jeden na drugiego, jakby chcieli to sprawdzić.

- Coś podobnego! Archie, weź pana Swansona i rozjedźcie się do siebie. Ja dopilnuję, żeby panie dotarły do domu mojej siostry.

Posłuchali go natychmiast. Ujęli bezwładnego Swansona pod ramiona i na poły prowadząc, na poły ciągnąc, wywlekli z łoży. Popłakująca panna Swanson i panna Turner założyły domina i zaczęły szukać maseczek i wachlarzy. Panna Turner odkryła, że nie ma jednego bucika.

- Może pani pożyczyć buty od lady Swithington - powiedział Bromwell, rzucając siostrze piorunujące spojrzenie. - Kiedy wrócimy do domu, napiszesz do ich rodziców, czy też kogoś, kto ma nieszczęście się nimi opiekować, że ze względu na późną porę i zmęczenie zdecydowałaś się je przemocować. Miejmy nadzieję, że to wystarczy, aby uratować waszą reputację, zakładając oczywiście, że nikt nie widział was tu bez przebrania. Panna Swanson zaczęła łkać, a na niezbyt inteligentnej twarzy panny Turner pojawił się wyraz z troskaniem. Hrabia ze zmarszczonym czołem spojrzał na siostrę.

- Świetnie, Brom - rzuciła zjadliwie, zbierając swoje rzeczy. - Jestem gotowa.  
Stałeś się okropnie zrzędlivy. Czy to wpływ lady Calandry?  
Powiedziałabym, że niefortunny.

- Dość! Nic o niej nie mów, chyba że wolisz usłyszeć coś, czego byś nie chciała. Porozmawiamy później, gdy powierzone ci damy znajdą się w łóżkach.

Dojechali do domu i natychmiast obiema dziewczętami zaopiekowały się pokojówki, a lady Daphne usiadła z ciężkim westchnieniem i skreśliła pod dyktando Bromwella bileciki do ich rodziców. Ledwie wysłała lokaja, aby je doręczył, skrzyżowała ręce na piersiach i zwróciła się do brata:

- Wyrzuć to z siebie, zanim trafi cię apopleksja.

- Co cię opętało?! - wybuchnął. - Zostawiłaś lady Calandrę samą!

Pomyślałaś, jak to może zniszczyć jej reputację?

- Brom, od kiedy to stałeś się taki purytański? Chciałam ci pomóc.

- Pomóc?! Oddając Callie na pastwę podpitych parweniuszy? Samą w Vauxhall?

- Malujesz całą tę sytuację w zbyt czarnych barwach - zaprotestowała Daphne. - Jakbym zostawiła ją pośrodku tłumu na promenadzie. Siedziała w łoży.

- Gdzie każdy przechodzień mógł zajrzeć i zobaczyć, że jest sama, jeśli pominąć pijanego do nieprzytomności mężczyznę.

- Przecież wiedziałam, że wkrótce nadejdiesz - dowodziła Daphne - i że nie będzie długo sama. Czy mogłam przewidzieć, że ten głupi Swanson się upije? Chciałam tak to zaaranżować, żebyście zostali we dwoje. - Twarz jej złagodniała, podeszła do brata z wyciągniętymi ramionami. - Proszę cię, Brom, nie złość się na mnie. Widziałam, jak ta Haughston nie spuszcza z niej oka. Tak to urządziłam, żebyś miał Callie tylko dla siebie. -

Uśmiechnęła się złośliwie i dodała: - Na czas wystarczający do przeprowadzenia tego, co zamierzałeś.

- To znaczy? Do zrujnowania jej reputacji? Jak mogłaś coś podobnego pomyśleć. Dlaczego Callie miałaby ucierpieć? To jej brat cię skrzywdził i on powinien za to zapłacić.

- A cóż by to szkodziło, gdyby ucierpiała? Wywodzi się z rodu Lilles, tak jak on, i jest tak samo wyniosła i zimna! Albo ta mała Francesca Haughston! Podobne do siebie jak dwie krople wody. Prawdziwe damy, takie subtelne, delikatne, jakby nigdy nie przychodziły im do głowy frywolne myśli. Zbyt wykwintne, żeby rozłożyć nogi przed mężczyzną.

Mówiła z goryczą, twarz miała zawziętą. Bromwell spojrział z osłupieniem na siostrę.

- Daphne! Nigdy nie słyszałem, żebyś tak się wyrażała... tak wyglądała...

- Spróbuj życia w jakiejś dziurze w Walii u boku starego okropnego mężczyzny! - wykrzyknęła. - Przez piętnaście lat żadnych rozrywek, nigdy do Londynu, najwyżej do Bath.

Starzałam się, traciłam urodę... - Łzy spłynęły po policzkach.

- Daphne... - Płacz siostry wzruszył Bromwella. - To okropne, że musiałaś poślubić starego mężczyznę, którego nie kochałaś, i na domiar złego stracić dziecko, mimo że tak się poświęciłaś. Nie powinno cię to spotkać. Żałuję, że nie byłem dojrzały i mądrzejszy. Nie mogę odżałować, że nie potrafiłem ci wtedy pomóc. Przecież nie jesteś stara i wciąż w Londynie nie ma kobiety piękniejszej od ciebie - podkreślił hrabia i objął siostrę.

Daphne odprężyła się w jego objęciach. Uniosła głowę i uśmiechnęła się poprzez łzy.

- Naprawdę uważasz, że jestem najpiękniejszą kobietą w Londynie?

Przed oczami stanęła mu Callie, ale potwierdził z przekonaniem:

- Oczywiście.

- Cieszę się, że nie możesz jej kochać bardziej niż mnie.

- Kochać ją bardziej niż ciebie? Co za nonsens. - Wypuścił z ramion Daphne i nieco się odsunął. - Co ci przyszło do głowy? W ogóle jej nie kocham. Nie zamierzałem jej skrzywdzić, tylko wyprowadzić Rochforda z równowagi i zmusić, żeby stawiał mi czoło.

- Jak to sobie wyobrażałeś? - spytała. - Jak miałbyś osiągnąć Rochforda, nie wyrządzając szkody jego siostrze? Jeśli smalisz cholewki do kobiety, to ona czegoś oczekuje. Dżentelmen nie nadskakuje damie, chyba że chce ją uwieść albo jej się oświadczyć. Z pewnością narobi szumu, jeśli jej się nie oświadczysz. Wszyscy w towarzystwie będą o tym plotkować.

- Przecież tylko zacząłem się do niej zalecać, a nie...

- A nie co? Składałeś jej wizyty praktycznie codziennie. Zaprosiłeś na przejażdżkę do Richmond, obwoziłeś swoim powozem. Pojawiałeś się na każdym przyjęciu, na którym ona była.

- Rzeczywiście może trochę nadmiernie ją ścigałem - powiedział nachmurzony Bromwell. - Nie sądziłem, że będzie tak skrupulatnie pilnowana. Chyba miałem nadzieję, że będę mógł częściej zostawać z nią sam.

- Właśnie dlatego zorganizowałam tę wyprawę do Vauxhall! - oświadczyła triumfalnie Daphne. - Miało to mieć skandaliczny posmak, inaczej nie osiągnąłbyś Rochforda.

Bromwell przesunął dłonią po włosach.

- Jeśli masz rację, to rzeczywiście już ją skrzywdziłem.

- Rzeczywiście - zgodziła się Daphne. - A więc...?

- Powinienem to zakończyć.

- Co takiego?! Zakończyć? Nic jej nie zrobić? To znaczy Rochfordowi?

- Jestem przekonany, że spotkam się z księciem - odparł z krzywym uśmiechem hrabia.

- Co z lady Calandrą? Przestanieś się do niej zalecać?

- Nie wiem - odrzekł z niepewną miną. - Muszę to przemyśleć.

Lady Daphne zamierzała coś powiedzieć, ale jej brat, nie zwracając na nią uwagi, wyszedł z salonu. Patrzyła za nim z namysłem.

Hrabia wziął z rąk lokaja płaszcz i cylinder i wyszedł na ulicę. Już schodząc po schodach, wcisnął cylinder na głowę i włożył płaszcz. Mimo wiatru nie zadał sobie trudu zapięcia guzików, szedł po chodniku, stawiając wielkie kroki, pogrążony w zadumie. Powinien przestać odwiedzać Callie? Nie spodobała mu się ta myśl. Przypomniawszy sobie, jak się uśmiechała, jak błyszczały jej pełne życia oczy, co czuł, przesuwając między palcami jedwabiste czarne loki. Nigdy więcej tego nie widzieć, nie wziąć jej w ramiona, nie całować... Bromwell zacisnął pięści, czując, że miałby ochotę w coś uderzyć. Jeśli będzie ją widywał, to do czego doprowadzi? Według wszelkiego prawdopodobieństwa on i Rochford skoczą sobie do gardła. Pistolety o świcie albo walka na pięści. Tylko w jeden sposób nie mogła skończyć się znajomość z Callie, taki, jakiego oczekiwał *beau monde*. Hrabia parsknął ze złości, wyobrażając sobie, jak zareagowałby Rochford, gdyby poprosił go o rękę Callie.

Skoro nie zamierzał się oświadczyć, powinien natychmiast przestać widywać się z Callie. Siostra miała rację. Wszyscy łącznie z Callie oczekiwaliby na jego oświadczenia, gdyby kontynuował zaloty. Nawet teraz, chociaż minęło niewiele czasu, powstaną plotki, kiedy przestanie ją odwiedzać.

Poczuł się fatalnie na samą myśl o szepczących za jej plecami plotkarzach, ale wiedział, że jeśli natychmiast nie zerwie z Callie, jedynie pogorszy sytuację. Każdy kolejny dzień, bukiet dostarczony do jej domu, taniec, zwiększy oczekiwanie na oświadczenia. Skandal będzie tym większy, gdy Rochford rozwścieczony na wiadomość, co się dzieje, przyjedzie do miasta. Będzie się to wlokło za Callie przez całe życie. Jak to się stało, że wpadł na ten idiotyczny pomysł, wyrzucał sobie w duchu Bromwell, że zalecając się do Callie, zemści się na Rochfordzie? Mógł wyrównać rachunki, wymierzając tamtemu kilka silnych ciosów w szczękę. Callie nie miała nic wspólnego z tym, co kiedyś się stało. Tymczasem to ona najbardziej ucierpi.



Przypomniał sobie rozmowę z kuzynem i swoje zapewnienie, że nie zamierza jej skrzywdzić. Zezłościł się na Daphne, że zrobiła coś, co mogło zaszkodzić reputacji Callie. A on sam?

Wymyślił sobie, że zemści się na Rochfordzie, nie zastanawiając się, jak bardzo zrani jego siostrę. Okazał się głupcem. Gruboskórnym głupcem. Jedyne, co mógł zrobić, to nie skrzywdzić Callie jeszcze bardziej. Nie zobaczy jej więcej, postanowił i w tym momencie ogarnęło go uczucie pustki.

### **Rozdział dwunasty**

Callie była trochę zdziwiona i rozczarowana, że lord Bromwell nie złożył jej wizyty następnego ranka. Nie zastanawiała się jednak nad tym specjalnie. Nie czuła się najlepiej. Głowa ją bolała, w żołądku ssało, a światło późnego poranka, wlewające się przez okna do pokoju, wydawało się jej ostre. Wszystko przez ten wczorajszy poncz arakowy, pomyślała. Do tej pory poprzestawała na kieliszku białego wina do obiadu i ewentualnie kieliszku ratafii lub sherry. Utrzyma ten zwyczaj, postanowiła, skoro pijąc więcej, ma się czuć tak jak dzisiaj.

Francesca zadała jej kilka pytań na temat wieczoru w Vauxhall. Callie nie zamierzała ujawnić, co tam naprawdę się wydarzyło, musiała jednak zdradzić, że lord i lady Radbourne nie

przybyli. Byli bliskimi przyjaciółmi, więc i tak Francesca dowiedziała się o tym przy najbliższym spotkaniu z lady Irene. Opowiedziawszy zatem o tym, jak pięknie ogrody były oświetlone i o pokazie sztucznych ogni, w końcu poinformowała przyjaciółkę:

- Lord i lady Radbourne nie przyszli.

- Jak to? - Francesca, która cerowała pończochę, upuściła grzybek na kolana.

- Nie było ich z tobą?

- Nie.

- Ale co się... Wiedziałaś, że powinnam ci towarzyszyć.

- Nie martw się, nic się nie stało. Byli lady Swithington i Bromwell, panna Swanson z bratem i jeszcze jedna młoda panna.

- Nie rozumiem zupełnie, dlaczego Irene nie powiadomiła nas, że nie będzie mogła przyjść - powiedziała poruszona Francesca. - Dobrze chociaż, że miałaś maseczkę i domino. Nie zdejmowałaś ich przez cały wieczór, tak?

- Tak, nikt mnie nie rozpoznał - zapewniła ją Callie. - Nie poszłam nawet tańczyć - skłamała.

Francesca skinęła głową, już spokojniejsza, ale minę wciąż miała zatroskaną.

- Sądzę, że powinnam złożyć Irene wizytę dzisiaj po południu.

- Obawiasz się, że któreś z nich zachorowało?

- Nie wiem, ale muszę się dowiedzieć, dlaczego nie przyszli. Irene nie jest lekkomyślna, można na niej polegać. Chciałabyś się ze mną wybrać?

Callie wymówiła się grzecznie. Nie czuła się na siłach składać wizyty i miała nadzieję, że jeśli poleży z okładem z wody lawendowej na głowie, tępy ból minie. Poza tym na ogół zostawała popołudniami w domu, ponieważ najczęściej właśnie wtedy pojawiał się lord Bromwell. Jednak nie przyszedł. Niemniej drzemka z okładem na czole w zaciemnionym pokoju rzeczywiście ją odświeżyła, tak że gdy Francesca wróciła, Callie powitała ją z ożywieniem.

Nastrój Franceski trudno byłoby określić jako pogodny. Piękne ciemnoniebieskie oczy błyszczały gniewem, usta miały zacięty wyraz.

- Ta koszmarna Swithington! - rzuciła w odpowiedzi na pytanie Callie, czy coś się stało.

- Ale o co chodzi?

- O to, co powiedziała mi Irene - odparła Francesca, wypowiadając z naciskiem każde słowo. - Lady Swithington przysłała jej w niedzielę wiadomość, że niezwykle jej przykro, ale spotkanie w Vauxhall Gardens

zostało odwołane. Wyraziła nadzieję, że w najbliższych tygodniach powrócimy do tego pomysłu.

Francesca chodziła nerwowo po pokoju, rozprawiając ze złością o oszustwie, jakiego dopuś-

ciła się lady Swithington, ale Callie słuchała jej jednym uchem, zastanawiając się, dlaczego lady Daphne to zaaranżowała. Nie miała wątpliwości, że zrobiła to celowo. Nie odpowiadała jej obecność lorda i lady Radbourne, ponieważ by ją krępowała. Postarała się też utrzymać Callie w nieświadomości co do tego, że nie przyjdą, i przez cały czas z premedytacją udawała, że nic się nie dzieje, a lord i lady Radbourne po prostu się spóźnią. Czyli nie tylko zamierzała zapewnić sobie całkowitą swobodę, żeby robić, co jej się żywnie podoba, ale i uwikłać w to Callie.

Tylko dlaczego? Przecież to bezsensowne, bo co mogłaby w ten sposób osiągnąć? Tylko tyle, że Callie przestałaby jej ufać. Zdaje się, że Bromwell nie został wprowadzony w plany lady Daphne. Był autentycznie zaszokowany na widok Callie siedzącej samotnie w łoży. Spodziewał się ujrzeć Irenę i Gideona. Nic nie wskazywało na to, że spóźnił się z premedytacją, przeciwnie, był zaskoczony, dowiedziawszy się, że już od dłuższego czasu całe towarzystwo przebywało w Vauxhall Gardens. Kiedy Callie wyznała mu, że zaczęła się martwić, czy on w ogóle przyjdzie, zrobił zdziwioną minę i powiedział: „Daphne mówiła...”, ale nie dokończył. Co wskazywało na to, że siostra celowo wprowadziła go w błąd co do godziny spotkania. Działała z premedytacją.

Z tego płynął tylko jeden wniosek: z jakiegoś powodu lady Daphne nienawidziła Callie, choć na pozór odnosiła się do niej serdecznie. Czy chciała odciągnąć brata od Callie lub skompromitować ją w jego oczach? Co by się stało, gdyby nie rzuciła butelką w mężczyznę, który zaglądał do łoży? A gdyby wdarł się do środka i usiłował jej robić awanse? W chwilę potem nadszedł Brom - co by pomyślał, widząc ją flirtującą, bo tak by to na pozór wyglądało, z pijanym mężczyzną? Callie wstrząsnęła się lekko. Jeśli rzeczywiście lady Daphne właśnie taki efekt chciała osiągnąć, to jest przebiegłą intrygantką nie liczącą się z innymi.

Callie była zadowolona, że zostanie w domu. Nie miała ochoty wychodzić, ponieważ istniało prawdopodobieństwo, że natknie się na lady Swithington. Zupełnie przyjemnie upłynął jej spokojny wieczór w domu, napisała też listy do babci i brata. Jednak nie chcąc oszukiwać samej siebie, musiała przyznać, że brakowało jej obecności Bromwella. Zastanowiła się, kiedy ostatnio nie widziała go przez cały dzień.

Oczekiwała na niego nazajutrz, ale nie przyszedł, i to było zaskakujące. Późnym popołudniem Francesca spytała:

- Ciekawe, gdzie się podziewa twój znajomy, hrabia Bromwell. Przyznam, że przyzwyczałam się do jego wizyt.

- Nie wiem - odparła Callie, świadoma własnego rozczarowania.
- Dziwne - orzekła Francesca, ale zaraz dodała lekkim tonem: - Musimy go skarcić za to zaniedbanie, gdy się pokaże.

Tymczasem nie pojawił się ani tego wieczoru u pani Cutternan, ani następnego popołudnia, gdy przyjmowały wizyty w domu. Uprzejmie się uśmiechając, Callie zabawiała gości. Starła się nie okazać, że czeka na Bromwella, nie była jednak w stanie skupić się na tym, o czym rozmawiano, ponieważ cały czas zastanawiała się, czy on przyjdzie, a jeśli nie, to dlaczego.

Powiedziała lub zrobiła coś nie tak? Uznał, że zachowała się nieodpowiednio, nie opuszczając Vauxhall natychmiast, gdy tylko jej towarzystwo zaczęło się zbyt szumnie bawić? Albo że w ogóle tam pojechała, skoro nie towarzyszyli jej Irenę i Gideon?

Nie, z pewnością nie mógł obwiniać jej za to, że pojechała w towarzystwie jego siostry. Gdyby lady Swithington nie dała się ponieść emocjom i bardziej zwracała uwagę na to, co się wokół niej działo, wieczór nie przerodziłby się w pijatykę. Miałby winić Callie, skoro odpowiedzialność spoczywała na lady Daphne?

A może wcale nie o to chodziło, tylko o jej zachowanie, gdy opuścili lożę. Zamiast wracać prosto do domu, chciała pospacerować. Czy uznał to za zbyt śmiałe? Czy go nie zaszokowała, nie wydała mu się zbyt doświadczoną osobą? Albo, co gorsza, rozpustną? Zarumieniła się na wspomnienie pocałunków, które wymienili nieopodal stawu. Czy to możliwe, że uznał ją za bezwstydną? Nie byłoby to fair, bo zainicjował pocałunki. Callie wiedziała jednak, jak niesprawiedliwi są mężczyźni w ocenianiu pod tym względem siebie samych i kobiet. Nikogo zbyt nie dziwiło, gdy młody mężczyzna nawiązał bliską znajomość z damą. Gdyby młoda kobieta sobie na coś takiego pozwoliła, byłaby skończona.

Dżentelmeni nie żenią się z tymi, które im ulegają - czy nie to słyszała Callie, powtarzane do znudzenia, od czasu swojego debiutu?

Francesca zerkała na nią co jakiś czas z z troskaniem, a kiedy ostatni gość wyszedł, powiedziała cicho:

- Może hrabia musiał wyjechać z miasta. Coś nieoczekiwanego mogło się wydarzyć w jego majątku i nie miał czasu zostawić wiadomości.
- Tak, być może. - Callie zdobyła się na uśmiech. - A może jest niestały. Jak słyszałam, to częsta przypadłość u panów.

- Nie sprawiał takiego wrażenia - zaproponowała Francesca. - Pomyślałam, że... och, nie ma sensu o tym teraz rozmawiać. Poczekajmy. Zobaczymy, czy napisze do ciebie i wyjaśni, co się



stało. A może zjawi się jutro i okaże się, że miał powody. Callie nie chciała ciągnąć rozmowy, która z każdą chwilą stawała się dla niej trudniejsza. Czuła, że dłużej nie zdoła skrywać zmartwienia i obaw. Jeszcze kilka słów Franceski i wybuchnie płaczem... Na szczęście przyjaciółce również nie odpowiadał temat rozmowy, bo zaczęła się głośno zastanawiać, w co ubiorą się do opery. Callie wtrącała coś czasem, wdzięczna Francesce, że taktownie przejęła cały trud podtrzymania konwersacji.

Pojechały do opery z Irene i Gideonem i tym razem siedziały w luksusowej łoży lorda Radbourne'a. Callie dołożyła szczególnych starań w doborze stroju i ułożeniu fryzury, wciąż pełna nadziei, że ujrzy Bromwella. Powinien ją zobaczyć wyglądającą nienagannie i zachowującą się jakby nigdy nic.

Nie było go w operze i Callie nie wiedziała, czy żałować tego, czy przeciwnie - czuć ulgę. Gdyby przyszedł, znaczyłoby to, że nie odwołano go z miasta ani nie zachorował, tylko zwyczajnie nie chciał jej widywać. Następnego popołudnia składała wizyty. Zbyt dużo czasu spędziła w domu, czekając na Bromwella, i nie chciała w ten sam sposób spędzić kolejnego dnia. Wbrew rozsądkowi martwiła się trochę, czy nie pojawi się właśnie wtedy, gdy jej nie będzie, ale odsuwała od siebie tę myśl. A zresztą w takim wypadku dobrze mu zrobi, uznała, jeśli przekona się, że ona nie wysiaduje w domu, wyczekując na niego z utęsknieniem.

Po powrocie przejrzała natychmiast wizytówki. Bromwella wśród nich nie było. Francesca z właściwym sobie taktem nawet nie wspomniała o hrabim. Callie podziwiała ją za zdolność znalezienia niezliczonych tematów do rozmowy - oprócz tego jednego.

Następnego dnia miał się odbyć bal u lady Smythe-Furling. Wydawane przez nią bale nie słynęły jako najbardziej udane, ale było to jedyne przyjęcie organizowane tego wieczoru w mieście. Callie postanowiła korzystać z każdej okazji wyjścia, chciała tańczyć, rozmawiać z ludźmi, robić cokolwiek, aby odpędzić nękające ją myśli.

A jednak szybko pożałowała swojej decyzji. Dygnęła grzecznie przed lady Smythe-Furling i jej dwiema córkami i spojrzała na salę balową. Stał tam lord Westfield i rozmawiał z hrabią Bromwellem. Musiała mocno się postarać, aby nie dać niczego po sobie poznać i zachować obojętną minę. Jest tu! Nadzieja obudziła się w jej sercu, choć usiłowała ją zdusić. Zaraz

odwróci się, zobaczy ją, uśmiechnie się, podejdzie i wszystko znów będzie dobrze.

Jednak nic takiego nie nastąpiło. W tej sytuacji

odeszła w przeciwny koniec sali, uznając, że nie będzie mu się narzucać. To on musi podejść, jeśli chce z nią rozmawiać. Nie podszedł.

Tańczyła z gospodarzem i mężem starszej córki lady Smythe-Furling.

Potem z przyjacielem Franceski, sir Lucieniem, i była mu bardzo wdzięczna za dotrzymywanie jej towarzystwa przez większość wieczoru. To pewne, że Francesca szepnęła mu coś na jej temat, było jednak niezwykle uprzejmie z jego strony, że zrezygnował z własnej przyjemności, aby Callie poczuła się chociaż odrobinę bardziej komfortowo.

Cieszyło ją też, że karnet zapełnił się niemal natychmiast. Łatwiej było udawać, że bal sprawia jej przyjemność. Rozmawiała, śmiała się, nawet flirtowała odrobinę, co zresztą było łatwe przy sir Lucienie, o którym mówiono, że potrafiłby flirtować nawet z samym sobą.

W rzeczywistości czuła się nieszczęśliwa. Bromwell był tutaj; ledwie kilka dni temu całował ją namiętnie, a przez ostatnie tygodnie wytrwale adorował. A teraz nawet się nie przywitał. To dobrze, powiedziała sobie, bo nie jest pewna, czy zdołałaby się opanować, gdyby podszedł. I tak z trudem zachowywała pozory.

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Chciała wrócić do domu i wypłakać się w poduszkę, ale tego właśnie nie mogła zrobić. Nie wolno dać plotkarzom powodów do opowiadania, jak ją ten nagły zwrot niestałego adoratora rozstroił. Bromwell asystował jej zbyt wyraźnie, aby nie zostało zauważone, że nawet nie podszedł do niej dzisiejszego wieczoru. Była świadoma rzuconych na nią spojrzeń, widziała, jak urywano rozmowę w pół słowa, kiedy się zbliżała. Wzmagало to uczucie przykrości, ale jednocześnie dodawało sił, żeby nie okazać, jak jego obojętność ją obchodzi.

Francesca, co jak na nią było dość niezwykle, wcześniej zaczęła okazywać oznaki zmęczenia. Unosiła wachlarz, skrywając ziewnięcie, a potem z wdziękiem przeproszała rozmówcę za okazaną senność. Callie podejrzewała, że udaje z jej powodu, nie zdziwiła się więc, gdy przyjaciółka oświadczyła, że nie jest w stanie zostać ani chwili dłużej. Pożegnały się i Callie z westchnieniem ulgi oparła się o miękkie skórzane siedzenie powozu.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Och, bardzo było nudno - stwierdziła niefrasobliwie Francesca. Pochyliła się i kładąc dłoń na ramieniu Callie, spytała: - Czy dobrze się czujesz, kochanie?

- Tak. Przyznaję, jestem trochę zdziwiona, ale... - Urwała i wzruszyła ramionami.

Francesca skinęła ze zrozumieniem głową. Callie była pewna, że przyjaciółki nie zwiodła jej

odpowiedź, ale była zbyt dobrze wychowana, aby dopytywać się natarczywie. Zamiast tego powiedziała:

- Obawiam się, że nie sposób zrozumieć kapryśnej męskiej natury. Choć w tym wypadku sędzę, że spory wpływ na zachowanie hrabiego miała jego zadziwiająca siostrunia.

Callie się roześmiała.

- Kochana Francesca. Zawsze potrafisz mnie rozśmieszyć.

- Matka powiedziała mi kiedyś, że nawet najpoważniejszą rzecz umiem sprowadzić do błahostki... Nie zabrzmiało to oczywiście jak komplement - dodała z przekąsem.

Francesca miała tyle wrażliwości, że nie próbowała zabawiać Callie rozmową, a gdy dojechały do domu, życzyła jej dobrej nocy i skierowała się do małego saloniku, mówiąc, że musi dopilnować pewnych spraw.

Callie wbiegła po schodach, czując, że długo powstrzymywane łzy popłyną strumieniem. Odprawiła nieco szorstko pokojówkę, która czekała, aby pomóc jej w wieczornej toalecie. To był długi wieczór, ale wreszcie została sama. Stała przez chwilę nieruchomo, czując, jak powoli zaczyna się rozluźniać. Do tej pory tłumiała emocje, chcąc za wszelką cenę pokazać światu zadowoloną twarz. Teraz im się poddała. Zauroczenie hrabiego minęło. Nieważne z jakiego powodu; istotne, że nie jest nią zainteresowany. Musi nauczyć się z tym żyć.

Zaszlochała krótko, urywając, a potem rzuciła się na łóżko i rozplakała.

Następnego ranka była przygaszona, oczy miała zaczerwienione, mimo to odrzuciła propozycję Franceski, aby nie przyjmować wizyt.

- Nie. Muszę czasem widywać ludzi i nie chcę, aby ktokolwiek mi współczuł. Już słyszę te plotki, że hrabia Bromwell znudził się moim towarzystwem, ale przynajmniej nie dostarczę tematu do rozważań, jak bardzo to mnie załamało.

- Wiem, że dzielna z ciebie dziewczyna - powiedziała Francesca. - Niestety, ostrzegam cię, że możemy spodziewać się licznych gości.

Na szczęście jej obawy nie potwierdziły się, choć złożono im wystarczająco dużo wizyt, by zajęło to całe popołudnie. Callie z powodzeniem udawała, że w ogóle nie zauważa nieobecności hrabiego Bromwella i że jest jej to całkiem obojętne. Niemniej była zadowolona, gdy czas wizyt się skończył i mogły wreszcie obie zasiąść do herbaty. Kompletnie nie miała apetytu, ale cieszyło ją, że o tej porze nikt im nie zakłóci spokoju.

Ledwie jednak Francesca zaczęła nalewać herbatę, gdy ktoś zapukał energicznie i głośno do frontowych drzwi. Spojrzały na siebie zdu-

mione, ale spokojne, że kamerdyner odprawi intruza. Tymczasem chwilę później stanął w drzwiach salonu z niepewną miną. Odchrząknął, a potem zaanonsował:

- Książę Rochford pyta, czy zechce go pani przyjąć, milady.

Koszmarne zakończenie koszmarnego dnia, przemknęło Callie przez głowę. Musiały dotrzeć do brata wieści o wizytach Bromwella i przyjechał ją złać.

- Ależ oczywiście, wprowadź księcia - poleciła Francesca, tłumiąc ciężkie westchnienie i wstając.

Callie również się podniosła, a po chwili do salonu wkroczył książę. Był w stroju do konnej jazdy, buty nie były nienagannie wyczyszczone, co wskazywało na to, że przyjechał prosto do domu Franceski, nie wstępując do Lilles House. Ciemne włosy miał potargane, a twarz ponurą.

- Co tu się dzieje, ledwie zdążyłem wyjechać? - spytał bezceremonialnie. - Dostałem od babci list z wiadomością, że widuje się ciebie wszędzie z hrabią Bromwellem. Ponadto w kilku listach zawarto sugestię, że wszyscy spodziewają się rychłego ogłoszenia o doniosłym wydarzeniu.

- Przykro mi, Sinclair, że korespondencja babci tak cię rozdrażniła - powiedziała chłodno Callie. - Niemniej nie rozumiem, dlaczego zjawiałeś się osobiście, aby poinformować mnie o tym fakcie.

- Do licha, Callie! - wybuchnął. - Nie próbuj ze mną sztuczek uciśnionej niewinności! Zakazałem ci go widywać. A pani - zwrócił się do Franceski - jak mogła być tak niedbała i nieodpowiedzialna, aby pozwolić temu mężczyźnie na asystowanie mojej siostrze?

- Proszę? - Głos Franceski brzmiał dźwięcznie i zimno. - Ma pan czelność pouczać mnie, kogo mogę przyjmować we własnym domu?

- Czy nie widziała pani, do czego on zmierza? Nie wykazała pani na tyle rozeznania, aby nie dopuścić do mojej siostry mężczyzny, który mnie nienawidzi?

- Skoro nie akceptuje pan osób, które przyjmuję we własnym domu, nie pozostaje panu nic innego, jak usunąć Callie spod mojego wpływu i mojej opieki - odparła Francesca. - A jeśli jestem skrajnie nieodpowiedzialna i nie dbam o to, kto u mnie bywa, dziwi mnie, że w ogóle zezwolił pan jej na wizytę.

Książę wyglądał na zaskoczonego, ale wyraźnie zamierzał coś powiedzieć. Ubiegła go jednak Callie.

- Nikt mnie nie będzie znikąd usuwał -oświadczyła, dając krok do przodu. -  
Jestem dorosła i mogę przebywać tam, gdzie chcę. Oczywiście - zwróciła się  
do Franceski - jeśli



dalej zechcesz mnie gościć mimo obraźliwego zachowania mojego brata.

- Jesteś tu mile widziana, przecież wiesz. - Francesca rzuciła spojrzenie na Rochforda, dając do zrozumienia, że to nie stosuje się do niego, i dodała: - Będzie najlepiej, jeśli zostawię ciebie i księcia samych, byście mogli swobodnie wyjaśnić sobie tę sprawę.

- Nie musisz wychodzić... - zaczęła Callie, ale umilkła, widząc, że przyjaciółka energicznie potrząsa głową.

- Nie sądzę, by twój brat myślał tak samo. Rozmowa o hrabim Bromwellu i jego rodzinie z pewnością stanowi zbyt osobisty temat dla księcia.

Francesca rzuciła jeszcze jedno zimne spojrzenie Rochfordowi i wyszła, zamykając cicho drzwi. Księżę patrzył za nią z zaciśniętymi ustami, muskuły drgały mu na twarzy. Potem zwrócił wzrok na Callie, ale nie dała mu szansy się odezwać.

- Jak mogłeś potraktować w ten sposób Francescę? - spytała z błyszczącymi od gniewu oczyma. - Zachowałeś się obrzydliwie! Jakbyś miał prawo mówić jej, jak ma postępować! Kogo ma widywać, a kogo nie!

- Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie mogę w żaden sposób sprawować władzy nad lady Haughston - oznajmił. - Uważałem jednak, że ma więcej zdrowego rozsądku i nie dopuści, aby jakikolwiek mężczyzna asystował ci tak wytrwale, że stało się to przedmiotem rozmów. W dodatku musiał to być on!

- Nie ma w tym winy Franceski. Dotrzymywała mi towarzystwa, nadzorując tak ściśle, że nikt nie odważy się nawet sugerować, jakobym zrobiła coś niestosownego.

- Niczego takiego nie twierdzę.

- Skąd mogła wiedzieć, że weźmiesz jej za złe wizyty stanowiącego dobrą partię dżentelmena? Nawet nie знаła hrabiego Bromwella, zanim pojawił się w tym roku w Londynie.

- Powiedziałem ci, że nie możesz go widywać, i sądziłem, że to wystarczy. Najwyraźniej nie liczysz się ze mną.

- Nie jestem dzieckiem, żeby mi rozkazywać, co mam robić i z kim się spotykać, nie udzielając wyjaśnień dlaczego. Jeśli masz coś do zarzucenia hrabiemu, powinieneś mi o tym powiedzieć.

Rochford przestąpił z nogi na nogę, wyglądał na lekko zmieszanego.

- No więc? Co masz mu do zarzucenia? - nie ustępowała Callie. - Dlaczego nim pogardzasz?

- Nie pogardzam nim. Nie żywię wobec niego żadnych uczuć, ani dobrych, ani złych. To on mną pogardza, i to od wielu lat. Obawiałem się, że będzie się do ciebie zalecał, bo chce cię zranić... to znaczy mnie poprzez ciebie.

- Co takiego? Nie pamiętam, żeby w ogóle o tobie mówił. Dlaczego miałby cię tak nie znosić, że zalecałby się do mnie tylko po to, aby cię zranić?
- Nie rozmawia się o takich sprawach z damą - oświadczył sztywno Rochford.
- W takim razie obawiam się, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia
- odparła impulsywnie Callie i zagniewana poszła w stronę drzwi.
- Do licha! Próbuję cię chronić!
- Bardzo to szlachetnie, lecz jeśli to oznacza traktowanie mnie, jakbym nie była dorosła, bardzo ci dziękuję za taką ochronę.
- Poczekaj, Callie. Nie odchodź, powiem ci. Odwróciła się i spojrzała wyczekująco na brata.
- Piętnaście lat temu Bromwell wyzwiał mnie na pojedynek. - Rochford zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Za zhańbienie jego siostry.

### **Rozdział trzynasty**

Callie patrzyła na brata szeroko otwartymi oczami.

- Co takiego?! Jak on mógł tak pomyśleć?! Gorzki uśmiech wykrzywił wargi księcia.
- Nie pytasz mnie, czy oskarżenie było prawdziwe?
- Przestań, Sinclair, masz mnie za głupią? - spytała ostro. - Nie jestem naiwna na tyle, by uważać, że nie wchodziłeś w związki z kobietami, ale jestem pewna, że na uczciwych zasadach i że były... no cóż, świadome swojej pozycji.
- A ja przypuszczałem, że jesteś zbyt niewinna na taką wiadomość!
- Trudno. Nie odpowiadam za twoje wyobrażenia o mnie. Dlaczego Bromwell w to uwierzył? Nie jest głupcem.

- Był wtedy bardzo młody - powiedział Rochford, wzruszając ramionami - i wprowadzono go w błąd. Nie znał mnie. Nie wiedział, że nigdy nie narzuciłbym się kobiecie, a co dopiero uwiódł. Zresztą nietrudno było uwierzyć, że nawiązałem znajomość z lady Daphne. Połowa mężczyzn z towarzystwa była nią zafascynowana.

- A ty?

- Nie. W tamtym czasie byłem zainteresowany inną kobietą. To lady Daphne mnie ścigała. Była młodą wdową, wyraźnie dążącą do zawarcia korzystniejszego pod względem finansowym niż poprzednie małżeństwa. Zachłanna i pewna siebie, uważała, że jej wdziękom nie oprze się żaden mężczyzna. Zawzięła się na mnie, ale ja nie zamierzałem się z nią żenić ani wchodzić w jakikolwiek związek. Kiedy dałem jej to jasno do zrozumienia, wręcz się wściekła. Nie była przyzwyczajona dostawać kosza. Przekonała brata, że z premedytacją rozkochałem ją w sobie i uwiodłem, żeby na mnie się zemścić. Z tego, co mówił, wynikało, że powiedziała mu, jakoby nosiła moje dziecko.

- No nie! Wyzwał cię? Rochford skinął głową.

- Pistolety o świcie. Nie chciał słuchać, co miałem do powiedzenia.

- Przyjąłeś wyzwanie?

- Oczywiście, że nie. Miał siedemnaście, może szesnaście lat, studiował w Oksfordzie. Nie mogłem pozwolić, żeby zakończył życie, zanim je naprawdę zaczął. Zresztą, nie zamierzałem się pojedyńkować, zwłaszcza że nic złego nie uczyniłem.

- Piętnaście lat temu? Czyli miałeś dwadzieścia trzy.

- Owszem, ale musiałem szybko dojrzeć po odziedziczeniu tytułu. Już od pięciu lat zarządzałem majątkiem. Wydawałem się sam sobie o niebo dojrzały od każdego młodego zapaleńca... Tymczasem fatalnie pokierowałem tą sprawą. Byłem wściekły na Daphne za jej kłamstwa, i zły na... - Urwał. - Na wszystkich - dokończył niezręcznie. - Potraktowałem Bromwella ostro, pogardliwie. Powiedziałem wprost, że uważam go za niedorostka, z którym nie stanę do pojedynku. Krótko mówiąc, narobiłem mu wstydu, i to w klubie, na oczach zebranych. Uraziłem jego dumę i w rezultacie mnie znienawidził. Nie tylko za rzekome uwiedzenie siostry, ale i za upokorzenie go w obecności wpływowych członków socjety. Wrócił na uczelnię, ale okazuje się, że przez te lata żywił do mnie urazę.

Callie podeszła do brata i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Sinclair, przykro mi, ale szkoda, że wcześniej nie opowiedziałeś mi tej historii.

- To nie jest historia, którą człowiek ma ochotę opowiadać siostrze. Nie popisałem się.

- Z tego wynika, że Bromwell nadal cię nienawidzi. - Callie zrozumiała, dlaczego tak intensywnie ją adorował, a potem nagle zaprzestał. Chciał ją zranić, aby poprzez nią osiągnąć Sinclaira. Nic więcej. - Czy poznał prawdę?

- Nie wiem - odparł książę. - Lady Daphne znalazła kolejnego męża. Z tego, co mi wiadomo, nigdy nie urodziła dziecka, ale łatwo wytłumaczyć to nieszczęśliwym wypadkiem i zyskać współczucie z powodu kolejnej tragedii, która ją spotkała. Potrafiła kłamać po mistrzowsku. Brat nie był jedyną osobą, którą zwiodła.

- Naprawdę mi przykro, ale nikt, kto cię zna, nie powinien dać wiary w to, że mógłbyś nieuczciwie potraktować kobietę.

- Może nie uwierzono w to, że postąpiłem wobec niej niehonorowo, ale byli tacy, którzy uwierzyli, że się z nią związałem.

- Ta kobieta, którą byłeś zainteresowany? - spytała nieśmiało Callie.

- Chyba zakochała się w innym. O to akurat nie mogę winić Daphne. Nic nie można poradzić na miłość, sam się o tym boleśnie przekonałem.

Callie posmutniała. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że brat mógł być zakochany i stracić wybrankę. Szczerze mówiąc, nie wyobrażała sobie, aby jakaś kobieta odrzuciła możliwość poślubienia Rochforda. Poczuli się winna. Sądziła go powierzchownie, uważając, że jest zbyt zimny i wyniosły, aby kochać, i dlatego żyje samotnie.

Rochford, jakby wyczuwając, o czym siostra myśli, zmienił temat, wracając do hrabiego.

- Podejrzewam, że Bromwell tak naprawdę nie zna własnej siostry i nie podejrzewa, do czego jest zdolna. Oboje żyli na uboczu, z daleka od londyńskiego towarzystwa. Po skończeniu Oksfordu wyjechał zagranicę, a po odziedziczeniu majątku zajął się jego prowadzeniem. Drugi mąż Daphne był na tyle przezorny, że dobrze jej pilnował. Prawie nie bywali, a zresztą nie sądzę, aby ktokolwiek był skłonny dyskutować z Bromwellem o moralności jego siostry. Pewnie wciąż uważa ją za niewinną ofiarę mojego postępowania.

- Rzeczywiście - potwierdziła Callie. - Nie rozmawiał ze mną o tym, co się zdarzyło, ale wyrażał się dobrze o siostrze i ma o niej jak najlepsze zdanie. Poznałam ją i... była dla mnie miła.

- Och, nie wątpię. Daphne jest mistrzynią podstępu. Zresztą wiele osób ją lubi, na przykład

ciocia Odelia. Nie mogę winić Bromwella, natomiast obawiałem się, że on może cię skrzywdzić.

- Powinieneś mi to powiedzieć.

- Teraz to rozumiem. Przyzwyczyłem się widzieć w tobie małą siostrzyczkę. Zapominam, że jesteś cudowną, inteligentną kobietą.

- Nie taką znów inteligentną. Nie poznałam się na oszustwie Bromwella. Uwierzyłam, że naprawdę się do mnie zaleca. Nie martw się, zaprzestał wizyt. Chyba rzeczywiście zamierzał zemścić się w ten sposób na tobie. Okazywał mi tyle względów, że wszyscy to zauważyli, a potem nagle przestał się mną interesować, co też wszyscy zauważyli. Oczywiście zaczęły się plotki. Co prawda, powinien zdobyć się na coś więcej, chcąc pomścić siostrę - dodała sarkastycznie.

- Przepraszam, Callie. - Rochford objął ją i uścisnął. - Dałbym wiele, żeby to cofnąć.

Callie oparła głowę na jego piersi, przywołując wspomnienie z dzieciństwa, kiedy czuła się przy bracie bezpieczna i uważała, że Sinclair potrafi rozwiązać wszystkie problemy. Potem odsunęła się od niego z uśmiechem:

- Nie zamartwiaj się. Powinna być mądrzejsza. Ucierpiałam z powodu lekkomyślności w ocenie sytuacji i zbyt pospiesznego wyciągania wniosków. Zresztą niezbyt mocno. Najbardziej boli mnie własna głupota. Nic wielkiego się nie stało, tyle że została urażona moja duma. Żenujące, ale nic poza tym. Dobrze imię nie ucierpiało. Po kilku tygodniach będzie po wszystkim, plotkarze zajmą się kimś innym.

- Gdy dowiedziałem się, że się do ciebie zaleca, zląkłem się, że może zdarzyć się coś znacznie gorszego - przyznał książę. - Powiniennem wiedzieć, że jesteś na tyle rozsądna, aby nie dać się wmanewrować w kompromitującą sytuację.

Callie pomyślała o pocałunkach i pieszczotach Bromwella i powiedziała, nie patrząc bratu w oczy:

- Nie sądzę, aby zamierzał coś innego poza narażeniem mnie na śmieszność.

- Cieszę się, że nie jest niegodziwcem, który posunąłby się za daleko. Szanuję go nawet za lojalność wobec lady Daphne, niezależnie od tego, że ma o niej błędne zdanie.

Umilkli oboje. Rochford wyraźnie czuł się zażenowany, rozmawiając z siostrą na takie tematy, a Callie winna, przypominając sobie, na co

pozwoliła Bromwellowi. W końcu poruszyła się niespokojnie, a Rochford odchrząknął i oznajmił:

- Muszę wrócić do Marcastle. Wyjechałem dość niespodziewanie i zostawiłem sporo spraw



rozpoczętych. Powinienem też dopilnować robót w Dancy Park, więc naprawdę nie mogę zostać. - Spojrzał na Callie i dodał: - Nie obawiaj się, nie będę nalegał, abyś wróciła ze mną. Widzę, że wszystko w porządku i że potrafisz zatroszczyć się o siebie. Głupio z mojej strony, że tak pędziłem do Londynu.

- Może trochę - przyznała Callie. - Jestem wzruszona, że dbasz o mnie na tyle, żeby rzucić wszystko i pospieszyć mi na pomoc.

- Chodziło mi wyłącznie o ciebie, a nie o wypełnienie obowiązku rodzinnego czy honor rodziny.

- Wiem.

- Jeżeli chcesz wyjechać z miasta, to dołącz do mnie.

- Masz na myśli, dopóki plotki nie ucichną? - Potrząsnęła przecząco głową. - Nie jest zbyt przyjemnie przyłapywać ludzi na szeptaniu i być obiektem rozbawionych czy współczujących spojrzeń, ale przecież nie wyjadę z powodu lekkiego zażenowania, jakie odczuwam. To by dopiero przekonało wszystkich, jakie to dla mnie ważne. Lepiej zostać i stawić temu czoło.

- Spodziewałem się, że tak powiesz - stwierdził z dumą książę.

- Francesca mnie wspiera. Musisz ją przeprosić za to, co jej nagadałeś. To nie jej wina.

Próbowała mnie ostrzec w delikatny i subtelny sposób, podkreślając, że jego siostra nie cieszy się najlepszą reputacją. Mówiła, że tobie mogłoby się to nie spodobać. Teraz rozumiem, dlaczego nie była chętna wdawać się w bardziej dokładne wyjaśnienia.

- Rzeczywiście.

- Dotrzymywała mi towarzystwa niezwykle skrupulatnie, wręcz uciążliwie, jak mi się zdawało, chociaż czasem musiało ją to nużyć.

- Zachowałem się niestosownie. Nie uprzedziłem jej, że nie powinnaś go widywać. Poza tym zdaję sobie sprawę z tego, że nie może za ciebie decydować. Mówiłem w gniewie. Oczywiście, że ją przeproszę. Obawiam się jednak, że to niczego nie zmieni. Lady Haughston od lat ma wyrobione zdanie o mnie.

Znaleźli Francescę w dużym salonie. Siedziała przy pianinie, ale nie grała. Zapatrzona przed siebie, trzymała dłonie na kolanach. Zatrzymali się na chwilę w drzwiach, a potem książę wszedł do środka.

- Lady Haughston...

Francesca odwróciła się na dźwięk głosu Rochforda i wstała. Jej twarz miała uprzejmy, chłodny wyraz kobiety, której dobre wychowanie służy za tarczę obronną.

- Wasza książęca mość.

- Dałem pani wszelkie powody, by gniewa-

ła się na mnie. Przepraszam za moje zachowanie Nie mam najmniejszego prawa robić pani uwag' jak słusznie pani zauważyła. Jest oczywiste że pani i moja siostra mogą widywać, kogo zechcą. Na swoją obronę powiem tylko to, że za wszelką cenę chciałem chronić Calandrę, i żywię nadzieję, że wzięwszy to pod uwagę, wybaczy mi pani.

Francesca skinęła głową z godnością i odparła, zmieniając ton:

- Oczywiście. Nie powinno to pana kłopotować. Nigdy nie brałam sobie zbyt do serca pańskich krytycznych uwag.

- Bardzo mnie to uspokaja - zapewnił sucho. - Wracam na wieś. Callie chciałaby tu pozostać, jeśli oczywiście pani się zgadza.

- Naturalnie. Callie jest u mnie zawsze mile widziana.

Ktoś mniej biegły w towarzyskich niuansach mógłby nie wychwycić lekkiego nacisku, jaki Francesca położyła na imieniu Callie

- Dziękuję.-Skłonił się.-Wtakimrazie, jeśli pani pozwoli, pożegnam się.

Callie odprowadziła brata. Kiedy stanęli przy frontowych drzwiach, rzucił szybkie spojrzenie na salon, w którym stała Francesca.

- Nie martw się - powiedziała lekko rozbawiona Callie. - Dołożę starań, żeby ci to zapomniała. Zresztą nie jest osobą, która długo żywi urazę. Potrafi wybaczać.

- Tak? - Uśmiechnął się blado. - Nie zwracaj sobie tym głowy. Lady Haughston i ja... znamy się dobrze.

Patrzyła za nim, gdy wychodził ze zmarszczonym czołem. Po raz pierwszy zastanowiło ją, jak mają się sprawy między nim a Francescą. Odkąd pamiętała, Francesca była częścią jej życia, od lat przyjaciółką rodziny, więc było dla Callie oczywiste i bezdyskusyjne, że ona i Sinclair są przyjaciółmi. Teraz dotarło do niej, że odnoszą się do siebie w nieco skomplikowany sposób.

Francesca nie rozmawiała z Rochfordem w niewymuszony, często żartobliwy sposób jak z sir Lucieniem czy ze swoim bratem Dominikiem. Nie pozwalała sobie na lekko kokieteryjny ton, który często przybierała w rozmowach z innymi mężczyznami przy towarzyskich okazjach. Nawet podczas najbardziej błahej konwersacji panowało między nimi ledwo wyczuwalne napięcie.

Przypomniała sobie zdziwioną minę Franceski, gdy powiedziała jej, że jest jedną z niewielu osób, którym Sinclair powierzyłby siostrę. A teraz jej brat z przekąsem stwierdził, że opinia lady Haughston o nim jest ugruntowana od

lat, i jak się Callie nietrudno było się domyślić, nie uważał, że jest dla niego szczególnie korzystna.

Callie mogła sobie nazywać ich przyjaciółmi, ale wątpliwe było, czy oni sami określiliby siebie w ten sposób. Z drugiej strony, była przekonana, że nie żywią wobec siebie wrogich uczuć. Callie nie pamiętała, aby do dzisiejszego wieczoru Francesca kiedykolwiek wyraziła się źle o Rochfordzie lub zwróciła do niego ostro. On też ożywał się i przysłuchiwał z zainteresowaniem, gdy imię Franceski padło w konwersacji. Na każdym balu, w którym oboje uczestniczyli, Sinclair tańczył walca z Francescą. Nic by to nie znaczyło szczególnego w przypadku innego mężczyzny, ale Callie doskonale wiedziała, jak jej brat nie znosi tańczyć. O co w tym wszystkim chodzi?

Callie poszła prosto do małego saloniku, gdzie spodziewała się zastać przyjaciółkę. Instynkt jej nie zawiodł. Siedziała na sofie, trzymając na kolanach klocki do koronek - nieczęsty u niej widok. Kiedy Callie weszła, podniosła wzrok znad robótki i uśmiechnęła się, ale zaraz wróciła do pracy.

- Czy ty i książę doszliście do porozumienia? - spytała lekkim tonem.

- Tak - odparła Callie, a po chwili milczenia zapytała: - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Bromwell nienawidzi mojego brata?

Rumieniec zabarwił policzki Franceski, spojrzała przelotnie na Callie i zaraz umknęła wzrokiem.

- Ja nie wiedziałam... Nie mogłam być pewna, czy hrabia Bromwell nienawidzi Rochforda, chociaż oczywiście mogłam się tego spodziewać ze względu na... na księcia i... - Urwała.

- Chodzi o lady Daphne? - podsunęła jej Callie.

- Powiedział ci? - spytała Francesca ze zdziwieniem.

- Nie miał wyjścia. Zrozumiał, że nie pozwolę mu się zbyć i musi mi wreszcie wyjaśnić, dlaczego tak stanowczo domagał się, abym nie widywała hrabiego. Czemu tak się obawiał, że Bromwell może mnie skrzywdzić? Kiedy mi wyjawiał, że hrabia wyzwiał go na pojedynek...

- Co takiego? - Igła wysunęła się z palców Franceski i upadła na podłogę. - Wyzwał Sinclaira na pojedynek?

- Tak. Nie wiedziałaś?

- Nie. Chyba oszalał! Powszechnie wiadomo, jakim znakomitym strzelcem jest Rochford.

- Wydaje mi się, że Bromwell był tak zły, iż nie myślał - stwierdziła Callie. - Miał wtedy siedemnaście czy szesnaście lat i podejrzewał, że Sinclair... postąpił w niegodziwy sposób z jego siostrą, uwodząc ją, a potem porzucając.

Francesca parsknęła z oburzeniem.

- Tak jakby trzeba było uwodzić lady Daphne!

- Bromwell bardzo kocha siostrę. Słyszałam, jak o niej mówi. Jestem pewna, że nawet teraz nie zdaje sobie sprawy z tego, jaka ona jest. A tym bardziej wtedy, kiedy był taki młody.

- Daphne miała nadzieję, że zmusi twojego brata do zawarcia małżeństwa. Bardzo chciał zostać księżną Rochford.

- Nie znała Sinclaira.

- Rzeczywiście nie - potwierdziła Francesca i na jej wargach pojawił się lekki uśmiešek. - Rochford nie znosi, gdy wywiera się na niego presję... Rochford nie biłby się z chłopcem.

- Oczywiście, że tego nie zrobił, ale żałuje że: źle pokierował sprawą. Wysztydził Bromwella i uraził jego dumę. Brom... hrabia musiał żywić urazę przez te wszystkie lata i kiedy nadarzyła się okazja do zemsty, wykorzystał ją. Adorował: siostrę księcia, a potem bezceremonialnie zaniechał tego, wystawiając ją na plotki.

- Tak mi przykro. - Francesca ujęła dłoń Callie, niebieskie oczy wypełniły się łzami - Nie słyszałam o pojedynku. Ja... byłam zaabsorbowana swoim pierwszym sezonem, lord Haughston poprosił mnie o rękę... Myślałam o własnych sprawach i nie zwracałam zbytnej uwagi, o czym plotkuje się w towarzystwie. - Nie widziała powodu, aby dodać, że w tamtym czasie szczególnie skrupulatnie unikała wszelkich rozmów o księciu Rochfordzie. - Początkowo byłam podejrzliwa wobec Bromwella, ale tylko dlatego, że zastanawiałam się, czy nie jest taki sam jak siostra. Chciwy, nadmiernie ambitny, rozpustny. Zastanawiałam się też, czy adoruje cię na serio i czy nie czuje żalu do Rochforda, ale przecież nie mogłam rozmawiać z tobą o twoim bracie i lady Daphne. Nie mogłam również wiedzieć, jak silne uczucia miotają hrabią ani że będzie szukał zemsty na księciu poprzez ciebie... Nie powinnam pozwolić mu tutaj przychodzić. Należało baczej mu się przyjrzeć.

Callie uścisnęła dłoń przyjaciółki.

- Jesteś kochana. Wiedziałam, że Sinclair go nie lubi i nie życzy sobie, by koło mnie się kręcił. Jeżeli ktokolwiek jest winny, to ja. Zawzięcie upierałam się przy swoim i nie chciałam wziąć pod rozwagę rady brata. Zbyt pochopnie uwierzyłam, że Bromwellowi zależy na mnie.

- Jest godny pogardy! - zawyrokowała Francesca. - Załóż się, że złamię ci serce! Obiecuję ci, że wymyślę coś wystarczająco przebiegłego, aby zgotować mu bolesny upadek w oczach socjety.

Callie roześmiała się, wiedząc, że Francesca mówi poważnie.

- Nie złamał mi serca. Mówiłam ci, że nie jestem typem romantyczki. Nie zakochałam się



w nim na zabój. Tak jak powiedziałam Sinclairowi, ucierpiała jedynie moja duma i czuję się zażenowana. Przecież sezon na dobre się nie rozpoczął, w Londynie nie ma nawet połowy ludzi, których znam, a za kilka tygodni pojawi się bardziej interesujący temat do plotek niż urażona duma siostry księcia.

Nie przekonało to Franceski, wciąż miała zmartwioną minę, ale nie kontynuowała rozmowy, za co Callie była jej wdzięczna. Kto jak kto, ale ona wiedziała, że jej słowa nie do końca są prawdziwe i trudno byłoby jej udawać przed przyjaciółką całkowitą niefrasobliwość. Nie wierzyła, że plotki szybko ucichną, i chociaż nie podobało jej się, że będzie przedmiotem rozmów, zniosłaby to bez większego wysiłku. Nie kłamała. Co do stanu swojego serca - tak. Nie tylko jej duma ucierpiała, została zraniona.

Nie jestem w nim zakochana, powtarzała sobie, lecz nie mogła zaprzeczyć, że bez niego dni wydawały się pozbawione uroku. Brakowało jej rozmów, widoku jego twarzy, uśmiechów. Czuła się samotna i nieszczęśliwa. Budziła się rano z dawnym uczuciem radosnego podniecenia, a potem przypominała sobie, że Bromwell zniknął z jej życia, i ogarniał ją nużący smutek.

Była jednak zdeterminowana pokazywać światu zadowoloną twarz; przynależność do rodu Lilles do czegoś ją zobowiązywała.

Dni upływały na składaniu i przyjmowaniu wizyt, towarzyszeniu Francesce na przyjęciach, gdzie rozmawiała z krewnymi i znajomymi, często żartując i śmiejąc się. Zdarzały się noce, gdy długo płakała w poduszkę, i poranki, kiedy wydawało się jej, że nie wstanie z łóżka, ale świat nie musiał o tym wiedzieć.

Któregoś wieczoru w teatrze przysłała do ich łóży wraz z matką Sally Pemberton, blondynka o ostrych rysach, i ledwie wymieniły zwyczajowe uprzejmości, wypaliła:

- Czyż to nie dziwne, że hrabia Bromwell ostatnio tak rzadko się pokazuje?

- Tak? - zdumiała się uprzejmie Callie. - Nie zwróciłam uwagi.

- Nie zwróciłaś uwagi? Ależ, moja droga, praktycznie nie odstępował cię na krok! Na każdym przyjęciu, podczas proszonych kolacji... Spodziewaliśmy się usłyszeć o radosnym wydarzeniu, a tu... — Urwała i wzruszyła lekko ramionami. - Trudno się dziwić, że wszyscy zastanawiają się, co się stało.

- Przekonałam się, że nie ma nic głupszego, niż brać na serio młodego dżentelmena; ani tego, co mówi, ani tego, co robi. Słusznie się uważa, że to płochość mężczyzn jest przyczyną

trzymania uczuć na wodzy przez mądre kobiety - odparła Callie.

Co z tego, że musiała zacisnąć dłonie w pięści, wbijając sobie w skórę paznokcie, żeby twarz jej nie zdradziła? Co z tego, że znów będzie płakać w poduszkę? Żadna panna Pemberton się o tym nie dowie.

Francesca z pewnością podejrzewała, że Callie spędza bezsenne noce, widziała przecież podpuchnięte od łez oczy i sine podkówki od niewyspania, gdy spotykały się na śniadaniu, ale taktownie milczała. Callie wiedziała, że przyjaciółka odrzuca wiele zaproszeń, przyjmując tylko tyle, aby było widoczne, że Callie nie siedzi w domu, przeżywając bolesny zawód. Widziała też, że Francesca dotrzymuje jej towarzystwa przez większą część wieczoru, szybko i zręcznie zmieniając temat, gdy rozmowa zaczyna przybierać niepożądany obrót, albo ucinając w zarodku zapędy tych, którzy mieli czelność próbować powtarzać plotki krążące na temat Callie i hrabiego Bromwella. Choćby już z tego jednego powodu, myślała Callie, Francesca zawsze pozostanie jej bliska.

Nie spotkała Bromwella na żadnym przyjęciu, na którym była, i przypuszczała, że wyjechał z Londynu. Czasem jednak ktoś wymieniał jego nazwisko, a sir Lucien powiedział Francesce, że widuje się go często w Cribb's Parlour, gdzie zbierali się zamożni dżentelmeni, których łączyło zamiłowanie do boksu, i gdzie odbywały się słynne walki na pięści. Podobno spędził również kilka popołudni w Jackson's Saloon, gdzie stoczył sparringową walkę z samym Jacksonem.

Callie prześladowała myśl, że został w Londynie po to, by nacieszyć się zemstą i przekonać, ile szkody wyrządził dobremu imieniu siostry Rochforda. Paradoksalnie umocniło ją to i przyjęła zaproszenia na dwa bale, na które przedtem postanowiła nie iść z obawy, że go tam spotka. Coraz liczniejsze towarzystwo zjeżdżało do Londynu. Z każdym dniem dostawały coraz więcej zaproszeń z różnych okazji i częściej spędzały wieczory poza domem.

Zupełnie nie pociągała jej perspektywa bywania na balach, kolacjach, wizytach, podczas gdy było jej ciężko na sercu. Wszystko się w niej buntowało na myśl o życiu w Londynie od wiosny do czerwca, kiedy wpadało się w wir towarzyskich zobowiązań i nie sposób było się od nich uwolnić. Co do planów znalezienia męża podczas tego sezonu... Pomysł wydawał jej się teraz absurdalny. Dlaczego w ogóle na niego wpadła? Tęskniła do Marcastle, najchętniej wróciłaby tam do Sinclaira, albo jeszcze lepiej do Dancy

Park. Mogłaby spędzać dni na jeździe konnej i długich spacerach po okolicy, odwiedzać brata Franceski i jego żonę. Życ w spokoju, bez szpiegujących oczu, wypatrujących na jej twarzy oznak smutku lub zawstydzienia. Nie musiałyby się zamartwiać, co zrobi, jeśli spotka hrabiego na przyjęciu.

Wiedziała jednak, że nie może opuścić Londynu. Dostarczyłaby dodatkowego żeru plotkarzom. Nikt nie wyjeżdżał w środku sezonu, chyba że miał po temu ważną przyczynę. W jej przypadku z pewnością uznano by, że powodem jest złamane serce. Musi zostać jeszcze co najmniej dwa miesiące, aż do maja. Powziąwszy tę decyzję, omal nie rozplakała się z żalu nad sobą.

- Powinnyśmy pojechać dzisiaj na wieczorek muzyczny do lady

Whittington - powiedziała Francesca któregoś popołudnia.

Callie ledwie zdołała powstrzymać głośny jęk.

- Wiem, wiem - dodała współczująco Francesca. - Zwykle są śmiertelnie nudne.

- Zwykle?

- No dobrze, zawsze. Mają jednak niezaprzeczalną zaletę: kończą się przed dziesiątą i nie trzeba rozmawiać. Można udawać, że słucha się kiepskiej muzyki.

- Jeśli jest się biegłym w udawaniu - zgodziła się przewrotnie Callie. - Pokazywać się tylko przez dwie godziny to rzeczywiście przyjemna odmiana.

Z mniejszą niż zwykle niechęcią ubierała się na wieczór i nawet pozwoliła pokojówce spędzić sporo czasu na układaniu jej loków. Francesca, jak to miała w zwyczaju, pojawiła się w momencie, gdy większość gości już przybyła. Nie było w tym nic niezwykłego, niemniej Callie błogosławiła tę słabostkę lady Haughston, gdyż poważnie redukowała czas, który spędzała na radosnym paplaniu i udawaniu, że nie zauważa nieobecności hrabiego Bromwella.

W foyer spotkały lady Manwaring i jej siostrę, pannę Beltenham, i wszystkie cztery wkroczyły do pokoju muzycznego, gdzie przystanąły, rozglądając się w poszukiwaniu miejsc. Wzrok Callie powędrował ku zachodniej ścianie sali i serce zamarło jej w piersi. Stał tam hrabia z łokciem opartym niedbale o marmurowy piedestał. Patrzył prosto na nią.

Nie widziała go od tygodnia, a od dwóch nie zamieniła z nim słowa.

Uderzyło ją, jaki jest przystojny. Ich spojrzenia spotkały się i Callie w panice

pomyślała, że zaraz do niej podejdzie. Nie zniesie tego. Nie na oczach tych wszystkich ludzi. Odwróciła się i dotknęła ramienia Franceski.

- Przepraszam cię, ale trochę boli mnie głowa...

- Źle się poczułaś? Podobno panuje grypa.

- Nie, to tylko... jest tu trochę zbyt gorąco. Proszę cię, nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu zajmij miejsce i ciesz się muzyką. Ja za chwilę wrócę. Callie odwróciła się i patrząc prosto przed siebie, wyszła z pokoju muzycznego.

### **Rozdział czternasty**

Callie pospiesznie przemierzyła hol, nie bardzo wiedząc, dokąd właściwie idzie. Zobaczyła otwarte drzwi prowadzące do niewielkiej biblioteki, przeszła przez nie i zamknęła je za sobą. Z westchnieniem ulgi opadła na krzesło z wysokim oparciem. Natychmiast pożałowała swojej ucieczki. Czy ktoś ją zauważył? Z pewnością tak. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie wyglądała na tak zdenerwowaną, jak w rzeczywistości była. Znacznie trudniej było udawać obojętność, kiedy go widziała. Gdy zaprzestał składać wizyty, początkowo miała nadzieję przed każdym przyjęciem, na które się wybierała, że go spotka. Była przygotowana stawić mu czoło, co nie przeszkadzało jej liczyć w skrytości ducha na to, że wszystko się wyjaśni. Z upływem czasu przestała się go spodziewać, rozluźniła się i teraz

jego widok podziałał na nią piorunująco. Poza tym nie było już w jej sercu nadziei - wiedziała, dlaczego ją adorował i nagle zaprzestał.

Musi wrócić. Nie może przesiedzieć tu całego wieczoru ani nawet kilkunastu minut. Okaze publicznie, jak bardzo ją zranił, i te dwa tygodnie udawania, które przyszło jej z takim trudem, pójdą na marne. Zamknęła oczy, starając się uspokoić.

Nieoczekiwanie ktoś otworzył z rozmachem drzwi i Callie podskoczyła na krześle, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia.

Bromwell!

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym wstała, zaciskając dłonie w pięści, jakby przygotowywała się do starcia.

- Hrabio Bromwell - powiedziała, zadowolona, że głos jej nie drży.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Myślałem... Czy dobrze... pani się czuje?

- Dziękuję, tak - odparła chłodno. - Jeśli spodziewał się pan widoku kobiety ze złamanym sercem, będzie pan musiał przeżyć rozczarowanie.

- Wcale nie chciałem łamać pani serca! — wybuchnął. - Ja... - Urwał i zaczął chodzić po pokoju. - Do diabła! Zależało mi na tym, żeby utrzymać nosa pani bratu.

Callie zeszczywniała.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że interesował się pan mną jedynie dlatego, że chciał pan zemścić się na moim bracie. Nie sądzę jednak, by złośliwe plotki o tym, że straciłam adoratora i dlaczego, zaszkodziły w jakikolwiek sposób Rochfordowi. Bez wątpienia denerwuje pana fakt, że nie udało się panu narazić na szwank mojego dobrego imienia - dodała z pogardą.

Bromwell stanął jak wryty.

- Tak pani o mnie myśl? Że jestem człowiekiem zdolnym okryć niesławą kobietę, aby zemścić się na jej bracie?

- A co mam myśleć! - wykrzyknęła Callie. Długo powstrzymane emocje owładnęły nią całkowicie. - Niby dlaczego tak się za mną uganiałeś? Brat miał rację. Ostrzegał mnie przed tobą! Chciałeś skalać nasze dobre imię i wybrałeś najłatwiejszy według ciebie sposób!

- Tak? - Bromwell podszedł do Callie. - Skoro taki był mój cel, jak wytłumaczysz fakt, że cię nie skalałem?

- Taki już twój pech. Nie udało się - powiedziała ze złością.

Złapał ją mocno za ramię.

- Nie udało się? - powtórzył szyderczo. - Tak uważasz? I w czym to miałem pecha? Bo możliwości mi nie brakowało, a ty nie stawiałaś oporu. -  
Przyciągnął Callie do siebie, patrzył na

nią płonącymi oczyma. - Założyłbym się, że dalej jesteś chętna. Pocałował ją gwałtownie, ze złością. Powinno ją to przestraszyć i zniechęcić. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Przeciwnie, zaborczy, żarłoczny pocałunek sprawił, że oblała ją fala gorąca. Zarzuciła Bromwellowi ramiona na szyję i przywarli do siebie, całując się namiętnie. W pewnym momencie hrabia podciągnął spódnicę Callie i wsunął dłoń, którą błędził po jej udach, pośladkach, brzuchu.

Callie poruszyła niespokojnie, gdy jego ręka śmiało zsunęła się po jej brzuchu między uda. Nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś może jej tak dotykać, ale się nie przestraszyła. Poruszyła się znowu, tym razem marząc, by dotykał jej dalej. Brom jęknął gardłowo; niczego nie pragnął goręcej, jak dotykać jej nagiej, nie przez bieliznę. Oderwał usta od jej warg, całował po szyi, piersiach nabrzmiałych ponad linią dekoltu. 'Smakował jej skórę językiem i wargami, zostawiając wilgotne ślady. W pewnej chwili oswobodził jej piersi i pochyliwszy głowę, obwiódł językiem sutki, a gdy stwardniały, poddał subtelnej pieszczocie oddechem, którą Callie odczuła całym ciałem. Zaczął przesuwając ustami i językiem po piersiach, a palce dłoni między jej udami powtarzały powolne ruchy ust. Callie bezwiednie odchyliła się lekko do tyłu, rosła w niej potrzeba zaspokożenia.

Nagle Bromwell oderwał się od niej z cichym okrzykiem i odwrócił. Zachwiała się lekko, patrząc na niego z niedowierzaniem. Miała ochotę prosić, żeby nie przestawał, by dał jej to, czego domagało się jej ciało. Zebrała w sobie resztki dumy i stała dalej, milcząc.

Pochylił się nad stołem bibliotecznym, przytrzymując się jego krawędzi, pierś wznosiła się mu i opadała w ciężkim, przyspieszonym oddechu.

Callie patrzyła na jego plecy, wciąż drżąc na całym ciele. Czuła się całkowicie bezbronna jak stworzenie pozbawione ochronnej skorupy.

Powoli doszła do siebie na tyle, aby podciągnąć koszulkę i stanik na miejsce i wygładzić materiał spódnicy. Dała kilka niepewnych kroków do tyłu i powiedziała:

- Musisz być szczęśliwy, że udało ci się mnie upokorzyć.

- Upokorzyć ciebie? To ja nie mogę opuścić tego pokoju.

- Nie ma sensu o tym rozmawiać - oznajmiła stanowczo, przyciskając dłonie do płonących policzków. Rosło w niej uczucie żalu, coraz silniejsze w miarę słabnięcia pożądania. - Nie pozwolę, abys posłużył się mną przeciwko mojemu bratu. Niezależnie od tego, jak niepohamowane emocje jesteś w stanie we mnie



wzbudzić, nie pozbawisz mnie dobrego imienia. Dopilnuję, abyśmy nigdy więcej nie zostali sami.

- Nie chciałem rujnować twojej reputacji i nie musisz się mnie obawiać. Ani tego, co zamierzam. - Odwrócił się, by na nią spojrzeć. - Nie pomyślałem, że to ciebie dotknie, kiedy wszystko zaczynałem, za co cię przepraszam.

Chciałem, żeby Rochford pomartwił się, czy jestem zdolny zrobić tobie to samo, co on mojej siostrze. Miałem nadzieję, że spotka się ze mną i dokończymy historię, którą zaczęliśmy piętnaście lat temu... Nie zamierzałem cię ranić i nie przypuszczałem, że ta sprawa wymknie spod kontroli... że będę cię tak szaleńczo pragnął, liczył minuty do spotkania z tobą. Albo że zgłupieję i przyjdę na coś tak beznadziejnie nudnego jak wieczorek muzyczny lady Whittington, byle tylko cię zobaczyć.

Callie patrzyła na niego z rozpaczą, a jednak gdzieś w głębi serca tliła się nadzieja.

- Skoro tak, dlaczego przestałeś mnie odwiedzać?

- Bo nie ma przyszłości dla mnie i siostry księcia Rochforda! - zawołał, przyciskając ręce do głowy, jakby obawiał się, że zaraz eksploduje. Zaczął nerwowo chodzić od ściany do ściany. - Twój brat **zniszczył** moją siostrę. Rozkochał ją w sobie, uwiódł i porzucił, choć nosiła jego dziecko. / ^

- Sinclair nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego! - oburzyła się Callie. - Jest człowiekiem honoru. Nie skrzywdziłby żadnej kobiety, Zresztą powiedział mi, jak było. Nawet nie dotknął twojej siostry.

- A ty w to uwierzyłaś.

- Bo to prawda.

- Wiem od siostry, co się stało.

- Skłamała ci - powiedziała bezceremonialnie Callie.

- Nic podobnego!

- Twierdzisz, że ona nie kłamie? Skłamała mi, że lord i lady Radbourne będą w Vauxhall. Kiedy poprosiliśmy lady Radbourne o wyjaśnienie, powiedziała, że dostała od twojej siostry bilecik z informacją o odwołaniu spotkania. Wyprowadziła mnie w pole po to, żebym została sama.

Próbowała...

- Wiem... - przerwał jej. - Zorientowała się, jak bardzo cię pragnę, i chciała mi pomóc. To naprawdę dwie różne rzeczy. Nie kłamałaby mi o... o tym - dokończył niezręcznie.

- Mój brat nigdy mnie nie oszukał.

- Jesteś lojalna wobec brata tak jak ja wobec siostry.  
Callie odetchnęła głęboko, patrząc, jak Bromwell odchodzi. Otworzył drzwi i przystanął na moment. Odwrócił się i powiedział:

- Przepraszam, że cię zraniłem. Ja... - Zamilkł i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Callie przycisnęła dłoń do ust, aby powstrzymać szloch. Podeszła chwiejnym krokiem do krzesła i usiadła, starając się ze wszystkich sił nie płakać. Nie zostanie w Londynie ani chwili dłużej! Dławiąc łzy, opuściła bibliotekę. W foyer odszukała lokaja i posłała go do Franceski z wiadomością, że ona wraca do domu. Drugi lokaj znalazł jej pelerynę, ale nie zdążył jej podać, gdy zjawiała się zmartwiona Francesca.

- Kochanie, jesteś chora? Musimy natychmiast jechać.

Callie skinęła głową i powiedziała niewyraźnie:

- Ty nie musisz...

- Nonsens - zaprzeczyła energicznie Francesca, pokazując gestem lokajowi, aby podał jej okrycie. - Przecież nie zostanę tutaj, zamartwiając się o ciebie. Powiedziałam, lady Manwaring, że zachorowałaś, i poprosiłam, aby usprawiedliwiła nas przed lady Whittington.

Callie powtórnie skinęła głową i naciągnęła kaptur na głowę, zadowolona, że może osłonić twarz. Francesca podtrzymała ją w drodze do powozu.

- Co się stało? - spytała, ledwie się usadowiły. - Widziałam, jak hrabia Bromwell wyszedł za tobą. Rozmawialiście? Czy to dlatego...

- Tak, dlatego! - przerwała jej Callie niezdolna dłużej nad sobą panować.

Łzy popłynęły jej z oczu. - To nierealne. Byłam głupia, że miałam nadzieję... On nie zachowa się nielojalnie wobec siostry ani ja wobec Sinclaira. Nie ma znaczenia, co do niego czuję ani co on do mnie. To beznadziejne...

- Och, moje biedactwo.

Francesca objęła Callie, a ona szlochała niepowstrzymanie, nie próbując powstrzymać płaczu.

Po opuszczeniu domu lady Whittington Bromwell poszedł prosto do siostry, bezskutecznie starając się uspokoić.

- Brom! - wykrzyknęła na jego widok i wyciągnęła obie ręce w geście powitania, uśmiechając się do niego tak serdecznie, że poczuł się odrobinę winny.

Ostatnio rzadko ją odwiedzał. Większość czasu spędzał w klubie lub w domu, szukając pociechy w kieliszku. Ratowały go wizyty u Jacksona, gdzie mógł ćwiczyć boks, jakby walenie w kogoś czy w coś mogło mu przynieść ulgę.

- Bałam się, że masz do mnie pretensję za fiasko tej imprezy w Vauxhall. -

Daphne ucisnęła dłonie brata. - Proszę, usiądź koło mnie.

- Wiem... myślałaś, że robisz dobrze - odparł wymijająco.

- Oczywiście. - Rozpromieniła się, biorąc jego odpowiedź za wyraz aprobaty. - Przecież zależy mi tylko na tobie.

- Tak, zaraz po biżuterii i może przed strojami - powiedział, zdobywając się na błądy uśmiech.

- No wiesz! Wyjdziemy gdzieś razem? Masz jakieś plany? Słyszałam o bardzo przyjemnym domu gry. Oczywiście nigdy nie poszłabym tam sama, ale razem z tobą to inna sprawa.

- Nie jestem w nastroju. Poproś, aby towarzyszył ci któryś z niezliczonej rzeszy twoich wielbicieli. Przyszedłem poinformować, że wyjeżdżam z Londynu.

- Wyjeżdżasz z Londynu? - powtórzyła z niedowierzaniem Daphne - Co to ma znaczyć? Dokąd jedziesz?

- Do majątku. Znacznie mi tam lepiej.

- A co z Rochfordem i z lady Calandrą?

- Skończyłem z tym - stwierdził stanowczo Bromwell.

Podszedł do kominka, wziął pogrzebacz i poprawił polana, a potem wpatrzył się w płomienie.

- Powiedziano mi, że przestałeś asystować lady Calandrze, ale nie sądziłam, aby to zakończyło sprawę.

Wetknął pogrzebacz na miejsce i odwrócił się do siostry.

- Książę nie pojawił się, aby stanąć ze mną twarzą w twarz, zatem nie widzę powodu, aby to kontynuować.

- Nie widzisz powodu? - Daphne zerwała się na równe nogi. - Myślałam, że zamierzasz mnie pomścić!

- A twoim zdaniem co jeszcze powinienem zrobić?

- Coś więcej, niż tylko upokorzyć ją z lekka w oczach socjety!

- To i tak za dużo jak na niczemu niewinną dziewczynę.

- Nie! Wcale nie! Za mało jak na to, co jej brat mi zrobił!

- Nie mogę zmienić przeszłości, a Bóg mi świadkiem, że tego bym pragnął - zapewnił Bromwell. - Krzywda Callie nie sprawi, że będziesz szczęśliwa.

- Chętnie bym ją zniszczyła - oznajmiła zawzięcie Daphne, a jej piękną twarz wykrzywił grymas złości.

Bromwell popatrzył na siostrę, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Daphne, nie mówisz tego serio! Uraza i gorycz odbierają ci zdolność myślenia. Nie możesz, pragnąc zemsty na księciu, doprowadzić do zrujnowania reputacji jego siostry. Roz-

mawialiśmy o tym i uznałem, że przyjęłaś to do wiadomości. Jak również to, że ja nie jestem mężczyzną zdolnym do popełnienia takiego czynu. Lady Daphne wzięła głęboki oddech, po czym zmieniła ton.

- Oczywiście, że nie. Masz rację. Nie chcę, żeby spotkało ją takie zło. Ja tylko... Zorientowałam się, że jej pragniesz i... - Odwróciła się od brata i poprawiła poduszkę na kanapie. - Ale... - wzięła drugą poduszkę, położyła sobie na kolanach i zaczęła bawić się frędzlami - przeraża mnie myśl, że wyjedziesz. Rzadko widywałam cię przez ostatnie lata i ogromnie cieszyłam się na wspólny sezon w Londynie.

- Wiem, ale mam pewne obowiązki związane z prowadzeniem majątku, i nie tylko korespondowanie z zarządcą.

- Och, to takie nudne. Potrzebujesz rozrywki. Nie możesz tyle pracować. Jesteś dżentelmenem.

- Dżentelmenem, który dusi się bez pracy.

- Już wiem! - Daphne rozpromieniła się. - Może pojechałbyś do domku myśliwskiego mojego zmarłego męża? Odpocząłbyś kilka dni, , zanim wrócisz do majątku.

- Przecież to nie jest Sezon na polowania -zaprotestował Bromwell. - Go ja bym tam sam? porabiał?

- Odbywałbyś wycieczki po okolicy, a wieczorami czytał przy kominku.

- Mogę to robić w domu.

- Owszem, ale zatrzymując się w domku myśliwskim, byłbyś blisko Londynu. Mogłabym przyjechać do ciebie po balu u Went-whistle'ów. Obiecałam pani Wentwhistle, że jej nie zawiodę. Przyjadę do ciebie i spędzimy razem kilka dni. Czy nie będzie przyjemnie? Tylko ja i ty jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Będziemy mogli się nagadać za wszystkie czasy. Odkąd jesteśmy w Londynie, widzę, jak mi ciebie brakowało przez te minione lata.

- Odwiedzaliśmy się dwa, trzy razy w roku, odkąd poślubiłaś lorda Swithingtona.

- Pewnie uważasz, że to dziecinne - powiedziała przymilnie Daphne. - Było tak przyjemnie mieszkać blisko ciebie przez ostatnie tygodnie. Proszę, zgódź się, chyba że wciąż gniewasz się na mnie za Vauxhall.

- Dobrze - odrzekł z uśmiechem. - Zawsze stawiasz na swoim i teraz też nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić.

- Świetnie - stwierdziła i roześmiała się czarująco. Przysunęła się bliżej i wsunęła mu rękę pod ramię. - Będziemy się dobrze bawić. Zaraz napiszę do gospodyni, że ma cię oczekiwać pojutrze. Zgoda?

- Tak, to mi odpowiada. Muszę mieć chociaż jeden dzień na ułożenie spraw w Londynie.

- Cudownie - ucieszyła się Daphne. - Przekonasz się, że nie pożałujesz. Następnego ranka Francesca kategorycznie stwierdziła, że Callie uczyniła wystarczająco dużo, aby zachować twarz.

- Myślę, że powinnaś teraz pobyć trochę w domu - orzekła.

Siedziały w jadalni przy śniadaniu. Callie jadła mało, grzebiąc widelcem w talerzu. Spojrzała na Francescę z nieskrywaną nadzieją.

- Naprawdę tak uważasz?

- Zademontrowałaś, że postępowanie hrabiego cię nie dotknęło i że nie dbasz o niestałego adoratora. Minęły dwa tygodnie i wydaje mi się to wystarczającym okresem, aby-nawet najbardziej niestrudzone plotkarki zamilkły.

- Przecież wiem, że będą plotkować na temat mojego zachowania wczorajszego wieczoru -powiedziała z gryrhasem niechęci Callie. - Żałuję, że nie potrafiłam lepiej nad sobą zapanować.

- To, co się wydarzyło, tylko uprawdopodobni naszą bajeczkę.

Zachorowałaś i dlatego musiałaś wyjść z przyjęcia. Będiesz chorować co najmniej tydzień, inaczej wyda się to podejrzanе. Może dwa, kto wie? Może tak cię to wycieńczy, że wrócisz na wieś na okres rekonwalescencji...

- Brzmi pociągająco - stwierdziła Callie - ale nie jestem pewna, czy chciałabym pogłosek o mojej śmiertelnej chorobie.

- Rzeczywiście - zgodziła się Francesca. -Wszyscy by cię potem zadręczali pytaniami. Skomplikowane kłamstwa są trudne do utrzymania. Tydzień, może trochę dłużej. Nalegam, żebyś potem dbała o siebie. Nie możesz tak od razu rzucić się w wir rozrywek i ponownie rozchorować.

Francesca uśmiechnęła się i z dołeczkami w policzkach wyglądała tak uroczo, że nie sposób było nie odpowiedzieć jej uśmiechem.

- Dobrze - poddała się Callie. - Przekonałaś mnie. Nie zaprzeczę, że z ulgą przestanę bywać.

- W takim razie postanowione. - Francesca przypieczętowała umowę energicznym skinieniem głowy. — Będę musiała sama wypełniać nasze towarzyskie zobowiązania, ale zredukuję je poważnie. Zamierzam poświęcić się pielęgnowaniu ciebie, inaczej co by ze mnie była za przyjaciółka.

Po południu Callie została z książką w swoim pokoju, a Francesca zeszła do salonu przyjąć ewentualnych gości. Callie nie omieszkała wyznać

przyjaciółce, jak bardzo jej ulżyło, że nie musi udawać spokoju ani ożywienia, które



ostatnio rzadko czuła. Prawdę mówiąc, nie miała pewności, czy dzisiaj byłaby zdolna udawać.

Oczy miała wciąż zaczerwienione i podpu-chnięte nie tyle po wczorajszym wybuchu płaczu, co po źle przespanej nocy - budziła się kilkakrotnie i popłakiwała. Myślała, że wypłakała wszystkie łzy, tymczasem gdy rano się obudziła, zachciało jej się płakać na widok sukni, którą przygotowała dla niej Belinda. Miała ją na sobie wtedy, gdy Bromwell złożył pierwszą wizytę. Po ich ostatniej rozmowie czuła się samotna i opuszczona. Wiedziała, że nie ma dla niego miejsca w jej życiu, lecz mimo to bardzo tęskniła. Czyżby się zakochała?

Francesca usiadła za biurkiem i przeglądając rachunki, zastanawiała się, jak to rnożliwe, że zostały skrupulatnie popłacone, chociaż jadły dobrze i nie oszczędzały na świecach ani węgłu. Podejrzewała, że to za sprawą plenipotentą, którego książę przysłał, aby ustalił z Fentonem wielkość wydatków podczas pobytu Calandry. Nie wiedziała tylko, czy Fenton wycisnął z pełnomocnika Rochforda pokąźną sumkę, wyższą niż należało, czy książę poifistruował swojego człowieka, aby wyasygnował więcej. Nie mogła więc zdecydować, któremu należy się kilka gorzkich słów. Od Fentona nie dowie się prawdy, tego była pewna, wiedząc, że jest niesłychanie dyskretny.

Kiedy kamerdyner wszedł do saloniku, przemknęła jej przez głowę niedorzeczna myśl, że ściągnęła Rochforda myślami, tymczasem służący oznajmił, że przybyła lady Pencully i czeka w dużym salonie.

Francesca zerknęła w niewielkie lustro wiszące przy drzwiach saloniku, żeby sprawdzić, czy jej fryzura wygląda nienagannie i czy nie ma smużki atramentu na twarzy, po czym wyszła, wyglądając dla pewności po drodze spódnicę. Lady Odelia zwykle pierwsza składała wizyty, i to tak wcześnie, że nie można było liczyć na innych gości, którzy „rozrzedziliby” nieco atmosferę.

- Lady Odelio - powiedziała, uśmiechając się promiennie i dygając przed starszą damą. - Jak miło panią widzieć. Jestem zdumiona, że jeszcze nie wyjechała pani z miasta. Czy zamierza pani zostać na cały sezon?

- Witaj, Francesco - odezwała się lady Odelia i pokazała gestem na miejsce obok siebie, zupełnie jakby to ona była gospodynią. Jak zwykle ubrana w suknię skrojoną według mody sprzed co najmniej dziesięciu, może piętnastu lat, siwe włosy miała wysoko upięte i ozdobione egretą. - Siadaj, dziewczyno, nie zmuszaj mnie do skręcania szyi, żeby na ciebie spojrzeć.

Francesca, która w obecności lady Odellii czuła się jak pensjonarka, posłusznie zajęła miejsce.

- Owszem, planowałam wyjechać, ale mój bal stanowczo dodał mi animuszu - oświadczyła starsza pani. - Człowiek musi skończyć osiemdziesiąt pięć lat, żeby zastanowić się, czy warto tłuc się do nudnego Sussex.
- Wiele osób wybiera latem Bath - podsunęła Francesca.
- Rzeczywiście, ale nie przyszedłam dyskutować o moich planach podróży
- powiedziała ze zniecierpliwieniem lady Odellia.
- Oczywiście, że nie-zgodziła się Francesca, zastanawiając, co starsza dama może od niej chcieć.

Ostatni raz złożyła jej wizytę, by prosić o pomoc w znalezieniu żony dla Wnuka, lorda Radbourne'a. Sprawa znalazła szczęśliwy finał, mimo to Francesca poczuła się odrobinę niespokojna. Lady Odellia była mistrzynią w zmuszaniu innych, aby robili to, co chciała.

- Twój kamerdyner poinformował mnie, że Callie jest chora.
- Tak, rzeczywiście-potwierdziła Francesca, mając nadzieję, że lady Odellia nie wyczuje kłamstwa. Tym razem, bo zawsze wydawało jej się, że stara dama ma zdolność widzenia ludzi na wylot. - Zachorowała przedwczoraj na wieczorku muzycznym u lady Whittington.
- Zachorowała? Czy może rozpacza po tym łobuzie Bromwellu? - spytała bez ogródek lady Odellia.
- Lady Calandra nie wiązała żadnych nadziei z hrabią Bromwellem - odpowiedziała gładko Francesca. - Przecież ledwie go znała. O ile pamiętam, spotkała go po raz pierwszy na pani balu urodzinowym.
- W tych sprawach czas nie zawsze gra rolę - oświadczyła lady Odellia. - Przeklęty smarkacz. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Podobno wrócił do majątku. Ja wiązałam nadzieje z nim i Callie. Ach, szkoda gadać. - Wzruszyła ramionami. - Nie brakuje jej innych starających.
- Z pewnością.
- Co robisz jutro? - spytała nieoczekiwanie starsza pani.

Francesca zdrętwiała.

- Ja... Właściwie nie wiem - plątała się, chcąc zyskać na czasie. Łatwo przychodziły jej uprzejme kłamstwa, gdy chciała się wymówić od towarzyskich obowiązków, ale nie w stosunku do lady Pencully. - O której godzinie jutro?
- Cały dzień. Wybieram się z wizytą do księżnej Chudleigh.
- Och... - Tylko tyle zdołała odpowiedzieć Francesca.

- Pomyślałam, że to dobry pomysł, abyś do mnie dołączyła. Mieszka w Sevenoaks, to ledwie

parę godzin jazdy. Z pewnością będzie jej przyjemnie ciebie widzieć, a ty miałabyś okazję napisać do matki, jak księżna się miewa. Nie wiem, czy słyszałaś, ale chorowała zimą.

- Matka wspominała mi o tym - potwierdziła niechętnie Francesca.

Perspektywa spędzenia dnia na podróży z lady Odelią, a potem siedzenia między dwiema damami wykrzykującymi do siebie głośno - ponieważ księżna, choć przygłucha, uparcie odmawiała używania trąbki, twierdząc, że ją to postarza - zupełnie jej nie pociągała. Niestety, lady Odelia zrobiła wyraźną aluzję do tego, że matka oczekiwałaby po Francesce złożenia wizyty księżnej Chudleigh. Francescę, tak samo jak Callie, wychowano tak, że nie Uchylała się od wypełniania rodzinnych obowiązków. Wiedziała, że nie potrafi spojrzeć lady Odellii w oczy i powiedzieć wprost, że nie zamierza złożyć wizyty starej matce chrzestnej jej matki. Zresztą nawet gdyby się na to zdobyła, lady Pencully znalazłaby argumenty, by to na niej wymóc. Lepiej sobie tego oszczędzić i poddać się z wdziękiem.

- Myślę, że Callie poradzi Sobie przez cały dzień - powiedziała z ociąganiem.

- Oczywiście - stwierdziła stanowczo lady Odelia. - W domu jest mnóstwo służby. Nic jej się nie stanie.

- Dobrze - zgodziła się Francesca, tłumiąc westchnienie. - Pojadę.

- Świetnie. - Lady Odelia rozpromieniła się. - Zajadę po ciebie o dziewiątej.

- O dziewiątej? - powtórzyła Francesca. - Rano?

- Oczywiście. - Lady Odelia spojrzała na nią z zastanowieniem. - Zajmie nam to cały dzień, lepiej wyruszyć wcześniej.

- Rzeczywiście.

Osiągnąwszy, co chciała, lady Pencully pożegnała się po kilku minutach. Kiedy wychodziła, Francesca pomyślała zjadliwie, że pewnie spieszy się, aby zmusić innego nieszczęśnika, by coś dla niej zrobił. Potem poszła na górę. Callie zachichotała na jej widok.

- Miło widzieć, że moje nieszczęście tak cię cieszy - powiedziała z przesadnym oburzeniem Francesca. Tak naprawdę była zadowolona, widząc po raz pierwszy od trzech dni uśmiechniętą przyjaciółkę.

- Przykro mi, naprawdę. Wiem, że będziesz się męczyć, ale jestem szczerze zadowolona, że kazałaś mi chorować.

- Wyobrażam sobie - odparła Francesca, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

- Inaczej zaciągnęłabym cię ze sobą.

Callie wstrząsnęła się z udawanego przerażenia.

- Ale może chcesz jechać? - drażniła się z nią Francesca. - Powiemy, że cudem ozdrowiałaś". Boję się, że zanudzisz się, siedząc tutaj sama.
- Lepiej siedzieć całkiem samotnie niż pół dnia w powozie z lady Odelią - odcięła się Callie. - Myślisz, że weźmie ze sobą tego okropnego sapiącego psa?
- Starego mopsa? - Francesca zrobiła przerażoną minę. - Nawet o tym nie mów!

Callie śmiała się szczerze, wdzięczna Frances-ce za to, że ją rozbawiła. Nie należała do osób uwielbiających pograżać się w smutku. Jutro znajdzie jakieś zajęcie, obiecała sobie w duchu.

Rano zjadła samotnie śniadanie, a potem zadzwoniła na pokojówkę i spędziła kilka godzin, przeglądając wiszące w szafie ubrania oraz buty. Zastanawiała się, co odświeżyć, dodając wstążki lub kwiaty, co rozdać, a co wyrzucić.

Nie trwało to długo, bo miała tylko to, co przywiozła z domu albo ostatnio kupiła i niewiele ubrań wymagało reperacji, a nic właściwie nie nadawało się do wyrzucenia. Do południa skończyła. Gdyby była w domu, mogłaby pobusować na strychu, powyrzucać bezużyteczne rzeczy, przywołać wspomnienia na widok Zapomnianej starej sukienki albo zniszczonej zabawki.

Myśli uparcie wracały do Bromwella. Nie zamierzam się temu poddać, powiedziała sobie stanowczo i poszła do salonu poszukać książki do czytania. Może któraś z niesamowitych powieści panny Radcliffe zdoła ją wystarczająco zająć. Przeglądała półki, gdy do salonu wszedł Fenton. Wyglądał na zaniepokojonego, co było dość niezwykle jak na człowieka pokazującego zwykle niewzruszoną twarz.

- Milady...

- Tak, Fenton, o co chodzi?

- Przyjechał jakiś człowiek. Mówi, że ma dla milady pilną wiadomość. Twierdzi, że księżę jest ranny.

## Rozdział piętnasty

Callie wpatrzyła się w kamerdynera, twarz jej pobiadła.

- Mój brat?

Przesunęła się w bok, tak żeby Fenton nie zasłaniał jej holu. Zobaczyła stojącego przy drzwiach mężczyznę. Trzymał kapelusz w dłoni, ubranie miał splamione błotem i wyglądał na zmęczonego. Callie podeszła do niego pospiesznie.

- Ma pan wiadomość od księcia Rochforda? Czy bardzo ucierpiał?

- Żyje, milady, ale miał wypadek. Mam list, proszę. - Podał jej złożony i zapieczętowany arkusik papieru.

Callie wzięła go i zobaczyła biegnące po wierzchu litery: *Lady Calandra Lilles*. Odwróciła list i złamała pieczęć. Drżącymi dłońmi rozwinęła papier. U góry biegł napis: *Blackfriars Cope Cottage, Lower Upton*. Zaczęła czytać list.

*Droga Lady Calandro Lilles!*

*Z przykrością donoszę, że powóz księcia Rochforda został rozbity na drodze w pobliżu mojego domu. Mąż ze służącym przynieśli go do nas i wezwaliśmy lekarza. Księżę ma złamaną nogę i kilka żeber, poza tym nic się nie stało, fest przytomny i poprosił mnie o napisanie tego listu. Prosi, aby pani przyjechała. Lekarz zabronił go ruszać.*

*Szczerze oddana pani Thomasowa Farmington*

Callie odetchnęła z ulgą i spojrzała na posłańca, pytając:

- Czy naprawdę wszystko w porządku?

- Nie widziałem księcia, proszę panienki. Wiem tyle, co powiedziała mi pani Farmington: że jest w porządku.

- Jadę natychmiast. Gdzie dokładnie znajduje się Lower Upton?

- W Buckinghamshire, milady. Pani Farmington kazała mi nająć bryczkę pocztową i przywieźć panienkę, jak tylko dostarczę wiadomość.

- Dziękuję. To się znakomicie składa. Wezmę kilka rzeczy i możemy jechać.

Mężczyzna skinął głową i wyszedł, a Callie odwróciła się i zobaczyła stojącego tuż za nią Fentona.

- Słyszałeś? - spytała, a gdy skinął głową, dodała: - Zapakuję to, co niezbędne, i natychmiast jadę. Zostawię ci wiadomość dla lady Haughston.

- Oczywiście, milady. Wyślę pokojówkę w ślad za panią.

Callie skinęła głową i wbiegła po schodach. Myśli kłębiły się jej w głowie. Pani Farmington zapewniała, że nic poważnego się nie stało, ale przecież z pewnością nie napisałaby wprost, że stan księcia jest ciężki. Może jest poważnie ranny, a nawet walczy ze śmiercią? - przeraziła się Callie.

Zresztą, jeśli rzeczywiście ma tylko złamaną nogę i żebra, i tak nie jest dobrze. Callie wiedziała, że mogą się wdać komplikacje. Poza tym Sinclair cierpi i potrzebuje opieki kogoś bliskiego, a nie nieznanym mu ludzi. Musi do niego dotrzeć jak najszybciej, uznała. Buckinghamshire nie leży znowu tak daleko, rozmyślała, otwierając szuflady i wyjmując rzeczy do spakowania. Powinna dotrzeć przed wieczorem:

Belinda weszła do pokoju.

- Jego Wysokość jest ranny, milady?

- Tak, miał wypadek. Jadę do niego.

- Oczywiście, milady. Natychmiast Zajmę się pakowaniem.

- Na razie włóż do torby podróźnej tylko to, co niezbędne na dzień lub dwa. Resztę rzeczy przywieziesz mi karetą pocztową, jak tylko po ciebie poślę. Nie wiem, co tam zastanę. Jeśli się okaże, że księcia można przewieźć, wrócimy do Lilles House.

Callie zasiadła przy sekretarzyku i napisała krótki list do Franceski, wyjaśniając jej, dlaczego wyjechała i dokąd. Wiedziała, że Fenton poinformuje swoją panią o tym, co się wydarzyło, ale uznała, że nie zaszkodzi, jeśli i ona napisze, dokąd się wybiera. Zakończyła zapewnieniem, że prześle wiadomość o stanie Sinclaira, jak tylko przekona się, jak jest naprawdę. Callie była pewna, że Francesca chciałaby wiedzieć, czy Rochford ma się dobrze, mimo że ich ostatnie spotkanie przebiegło burzliwie.

Złożyła list, zapieczętowała i powierzyła Fentonowi, prosząc, by oddał go Francesce natychmiast, jak wróci. Przez ten czas Belinda spakowała sakwojaż, a posłaniec wynajął bryczkę pocztową. Callie nie traciła czasu na przebieranie się w suknię podróźną. Zmieniła tylko lekkie pantofle na bardziej solidne obuwie i zarzuciła na ramiona ciepłą pelerynę. Wsiadła do bryczki i wyruszyli.

Od momentu, gdy otrzymała wiadomość, upłynęło ledwie pół godziny i Callie nie miała



czasu spokojnie pomyśleć, Teraz usadowiła się wygodnie i wyjęła list od pani Farmington, żeby przeczytać go ponownie, tym razem uważniej. Niestety, nie mogła z niego wywnioskować ani jak doszło do wypadku, ani jak poważnego urazu doznał Sinclair. Jakiego rodzaju to było złamanie? Widywała w majątku wystarczająco wiele takich przypadków, by wiedzieć, że inaczej goi się noga złamana w jednym miejscu, a inaczej w kilku albo jeśli kość przebije skórę.

Czy Sinclair jechał karyklem i sam powoził? Czy siedział w książęcej karecie, a powoził Haskell, ich główny woźnica? - głowiła się Callie. Oba te pojazdy były w zbyt dobrym stanie, by ich usterka stała się przyczyną wypadku. Musiał zawinić inny woźnica, jednak pani Farmington nie wspomniała, aby ktoś jeszcze ucierpiał. Spieszyła się, pisząc wiadomość, więc może dlatego.

Tylko... co Sinclair robił w Buckinghamshire? Powiedział, że wraca do Marcastle. Callie nie była biegła w geografii, ale wiedziała, że do Marcastle nie jechało się przez Buckinghamshire. Zresztą Sinclair wyruszył dostatecznie dawno, aby dotrzeć do domu. Mogło go wprowadzić coś zatrzymać w Londynie, ale wówczas dałby jej znać. Chyba że skierował się do Marcastle, a potem zmienił zamiar, ale działanie pod wpływem impulsu nie pasowało do jej brata. Zwykle robił dokładnie to, co zaplanował. Być może wrócił do Marcastle, a potem znowu wyjechał. Wspominał, że powinien odwiedzić Dancy Park, ale do tej posiadłości droga nie prowadziła przez Buckinghamshire. Musiało chodzić o inny ich majątek, może w Kornwalii, ale tam zawsze jeździł przez Londyn. Sinclair nie odmówiłby sobie spędzenia kilku dni w Londynie i odwiedzenia siostry. Niewykluczone, że wybrał się z wizytą do znajomego albo obejrzyć posiadłość, którą zamierzał kupić... Nieważne. Jedyne, co było istotne, to jak mocno ucierpiał i czy bardzo go boli. Ciekawe, jak daleko jest do Blackfriars Cope?

Przerywali podróż tylko po to, aby zmienić konie i wtedy Callie wysiadała na chwilę, aby rozprostować nogi. W przydrożnej gospodzie zamówiła przy takiej okazji lekki posiłek składający się z zimnego mięsa, sera i chleba, ale nie miała apetytu i zostawiła większość jedzenia na talerzu.

Orientowała się, że jadą tak szybko, jak to tylko możliwe, bo zmieniali konie dość często, aby były wypoczęte. Mimo to Callie nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie dotrą na miejsce. Nawet na krótko się nie zdrzemnęła, bo wyobraźnia podsuwała jej obraz leżącego w łóżku

Sinclaira, bladego, posiniaczonego, całego w bandażach.

Żałowała, że Francesca wyjechała z babcią Odelią. Callie nie wątpiła w to, że przyjaciółka dotrzymałaby jej towarzystwa. Tęskniła nie tylko za jej obecnością i umiejętnością pocieszania. Francesca potrafiła rozwiązywać najrozmaitsze problemy. Zawsze wiedziała, co zrobić, a jej uśmiech i kilka miłych słów działały cuda.

Bryczka zatrzymała się kolejny raz i Callie odchyliła zasłonę w oknie, myśląc, że przystanąli przed następną gospodą, aby zmienić konie. Zobaczyła solidny, piętrowy budynek z kamiennymi nadprożami nad oknami i drzwiami. Wokół panowała cisza i spokój i Callie zrozumiała, że dotarli do celu podróży.

- Czy to Blackfriars Cope? - spytała posłańca, który powoził przez całą drogę, a teraz zeskoczył z kozła, aby pomóc jej wysiąść.

- Tak, milady. Wygląda, że czekają na panienkę - powiedział, pokazując na rozświetlone okna nad drzwiami frontowymi i w bocznym skrzydle.

- Dziękuję. - Callie wcisnęła w dłoń mężczyzny złotą monetę, choć była pewna, że Sinclair zapłacił za wynajęcie bryczki, zmiany koni i usługę. Zimny, drobny deszcz zacinał ostro i Callie, idąc szybko do frontowych drzwi, naciągnęła kaptur na głowę, aby ochronić twarz. Zastukała kołatką i po chwili otworzyła jej niska, tęga kobieta w prostej muślinowej sukni przepasanej białym fartuchem.

- Tak?

- Pani Farmington? - spytała Callie.

- Tak.

- Jestem lady Calandra Lilles. Gdzie on jest? Jeszcze nie śpi?

- W gabinecie, panienko - odparła kobieta, odwracając się i pokazując przez hol na uchylone drzwi, z których sączyła się smuga światła.

- Dziękuję. - Callie szybko ruszyła przez hol. Opuściła kaptur, ściągnęła rękawiczki, rzuciła

je niedbale na stojący w holu stół i niemal wbiegła do wskazanego przez panią Farmington pokoju. Stała jak wryta, nie wierząc własnym oczom.

Na sofie pólleżał hrabia Bromwell, trzymając w dłoni szklaneczkę, prawdopodobnie z brandy. Kamizelkę miał rozpiętą, koszulę również, do połowy piersi. Surdut i fular leżały na znajdującym obok krześle, na podłodze stała srebrna taca, a na niej do połowy wypełniona karafka.

Wpatrywali się w siebie z osłupiałymi minami. Bromwell pierwszy odzyskał mowę.

- Callie! - Odstawił ze stuknięciem szklaneczkę na tacę i zerwał się na równe nogi. Zachwiał się lekko. - Co się stało?

- Co tu robisz! - wybuchnęła Callie, otrząsając się z zaskoczenia. Czy to on był sprawcą wypadku jej brata? Walczyli ze sobą? - Gdzie jest Sinclair? Nic nie rozumiem... Co się stało?

- Sinclair? - powtórzył bezmyślnie. - Dlaczego, u licha, miałby tutaj być?

- Przecież dostałam wiadomość! - wykrzyknęła zirytowana Callie, sięgając do kieszeni sukni, żeby wyjąć list.

Znieruchomiała w pół gestu, uderzona nagłą myślą. Wątpliwości goniły jedna drugą - dopiero teraz to pojęła. Eleganckie pismo, zupełnie niepasujące do prostej kobiety, która otworzyła drzwi; adres i nagłówek sformułowane dokładnie tak, jak to było przyjęte w jej świecie, gdy pisało się do siostry księcia; nikle prawdopodobieństwo, by jej brat prowadził interesy w Buckinghamshire; fakt, że podróż została przygotowana i opłacona z góry, choć jej brat nie dopisał do listu nawet swego imienia, jakby nie był w stanie sam unieść ręki.

- Udało ci się mnie oszukać - powiedziała ze zgrozą, czując, jak krew odpływa jej z twarzy. Zakręciło jej się w głowie, poczuła mdłości.

- Co takiego? - Bromwell patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem. - O co ci chodzi?

Nie słuchała. Dotarło do niej, że jest daleko od domu, sama z mężczyzną i panią Farmington jako przyzwoitką - jeśli rzeczywiście tak się nazywała. Bromwell uknuł podłą intrygę, aby zrujnować jej reputację! Cały czas kłamał. Była dla niego środkiem do celu; chodziło mu o to, aby wyrzucić zemstę na księciu. A jej ból, upokorzenie? Nie miały znaczenia. Uniosła rękę do ust, czując przypływ mdłości.

- Jaka byłam głupia! Tęskniłam za tobą, rozpaczalam, a ty siedziałeś sobie tutaj, knując zemstę... - Urwała i wybiegła z pokoju.

W głowie kołatała się jej tylko jedna myśl: dopaść bryczki pocztowej, zanim odjedzie. Chociaż kobieta, która otworzyła drzwi, znikła, Callie zawołała głośno o pomoc. Bromwell biegł za nią przez hol, klnąc i wykrzykując jej imię. Otworzyła z rozmachem drzwi i stanęła jak wryta. Bryczki nie było. Rozejrzała się wokół w panice. Musiał odjechać, gdy weszła do domu. Bez wątplenia woźnica dostał takie instrukcje. Prawdopodobnie zabrał ze sobą panią Farmington, a jeśli nawet nie, Callie nie mogła mieć nadziei na uzyskanie od niej pomocy. Puściła się biegiem przed siebie.

- Callie! - Bromwell przystanął, gdy i ona przystanąła, ale teraz rzucił się w ślad za nią przez podwórze. - Wracaj!

Deszcz przybrał na sile, po twarzy spływały jej nieprzyjemnie zimne krople,  
ale nie traciła

czasu na zakładanie kaptura. Uniosła spódnicę sukni aż do kolan i biegła najszybciej, jak mogła. Pił, przemknęło jej przez głowę, może nie zdoła jej dogonić. Potknie się i przewróci. Straci ją z oczu, jeśli uda jej się dopaść drzew. Szybko przekonała się, że się łudziła. Złapał ją za ramię i musiała się zatrzymać. Odwróciła się, walcząc zaciekle, aby uwolnić się z uścisku.

- Puść mnie! - wykrzyknęła, czując, jak łzy napływają jej do oczu, tym razem z gniewu i zdenerwowania. - Rochford cię zabije! Ja cię zabiję! - Wbiła paznokcie w ramię Bromwella i go podrapała.

- Uspokój się! - wrzasnął, łapiąc jej dłoń i odrywając od swojego ramienia. - Co cię opętało! Oszalałaś?!

- Tak, kiedy ci uwierzyłam! - wykrzyknęła szyderczo. - Nie przypuszczałam, że jesteś zdolny do takiej podłości!

Zdołała wyszarpnąć się i nie zwracając uwagi na ból, spoliczkowała Bromwella.

- Do cholery z tym! Callie, przestań wreszcie! Odwrócił ją plecami do siebie, objął mocno,

przyciskając jej ręce do boków, tak że nie mogła się ruszyć, i uniósł.

Usiłowała się wyswobodzić, ale łzy popłynęły jej po twarzy i zwiotczała w ramionach Cromwella. Postawił ją na ziemi.

- Callie, kochana... - powiedział cicho i pocałował ją w głowę, a potem wziął na ręce i zawrócił.

Nie wyrywała się, dała mu się nieść, odrętwiała od przenikającego ją do szpiku kości zimna i zmęczona wybuchem emocji.

- Pani Farmington! - zawołał, gdy weszli do domu.

Postawił Callie na ziemi, odpiął przesiąkniętą deszczem pelerynę i rzucił ją na kamienną podłogę. Ociekające wodą włosy opadły Callie na ramiona, suknia była nieprzyjemnie wilgotna, buty były unurzane w błocie.

- Pani Farmington! - zawołał znowu Bromwell. - Gdzie się pani podziewa?

Był całkiem przemoczony, koszula lepiła się do skóry, włosy przykleiły się do głowy. Drżał z zimna, ręce mu się trzęsły, gdy próbował odpiąć guziczki sukni Callie.

- Musisz zdjąć tę suknię - powiedział.

- Nie!

Odsunęła się, jakby znów chciała uciekać, ale nie miała na to siły.

- W takim razie siadaj tutaj. - Ujął ją za ramię i zaciągnął do drewnianej ławki stojącej z boku drzwi frontowych. - Nie ruszaj się! - polecił.

Callie nie posłuchałaby Bromwella, gdyby była w stanie zrobić choć jeden krok. Oparła głowę o ścianę. Było jej potwornie zimno, ale

nie miała siły zrobić czegokolwiek, aby temu zaradzić. Siedziała więc, drżąc na całym ciele. Bromwell wrócił z wełnianym pledem i owinął nim Callie. Następnie zdjął kamizelkę i koszulę i rzucił je na podłogę. Callie ogarnął lęk, ale hrabia nie zbliżył się nawet o jeden krok do niej, owinął się szalem z afgańskim wzorem w kwadraty. Wyglądał tak komicznie, że w innych okolicznościach Callie wybuchłaby śmiechem. Przesunął dłońmi po włosach, odciskając z nich wodę, potem uczynił to samo z włosami Callie. Wyciągnęła ręce, chcąc odsunąć jego dłonie, ale miała tak mało siły, że w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Ukląkł przed nią, aby zdjąć jej buty.

- Przestań - powiedziała niewyraźnie.

- Nie. Cała się trzęsiesz, przemokłaś do suchej nitki. Nie pozwolę na to, żebyś poważnie się rozchorowała tylko dlatego, że postanowiłaś zwariować.

- Nic podobnego - zaprotestowała słabym głosem.

- Wpadłaś jak bomba, chociaż nie mam pojęcia, skąd mogłaś wiedzieć, że tutaj jestem., Odgrażałaś się w imieniu brata, potem wrzasnęłaś i rzuciłaś się w deszcz, biegnąc jak szalona nie wiadomo gdzie. Kiedy próbowałem cię zatrzymać, aby dowiedzieć się, o co chodzi, pobiłaś' mnie. Jak mam to nazwać, jeśli nie wariactwem?

Callie milczała.

### 331

- No dobrze. Jak chcesz, zostań w butach. Chodź ze mną.

- Niby gdzie?

- Do diabła z tym!

Znowu wziął Callie na ręce i zaniósł do gabinetu, nie zwracając uwagi na to, że próbuje się uwolnić. Postawił ją przed kominkiem i prze-garnął pogrzebaczem polana, rozpalając większy ogień. Owionęło ją gorąco i mimowolnie westchnęła z zadowolenia. Usiadła na taborecie stojącym przed kominkiem i przekręciła głowę tak, aby włosy spłynęły na jedną stronę, w kierunku źródła ciepła.

Bromwell podszedł do tacy z karafką i dopełnił szklaneczkę do pełna.

Wrócił do Callie i wetknął jej naczynie w dłoń.

- Wypij to. Rozgrzeje cię szybciej niż ogień. Wypij - powtórzył rozkazującym tonem - albo wleję ci to do gardła.

Skrzywiła się i spróbowała. Alkohol zapiekł ją gwałtownie, ale rzeczywiście rozgrzał i poczuła się trochę lepiej. Bromwell wziął od Callie szklaneczkę,



wypił łyk i ponownie włożył szklaneczkę w dłoń Callie. Ostrożnie upiła trochę trunku i ukradkiem zerknęła na Bromwella. Gdy pochwycił jej spojrzenie, zaczerwieniła się i uciekła wzrokiem, ale on delikatnie przekręcił jej głowę tak, by na niego patrzyła. Błądził oczami po jej twarzy, rozpuszczonych

włosach, całej postaci. Po chwili delikatnie musnął palcami policzek, po czym kciukiem obrysował usta. Callie poczuła, jak stają się wrażliwe na dotyk, i przerażona własną reakcją, zwalczyła pokusę, by przycisnąć dłoń Bromwella do swoich ust.

- Nie! - Zerwała się na równe nogi. - Nie myśl, że mnie uwiedziesz! Nie pozwolę na to, żebyś mnie zniesławił.

Bromwell również wstał, patrząc na Callie z oburzeniem.

- Dobrze wiesz, że nigdy bym się do tego nie posunął.

- Tak? Czyli zwabiłeś mnie tutaj, żeby porozmawiać?

Rozłożył ramiona w geście bezradności.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Od początku nie rozumiałem, gdy wtargnęłaś tutaj, plotąc coś o Rochfordzie.

- Jak możesz! - wykrzyknęła i zdała sobie sprawę, że bardzo chciałaby mu wierzyć. - Nie jestem idiotką! Dostałam list z prośbą, abym przyjechała natychmiast, bo mój brata uległ wypadkowi, i kogo tu zastałam? Ciebie.

- Co takiego?! Nie wysyłałem do ciebie żadnego listu. Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Klnę się na wszystko, co jest mi drogie, że nie zwabiłbym cię tutaj, aby wykorzystać. Jak mogłaś coś takiego o mnie pomyśleć?

Callie sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła list. Palce jej lekko drżały, kiedy mu go podawała. Ukryty w kieszeni, zwilgotniał nieco, ale słowa wciąż można było przeczytać. Po wyrazie twarzy Bromwella widziała, że rozpoznał charakter pisma. Przeczytał list dwukrotnie, po czym unikając wzroku Callie, powiedział:

- Listu nie napisała pani Farmington. Jest tutaj gospodynią, nawet nie wiem, czy umie pisać. Twojego brata nigdy tu nie było, ja przyjechałem z Londynu po... po naszej rozmowie u lady Whittington.

- Co to za miejsce?

- Blackfriars Cope, domek myśliwski lorda Swithingtona - odparł z ciężkim westchnieniem i dodał: - To ręka Daphne. Przykro mi, Callie. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Może myślała, że w ten sposób mi pomoże. Wie, że czuję do ciebie więcej, niż powinienem sobie na to pozwolić. Być może wydawało jej się, że będę zadowolony z takiej sytuacji... - Potrząsnął głową. - Nie wiem, co się dzieje z Daphne. Mówi i postępuje tak, jakby nie była sobą. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, to że opętana myślą o zemście za zło, które ją spotkało, straciła zdrowy rozsądek. Chciałaby odpłacić za cierpienie, którego doświadczyła.

Callie podeszła do zgnębnego Bromwella i położyła mu dłoń na ramieniu

- Sinclair przysiągł mi, że twoja siostra nie nosiła jego dziecka. Że nawet nie miał z nią romansu.

Oczy zapłonęły mu gniewem, ramię pod jej dłonią się napięło. Przeszedł na drugą stronę pokoju, a jej ręka na chwilę zawisała w próżni, zanim opadła.

- Zrozumiałe, że temu zaprzecza.

- Mój brat jest człowiekiem honoru. Robi sobie wyrzuty o to, jak cię potraktował. Ma świadomość, że sytuacja go przerosła. Przysiągł mi, że oskarżyłeś go fałszywie. Wierzę mu.

- Już o tym rozmawialiśmy. To twój brat, nic dziwnego, że mu wierzysz.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś, by mówiono o nim źle? - spytała Callie. - Kogokolwiek zapytasz, potwierdzi, że księżę Rochford jest dżentelmenem. Nie uwiódłby szlachetnie urodzonej kobiety, a tym bardziej nie zostawiłby jej na łasce losu, gdyby nosiła jego dziecko. Twoja siostra nie ma dziecka, prawda?

- Nie. Straciła je wkrótce po poślubieniu lorda Swithingtona, ale to niczego nie dowodzi. Kobiety często ronią.

- Byłeś przy niej, gdy to się zdarzyło?

- Nie. Wróciłem do Oksfordu, a zresztą to nie ma nic do rzeczy, czy to się zdarzyło, czy nie.

Callie dostrzegła cień wątpliwości w oczach Bromwella. Z pewnością nie było mu łatwo przyjąć do wiadomości, że siostra mogła go oszukać.

- Nie rozstrzygniemy tej sprawy i nie my powinniśmy się nad nią zastanawiać - dodał.

- Ależ tak. Właśnie nas dotyczy - zaprzeczyła Callie.

- Nie myśl, że umyvam ręce - rzekł - i zignoruję fakt, w jakiej sytuacji postawiła cię Daphne. Bez względu na to, czym się kierowała, źle postąpiła, i nie dopuszczę, abyś za to zapłaciła. Myślę, że na tym powinniśmy się skupić - twoja reputacja musi pozostać nieskalana.

- W pobliżu znajduje się osada, zdaje się Lower Upton. Musi tam być gospoda, przenocuję w niej.

- Powóz odjechał. Mam w stajni konia, ale jednego. Nie możesz błąkać się samotnie po nocy w nieznannej okolicy. Musielibyśmy pojechać oboje. Ja oczywiście mogę iść obok ciebie, ale obawiam się, że nie rozwiązuje to problemu. Gdziekolwiek się zjawisz - zerknął na zegar stojący nad kominkiem - dobrze po północy, sama, tylko w towarzystwie mężczyzny, wzbudzi to niezdrowe zainteresowanie. Zależy nam na uniknięciu plotek, a nie na ich wywołaniu

- Ludzie we wsi mnie nie znają. Podam fałszywe nazwisko.
- Zdecydowanie lepiej, żeby nikt cię nie

zobaczył. Czy ktoś mógł się dowiedzieć, że tu przyjechałaś?

- Raczej nie. Posłaniec przywiózł wiadomość i od razu wyruszyliśmy w drogę. Służba wie, ale są lojalni wobec Franceski. W domu byłam sama, Francesca pojechała z babcią Odelią z wizytą... - Urwała, na jej twarzy pojawił się wyraz zastanowienia.

- O co chodzi? Coś nie tak? - dopytywał się Bromwell.

- Zastanawiam się, czy to także nie zostało zaplanowane. Gdyby Francesca była w domu, pojechałaby ze mną i zamiar skompromitowania mnie spaliłby na panewce.

Bromwell westchnął ciężko.

- Lady Odelia przepada za moją siostrą i za mną. Mówi, że potrafimy ją rozweselić. Twoja babka z pewnością nie zrobiłaby niczego, co mogłoby wyrządzić ci krzywdę, ale jeśli Daphne w naturalny sposób, jakby mimochodem, zasugerowała jej, że powinna kogoś odwiedzić i że Francesca chętnie by do niej dołączyła, pewnie zaakceptowała ten pomysł. Callie była wściekła na Daphne, ale żal jej było Bromwella.

- W każdym razie wygląda na to, że tylko Francesca wie, gdzie jestem - powiedziała. - Wyjeżdżając, zostawiłam jej liścik, ponieważ nie chciałam, żeby się martwiła. Jestem oczywiście pewna, że nikomu o tym nie wspomni. Mam do niej bezgraniczne zaufanie.

- Zatem jeśli nie zobaczą cię we wsi, nikt inny się nie dowie - stwierdził Bromwell. - Wobec tego pozostaje tylko jedno rozwiązanie. Musisz spędzić noc tutaj.

## Rozdział szesnasty

- Tutaj! - wykrzyknęła Callie. - To dopiero zrujnuje moją reputację!

- A kto o tym będzie wiedział oprócz mnie i ciebie? Pani Farmington nie piśnie słowa ze strachu, że mogłaby stracić pracę. Jutro pojedę do miasta i wynajmę dla ciebie powóz. Wrócisz do Londynu i nikt nie zauważy twojej nieobecności. Chyba że... - Bromwell zrobił zmartwioną minę - Francesca wspomni komuś, że księżę leży tutaj ranny.

- Nie sądzę - zaproponowała Callie. - Francesca nie lubi plotkować. Poza tym wątpię, aby chciała dzisiaj wieczorem przyjmować wizyty lub je składać. Będzie miała całkowite dosyć po dniu spędzonym z babcią Odelią. Pewnie poczeka na wiadomość ode mnie o stanie zdrowia Sinclaira.

- Więc nikt się nie dowie.

Callie skinęła głową, myśląc o tym, że będą w domu sami.

- Przysięgam, że z mojej strony nic ci nie grozi - oznajmił Bromwell - ale jeśli ma cię to uspokoić, będę spał w stajni. Pani Farmington najwyraźniej wróciła z posłańcem do wsi, będziesz sama i możesz zaryglować drzwi i okna.

- Nie - powiedziała Callie, myśląc, że bardziej boi się pożądania, które on w niej budzi, niż tego, że rzuci się na nią. - Wierzę ci.

- Dziękuję.

Ich oczy spotkały się na moment i natychmiast oboje odwrócili wzrok. Bromwell odchrząknął i rozejrzał się po pokoju w nadziei, że jego widok podsunie mu dobre rozwiązanie.

- Pewnie chciałabyś pójść spać - odezwał się w końcu. - Pozwolisz, że pokażę ci twój pokój.

- Tak, poproszę.

- Ja... hm... może powinienem znaleźć ci coś... w czym mogłabyś spać - mówił, gdy szli przez hol. - Może jedną z moich koszul albo... -Urwał.

Na myśli o tym, że na nagie ciało włoży koszulę Bromwella, Callie oblała fala gorąca. Wydało jej się to czymś zbyt intymnym. Czy materiał zachowałby jego zapach?

Doszli do klatki schodowej i Callie spostrzegła torbę podróżną, którą spakowała w domu Franceski. Prawdopodobnie leżała tam wcześniej, ale nie zauważyła jej, gdy rzuciła się w panice do ucieczki.

- Moja torba - powiedziała, podchodząc, by ją podnieść, ale Bromwell ją uprzedził. - Musiał ją zostawić człowiek, który mnie tu przywiózł.

- Dobrze się składa, będziesz miała własne rzeczy - stwierdził, nie patrząc na Callie.

Weszli po schodach i Bromwell zaprowadził Callie do ostatnich drzwi.

- Proszę, to twój pokój. Pozwól, że rozpalę w kominku. Przepraszam cię na chwilę.

Bromwell postawił sakwojaż, zapalił lampę stojącą na nocnym stoliku przy łóżku i wyszedł. Wrócił po kilku minutach, niosąc drewno i rozpałkę.

Włożył koszulę, choć nie wetknął jej w spodnie i spływała na nie luźno.

Ukląkł przed kominkiem i rozniecił ogień. Podsyczał go umiejętnie i wkrótce zaczęło się rozchodzić przyjemne ciepło.

- Mam nadzieję, że się nie przeziębiłaś - powiedział z uśmiechem, wstając.

Odgarnął Callie z twarzy wilgotny kosmyk, a ona poczuła ochotę, by przylgnąć policzkiem do jego dłoni, zamknąć oczy i cieszyć się bliskością Bromwella. Jednak on opuścił rękę i stanął w pewnym oddaleniu przy oknie. Rozchylił zasłony i zapatrzył się w ciemność. Po dłuższej chwili powiedział:

- Wspominałem ci, że matka odumarała mnie, gdy byłem dzieckiem. Niania nazywała Daphne moją małą mateczką. To ona o mnie dbała, bawiła się ze mną. Dorastając, mieliśmy tylko siebie. Ojciec... - Usta wykrzywił mu grymas goryczy. - Przysięgłem sobie, że nigdy nie będę taki jak on. Nie miał dla dzieci ani miłości, ani cierpliwości. Spodziewał się po nas, że będziemy zachowywać się jak dorośli, nie biorąc pod uwagę braku doświadczenia czy niedostatku siły albo umiejętności.

- To przykre - powiedziała ze współczuciem Callie.

Odwrócił się i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Daphne chroniła mnie przed ojcem. Wymierzał surowe kary, wręcz okrutne, a ona usiłowała mnie przed nimi ustrzec. Chowala mnie, wynajdowała usprawiedliwienia, czasem brała winę na siebie. Sporo jej zawdzięczam.

- Rozumiem - stwierdziła Callie. Rzeczywiście dobrze rozumiała, dlaczego

Bromwell kocha siostrę. Była jedyną istotą, która okazywała mu miłość. Nie wyrzeknie się siostry, bez względu na to, co uczyniła, doszła do wniosku Callie.



- Musiała wiele znieść. Byłem za młody, aby ją chronić. Ojciec nalegał, żeby dobrze wyszła za mąż. Była piękna i wielu mężczyzn ubiegało się o jej względy. Poślubiła człowieka o wiele od siebie starszego, którego nie kochała, a zrobiła to, żeby ocalić majątek, inaczej pochłonęłyby go długi ojca. Słyszałem szloch dochodzący z jej pokoju w przeddzień ślubu. Kiedy nareszcie los uwolnił ją od niechcianego męża i mogła rozpocząć nowe życie, zakochała się w Rochfordzie. Znienawidziłem go za to, że ją unieszczęśliwił, za to, że musiała poślubić kolejnego starego mężczyznę i usunąć się ze świata na piętnaście lat, rezygnując ze wszystkiego, co lubiła. Umilkł na dłuższą chwilę, po czym powiedział zasepiony:

- A teraz... wydaje mi się, że jej wcale nie znam. Ta dzisiejsza intryga, wieczór w Vauxhall Gardens. Trudno mi uwierzyć, że jest zdolna do podstępów i knowań. Jej serce przepelnia gorycz i nienawiść. Zadaję sobie jakże bolesne pytanie, czy naprawdę ją znałem. Kiedy mi kłamała? Czy już wtedy, a ja tego nie widziałem? Czy byłem za młody, żeby rozpoznać oszustwo?

Miał tak nieszczęśliwą minę, że kierowana impulsem Callie podeszła do Bromwella i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Przykro mi - powiedziała łagodnie, patrząc mu w twarz.

Z ciemnych oczu, ogromnych w delikatnej twarzy w kształcie serca, biło współczucie. Na nowo zachwyciła go uroda Callie. Wszystko jest doskonałe w jej twarzy, pomyślał, a masa czarnych loków stanowi jakby ramę, uwypuklającą harmonijne rysy. Czerwone pełne wargi... Nie mógł nic poradzić na to, że pamiętał, jak smakowały, gdy je całował. Stał daleko od ognia, a czuł, jakby osmalił mu skórę.

Cienki pled zsunął się z ramion Callie, kiedy wyciągnęła rękę, by go dotknąć. Dekolt sukni odkrywał zaledwie skrawek skóry nad wzniesieniem piersi, ale wilgotny materiał oblepiał je, uwydatniając ich kształt. Bromwell nie mógł zebrać myśli. Powinien oderwać wzrok od Callie, ale wydało mu się to ponad siły.

- Powiniennem... pójść - powiedział z trudem.

- Nie... - odparła, mając świadomość, że zostałoby to ocenione jako niewłaściwe.

Nie dbała o to. Gorycz, niepewność, wątpliwości, które miotaly nią przez ostatnie tygodnie, znikły. Zapragnęła poczuć to, co wtedy, gdy trzymał ją w ramionach. Więcej, doznać tego, co dotąd było dla niej nieznanne. Zsunęła

dłoń po jego ramieniu na pierś, wyczuwając mięśnie pod cienkim materiałem koszuli.

- Zostań ze mną - szepnęła.

- Callie... - Głos miał urywany, odetchnął głęboko. - Igrasz z ogniem.

Uśmiechnęła się zmysłowo, oczy jej pociemniały.

- Lubię gorąco.

Widząc, jak pożądanie zmienia rysy jego twarzy, zrozumiała, że ma nad nim władzę. Chciała się przekonać, jakiego rodzaju to jest władza i jak daleko sięga. Podobało jej się to nagłace uczucie, które budził w jej ciele, i pragnęła spełnienia.

- Marzyłam, żeby cię pocałować - powiedziała szczerze, ośmielona radosnym podnieceniem, które ją ogarnęło. - Czy też o tym marzyłeś? Wspięła się na palce, przesunęła ustami wzdłuż jego policzka i poczuła, że przeszedł go dreszcz.

- Callie, Callie... Marzyłem o czymś-więcej. Odwróciła głowę i musnęła wargami drugi policzek.

- To, co robisz, jest szalone.

- Pewnie tak - zgodziła się. - Czy to ci przeszkadza?

- Boję się, że tobie będzie przeszkadzało... jutro.

- Ależ skąd - zapewniła go.

Jej miękkie wargi dotknęły jego ust, kusząc

### 345

i obiecując. Wiedział, że powinni natychmiast przestać, że dżentelmenowi nie wolno wykorzystywać okazji. Nie był zdolny się na to zdobyć.

Callie znowu musnęła jego usta, odchyliła głowę i spojrzała w pociemniałe oczy Bromwella. Czekwała. Czuła ciepło bijące od jego naprężonego ciała.

Dłonie zacisnął w pięści, jakby miało mu to pomóc zachować resztki kontroli nad sobą. Patrząc mu prosto w oczy, wspięła się na palce, zbliżając wargi do jego ust. W odpowiedzi zawładnął jej ustami. Zwalczane od tygodni przez oboje pożądanie oładnęło nimi niepodzielnie.

Objęli się ciasno, przedłużając namiętny pocałunek. Odrywali się od siebie tylko na moment, by uwolnić się od ubrań, i natychmiast przywierali do siebie, jakby bojąc się, że nie zniosą nawet sekundy rozdzielenia. Na poły świadomie zmięrzali w stronę łóżka.

Buty Bromwella zostały na podłodze, zaraz potem koszula odpięta niecierpliwie i rzucona na oślep. Niezliczone guziczki sukni Callie nie dały

się odpiąć tak łatwo, ale w końcu i z tym Bromwell się uporał, po czym przesunął dłońmi w dół po jej ciele, zdejmując suknię. Piersi Callie prześwitywały przez koszulkę, sutki sterczały. Powoli, jakby z ociąganiem,

Bromwell obrysował palcami linię dekoltu, pieszcząc jedwabistą skórę. Z tą samą powolnością wsunął palce za obrąbek materiału, odginając go i pociągając w dół, aż obnażył piersi nabrzmiałe od pożądania. Coraz bardziej roznamietniony niecierpliwie szarpnął koszulkę; materiał rozdarł się, ale nie zwrócili na to uwagi. Ujął w dłonie pełne i miękkie kobiece piersi, rozkoszując się ich delikatnością. Kciukami obwodził i drażnił sutki. Callie czuła, jak rośnie jej pożądanie. Mimowolnie zacisnęła uda, jakby chciała powstrzymać tęsknotę za spełnieniem, która stawała się coraz bardziej dojmująca. Chciałaby przedłużyć każdą chwilę, każde doznanie, a jednocześnie rósł w niej przymus zaspokojenia. Sięgnęła do pasa przytrzymującego spodnie Bromwella i poczuła pod dłonią widomy znak jego pożądania. Dotknęła torsu, zaskoczona gładkością skóry i szorstkością krótkich włosów.

Bromwell zaczął całować Callie gwałtownie, zaborczo, pieścił jej piersi, ugniatając delikatnie, drażniąc sutki muśnięciami kciuka. Nagle oderwał się od niej, jakby dłużej już nie mógł znieść jej pieszczot, cofnął się o krok i zsunął spodnie. Po chwili już był przy Callie, zdejmując z niej koszulkę i halki. Następnie ukląkł i zdjął jej buciki i chwycił ozdobione koronką nogawki jej pantalonów, przesuwał je powoli po łydkach Callie, aż do ud, po czym ściągnął podwiązki i pończochy.

Callie drżała na całym ciele, nogi odmawiały jej posłuszeństwa, jakby miały się pod nią ugiąć. Osłabła pod wpływem cudownych doznań, jednocześnie z niecierpliwością czekała na ten najważniejszy moment.

Bromwell podniósł się, gładząc dłońmi jej łydki, uda, biodra, wciąż wpatrując się w jej oczy. Rozwiązał wstążkę przy pasku pantalonów, wsunął w nie dłonie, powoli obwodził linię jej bioder. Była teraz naga. Powinna poczuć się zażenowana, i może odrobinę była, ale ku swemu zdziwieniu odkryła, że jego pełne zachwyty spojrzenie podnieca ją i ponagla.

- Jesteś taka piękna - powiedział zdławionym głosem i biorąc ją w ramiona, zaniósł na łóżko.

Callie budziła się powoli i najpierw dotarło do jej świadomości, że jest jej gorąco, a zaraz potem, że coś ciężkiego ją uciska. W nozdrza łaskotały ją szorstkie, kręcone włoski. Otworzyła szeroko oczy i przytomność jej wróciła. Gorąco biło od Bromwella, do którego leżała przytulona, opierając policzki na piersi. Uciskało ją jego ramię.

Uśmiechnęła się do wspomnień ostatniej no-

cy. Pomyślała, że kobieta cnotliwsza niż ona z pewnością byłaby zakłopotana, a nawet zawstydzona. Ona nie czuła nawet cienia zażenowania, wypełniało ją uczucie spełnienia, jakby wreszcie znalazła swoje miejsce na ziemi i sens życia. Leżała, rozkoszując się cudownymi doznaniem, które zapamiętało jej ciało, smakując błogość i przyjemne znużenie.

W końcu wysliznęła się spod kołdry i wstała z łóżka. Rozejrzała się po pokoju. Ubrania leżały porozrzucane po podłodze. Przypomniała sobie słaby trzask rozdieranego materiału, gdy Brom zdejmował jej koszulkę, i pomyślała, że może już nie nadawać się do noszenia. Dobrze, że włożyła do torby podróźnej kilka sztuk bielizny na zapas.

Ogień wygasł, ale nie czuła chłodu, gdy podchodziła do okna. W pokoju panował półmrok, przez szczelinę w zasłonach sączyło się światło i Callie pomyślała, że słońce pewnie już wzeszło. Odchyliła ciężkie draperie i wyjrzała na zewnątrz. Rzeczywiście był wczesny ranek. Opuściła zasłonę i się odwróciła. Suknia zwisała z krzesła, halki walały się po podłodze w nogach łóżka, buty pod ścianą. Koszulka, zwinięta w kulkę, leżała obok drzwi.

Callie przeszła przez pokój, zbierając swoje rzeczy. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Bromwell nie śpi. Patrzył na nią, podpierając się łokciem. Zachnęła się, wypuszczając z rąk ubranie.

- Teraz mi się podoba - powiedział z uśmiechem. - Ubranie za dużo zasłaniało.

- Co ty wyrabiasz? - skarciła go.

- Patrzę na ciebie.

- Dlaczego się nie odezwałeś? Myślałam, że śpisz.

- Wiem. Chciałem mieć dodatkową przyjemność - odparł niefrasobliwie.

Pochyliła się i podniosła odzienie. Zarumieniona, przycisnęła je do piersi.

- Nie chowaj się za nimi. Przyjemnie na ciebie patrzeć.

Uśmiechnęła się niepewnie, jednocześnie podekscytowana. Zrobiło jej się gorąco.

- To nie fair - stwierdziła. - Ty leżysz szczelnie okryty.

Nie do końca było to prawdą, gdyż widziała jego szeroką pierś i mocne ramiona. Ze śmiechem odchylił kołdrę.

- Proszę bardzo, teraz mamy równe szanse. Możesz patrzeć.

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, ale nie mogła oderwać wzroku od muskularnego ciała i zobaczyła, że znów jej pożąda.

- Och! - wyrwało się Callie.

- Tak - powiedział, patrząc na nią z uśmiechem. - Jestem twoim niewolnikiem.

- Raczej swoich instynktów - odcięła się, ale upuściła ubranie i podeszła do łóżka, zażenowana swoją nagością, a zarazem czując satysfakcję, że on jej pragnie.

- Tylko wtedy, gdy chodzi o ciebie - zapewnił, podnosząc się, aby ująć ją za ramióna i przyciągnąć bliżej do łóżka.

Usiadł na brzegu materaca, ujął ją za biodra i przyciągnął do siebie.

Uśmiechnęła się, położyła mu ręce na ramionach, po czym przesunęła je na tors.

- Podoba ci się to, tak? - spytał, pocierając nosem jej szyję. - Przyprawianie mnie o męki.

- Ależ nie - zaprzeczyła, błędząc palcami po jego torsie. - To myśl o skróceniu twoich mąk wywołuje mój uśmiech.

Bromwell pociągnął Callie na łóżko, a potem szybkim ruchem przekreślił się, nakrywając ją swoim ciałem. Chwycił jej ramiona, ułożył je za jej głową i przytrzymał jedną ręką. Nie spiesząc się, całował jej ciało; usta drażniąc długo pieściły każde miejsce, do którego przyłgnęły. Callie chciała uwolnić ręce, ale nie pozwolił.

- Jeszcze nie - szepnął. - Najpierw ja, potem możesz zrobić, co chcesz.

Pieścił ją ustami i dłońmi, rozpalając niepokohamowane pragnienie, a gdy wygięła się, przestał, z ustami nieruchomymi przy jej ciele czekał, aż

Callie się uspokoi, i zaczynał od nowa. Jego dłoń powędrowała niżej, wśliznęła się w zwilgotniałe miejsce między udami i odnalazła źródło rozkoszy. Callie wysunęła biodra, wyrwało jej się na pół westchnienie, na pół szloch. W pewnym momencie krzyknęła, czując intensywną, napływającą falami przyjemność.

Leżała oszołomiona, wpatrując się w pociemniałe oczy Bromwella. Pochylił się, pocałował ją delikatnie w usta i znów zaczął pieścić.

- Nie - powiedziała.

Położyła dłonie na jego piersi i odepchnęła go. Poddał się łatwo i zapytał z uśmiechem:

- Już wystarczy? Mam przestać?

- Nie przestać. Przerwać. Teraz moja kolej. Powiedziałeś, że będę mogła robić, co chcę.

- Aha - przyznał, znów się uśmiechając. - Powiesz mi, kochanie, co planujesz?

- Nie mam pojęcia, zamierzam improwizować. Dopiero się uczę, przecież wiesz.



Leżał na wznak, z rękami pod głową, w rozluźnionej pozie, ale przeczył temu widomy znak jego pożądania.

- Więc improwizuj.

Leżeli przytuleni, całkiem rozluźnieni, to zapadając w półsen, to znów budząc się na chwilę; Callie z głową na piersi Bromwella, objęta jego

ramieniem. Po jakimś czasie Bromwell westchnął i cofając ramię, powiedział:

- Muszę pojechać do miasteczka, żeby wynająć dla ciebie bryczkę pocztową.

- Później - szepnęła, ocierając się o niego. Roześmiał się i przeciągnął dłonią po jej ciele.

- Kusicielka. Nie zbałamucisz mnie,

- To wyzwanie? - spytała, podnosząc głowę i rzucając na niego rozjarzone spojrzenie.

- Nie. - Z uśmiechem cmoknęła ją w szyję. - Nie rzuciłbym go. Wiem, że przegram. Powinnaś wrócić do Londynu, zanim ktokolwiek zorientuje się, że wyjeżdżałaś.

Miał rację, ale chciała przedłużyć cudowne sam na sam. Wiedziała, że gdy wyjedzie z Black-friars Cope, wszystko się zmieni. Bromwell nie zadał sobie trudu, aby pozbierać ubranie. Wziął tylko buty i wyszedł, żeby w swojej sypialni przygotować się do wyjazdu. Callie westchnęła i podniosła się z łóżka. Poczowała chłód i owinęła się lekkim kocem, Z torby podróżnej wyciągnęła suknię poranną, którą spakowała jej pokojówka. Na szczęście zapinała się z przodu i łatwo było ją włożyć bez niczyjej pomocy. Pogniotła się, ale Callie nie zamierzała się nikomu pokazywać, więc nie miało to znaczenia.

Bromwell wrócił ubrany, niosąc dzban z wodą. Postawił go na umywalni i powiedział, że idzie na dół, zobaczyć, czy pani Farmington stawiała się do pracy. Callie umyła się szybko i włożyła suknię. Gorzej poszło jej z włosami, ponieważ się splątały. Z trudem spięła je w miarę porządną węzeł i umocowała szpilkami na czubku głowy. Potem zeszła pospiesznie schodami i skierowała się na tyły domu, skąd dochodziło pobrzękiwanie naczyń kuchennych.

Bromwell krzątał się po kuchni, ustawiając talerze i rozkładając sztuce na dużym drewnianym stole.

- Pani Farmington nie przyszła - oznajmił. - Zaparzyłem herbatę, znalazłem masło i galaretkę, udało mi się nawet zrobić grzanki.

- Wspaniale - pochwaliła go rozpromieniona Callie, głodna jak wilk.

Grzanki były lekko przypalone z jednej strony i całkiem miękkie z drugiej, ale Callie pomyślała, że nigdy śniadanie nie smakowało jej tak jak dzisiaj.

Bromwell zdał relację ze swoich przygotowań, co skłoniło ją do wybuchów śmiechu, jedli, rozmawiając, a on głaskał ją czasem po dłoni albo po

policzku, odsuwając nieposłuszny kosmyk, jakby nie mógł usiedzieć, nie dotykając Callie.

Skończyli jeść i z ociąganiem wstawali z za stołu, gdy Callie usłyszała na zewnątrz jakiś hałas. Nasłuchiwała sekundę i spytała:

- Czy to nie odgłos końskich kopyt? Wyjrzała przez okno, ale zobaczyła tylko podwórze i stajnie.

- Tak - potwierdził Bromwell, prostując się. - Ktoś jedzie galopem. Wyszli z kuchni i gdy byli w połowie holu, ktoś zabębnił wściekle do drzwi. Spojrzeli na siebie z niepokojem. Łomot nie ustawał i Bromwell podszedł do drzwi. Otworzył je szeroko. Na progu stał książe Rochford.

### **Rozdział siedemnasty**

Książę był w stroju do konnej jazdy, noszącym ślady długiej podróży, buty miał spryskane błotem. Trzymał w ręce kaszkiet i szpicrutę. Wyglądał jak uosobienie furii.

- Więc to prawda! - zawołał, po czym postąpił krok do przodu i wymierzył Bromwellowi cios w szczękę.

Hrabia dał kilka chwiejnych kroków do tyłu i przewrócił się, wpadając przez otwarte francuskie drzwi do salonu.

- Sinclair! - wykrzyknęła Callie. - Nie! Podbiegła do Bromwellla, chcąc pomóc mu się podnieść, ale strząsnął jej rękę i wstał. Patrząc na Rochforda, odgarnął przylepiony do policzka kosmyk, oczy błyszczały mu złowrogo. Smużka krwi sączyła się z rozciętej skóry.

- Chcesz się bić? - spytał, kąciki ust mu zadrgały.

- Brom, nie! - zawołała Callie.

- Chcę cię zabić - odparł Rochford i cisnął kaszkiet i szpicrutę na stojącą w holu ławkę.

- Sinclair!

Callie odwróciła się, patrząc na brata z irytacją. Nie zwracając na nią uwagi, mężczyźni jak na komendę zdjęli surduty, po czym podwinęli rękawy.

- Czy moglibyście przestać chociaż na chwilę?! - Callie podniosła głos. -

Proszę, żebyście posłuchali, co mam do powiedzenia. Sinclair, wszystko w porządku. Nie ma potrzeby...

- Przeciwnie, jest - przerwał jej brat, nawet na nią nie spojrzawszy.

- Callie, nie wtrącaj się - powiedział niemal jednocześnie z nim Bromwell.

- Nie wtrącaj się? - powtórzyła. - Mam stać spokojnie, gdy ty zamierzasz walczyć z moim bratem?

Uświadomiła sobie, że to zda się na nic. Nieważne, co powie, do nich to nie trafi. Rozejrzała się wokół, jakby szukała jakiegoś punktu zaczepienia, a oni zaczęli się okręzać z dłońmi zwiniętymi w pięści. Bromwell wypuścił szybki cios lewą, mierząc w szczękę, ale księżę uchylił się i pięść hrabiego uderzyła i w ramię przeciwnika. Nie czekając, Bromwell poprawił prawym sierpowym i tym razem potężne uderzenie w szczękę posłało Rochforda na serwantkę. Stojąca na wierzchu porcelanowa figurka rozbiła się z brzękiem na podłodze. Bromwell ruszył do przodu, ale Rochford zrobił sprytny unik i złapawszy hrabiego za ramię, popchnął go w odwecie na nieszczęsną serwantkę. Bromwell natychmiast rzucił się z powrotem na księcia i obaj zwarli się ze sobą. Siłując się, upadli na kanapę, przetoczyli przez nią i zwalili z głuchym łomotem na podłogę, mocując się i okładając pięściami i nie zwracając uwagi na reguły obowiązujące podczas boksowania.

Callie krzyknęła na nich, ale oczywiście nie odniosło to żadnego skutku.

Podbiegła do kominka i wzięła do ręki pogrzebacz. Kiedy się odwróciła,

zobaczyła, że mężczyźni tarzają się po podłodze, przewracając krzesła i

objając o stół. Podbiegła do nich, unosząc pogrzebacz i stanęła w miejscu.

Którego uderzyć? - zadała sobie pytanie, zupełnie bezradna.

- Doprawdy, Rochford - rozległ się kobiecy głos - bijatyka w salonie? Przed śniadaniem? Jakże to prymitywne...

Callie odwróciła się i ze zdumieniem ujrzała Francescę, która stała u stóp schodów całkiem spokojna, wręcz niewzruszona, i śliczna w

bla-doniebieskiej sukni. Callie zaniemówiła, a mężczyźni łagodny głos

Franceski musiał wprowadzić w stan osłupienia, gdyż przestali walczyć.

- Doprawdy, Rochford, proszę cię, wstań. Wyglądasz niewymownie pospolicie na podłódze. Co do pana, hrabio Bromwell, przypuszczałabym, że wpadnie pan na ciekawszy pomysł niż rozbijanie mebli. Ktokolwiek jest właścicielem tego czarującego domku, nie zachwyca go zniszczenia, których pan dokonał.

Ponieważ nikt się nie odezwał, nie spiesząc się, przeszła przez hol i stanęła w otwartych drzwiach salonu.

- Obaj, jak widzę, adepci szkoły boksu pana Jacksona - powiedziała z przekąsem, patrząc na obu mężczyzn, którzy podnieśli się na nogi. - Wielka szkoda, że nie daliście upustu swojej pasji na zewnątrz. Narobiliście tyle hałasu, że się przebudziłam. Będę miała podkrążone oczy, to pewne, zwłaszcza że przyjechałyśmy z Callie późno, już po zmierzchu. - Zamilkła na chwilę, a potem dodała podkreślając każde słowo: - Cieszę się jednak, Rochford, że znajduję cię w dobrym zdrowiu! Nie wyglądasz na człowieka ze złamanymi żebrami, a tym bardziej nogą.

- O czym ty bredzisz, Francesco? - spytał księżę niezwykle jak na niego nieuprzejmie, odzyskując głos.

- O ciężkim uszczerbku na zdrowiu, którego ponoć doznałeś - odparła. - Wyruszyłyśmy w drogę natychmiast, gdy dotarła do nas wiadomość, że uległeś wypadkowi. Jakież było nasze zdumienie, gdy nie zastałyśmy cię tutaj.

- Ty tu byłaś... z Callie?

- Oczywiście. Udałyśmy się w drogę zaraz po otrzymaniu listu od... przypomnij mi nazwisko, moja droga.

- Pani Farmington - podsunęła Callie, pilnując się, by zachować poważną minę.

- Właśnie, Farmington. To chyba oczywiste, że nie puściłabym Callie samej w taką podróż. Przyjechałyśmy bardzo późno, na szczęście hrabia Bromwell był uprzejmy zaoferować nam nocleg, co przyjęłyśmy z wdzięcznością. Nie uśmiechało się nam szukać po nocy gospody, nie wiedząc nawet, czy będzie przyzwoita.

- Nic z tego nie rozumiem. O jaki list chodzi? Dlaczego się tutaj znalazłyście? I dlaczego on tutaj jest? - Rochford spojrzał wrogo na hrabiego.

- Przyjechałem na kilka dni - wyjaśnił Bromwell.

- Callie i mnie sprowadziła tu wiadomość, którą otrzymałyśmy. Przecież właśnie to wyjaśniłam - powiedziała Francesca. - Callie, masz jeszcze ten

list? Proszę, idź na górę i przynieś go. Może twój brat zrozumie wreszcie, co się stało, kiedy go zobaczy.

Callie skinęła głową i poszła do sypialni. Przez cały czas, kiedy jej nie było, Rochford obrzucał hrabiego i Francescę podejrzliwymi spojrzenia-

mi. Bromwell stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z arogancką miną, patrząc księciu prosto w oczy, a Francesca przyglądała mu się chłodnym wzrokiem, z lekkim niesmakiem na twarzy.

Callie wróciła szybko i podała bratu list. Przebiegł go oczami, marszcząc czoło.

- Co to ma znaczyć? - spytał, patrząc na Callie, a potem na Francescę. - Kto wam to przysłał? - Odwrócił się do Bromwella z ponurą miną. - To jakiś podstęp?

- Nie! - zaprzeczyła pospiesznie Callie. - Hrabia Bromwell nic o tym nie wiedział. Był równie jak ja zdumiony... i jak Francesca - dodała szybko. - Byłyśmy potwornie zmęczone, więc postanowiłyśmy pójść spać, a całą sprawę wyjaśnić rano. Tymczasem wpadłeś tutaj, wrzeszcząc jak opętany.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że Francesca jest z tobą?

- Przecież próbowałam! - wykrzyknęła Callie. - Nie chciałeś wysłuchać tego, co miałam do powiedzenia. Zresztą jak zwykle

- No cóż... - Rochford miał lekko zażenowaną minę.

- Teraz twoja kolej, książę - powiedziała Francesca. - Skąd się tutaj wzięłeś?

- Dostałem list zawierający informację, że moja siostra uciekła z hrabią Bromwellem i są tutaj.

- Ach tak. Teraz rozumiem - powiedziała lodowatym tonem Francesca.

- Zdaje się, że wreszcie wszyscy zrozumieliśmy - przyznał z goryczą Bromwell.

Odwrócił się i zaczął podnosić i ustawiać na miejsce meble.

Francesca zwróciła się do Callie:

- Chodźmy spakować rzeczy. Może Rochford zechce nam towarzyszyć w drodze do Londynu.

- A właśnie. Gdzie wasz powóz? Nie widziałem go, kiedy tutaj dojechałem - oznajmił nadal pełen wątpliwości książę.

- W stajni, a gdzie indziej miałby być? - odparła Francesca, patrząc na niego ze zdziwieniem.

Zapadło milczenie i tym wyraźniej doszedł do ich uszu odgłos końskich kopyt i turkot kół. Zbliżał się, a kiedy ucichł, stało się jasne, że powóz zatrzymał się przed domem. Spojrzeli po sobie zaskoczeni i Bromwell poszedł w kierunku drzwi. Zatrzymał się jak wryty, gdy usłyszeli kobiece głosy i śmiech.



Drzwi zostały otwarte zamasyście i na progu stanęła lady Swithington. Mówiła coś pogodnie do towarzyszącej jej damy, ale urwała w pół słowa, zobaczywszy brata stojącego naprzeciw niej z kamienną twarzą.  
- Och, Brom! - wykrzyknęła zdziwiona. -

Nie spodziewałam się, że wstaniesz tak wcześnie. I lady Calandra... jaka przyjemna niespodzianka. Och i księżę Rochford... - Przeniosła wzrok z Callie na jej brata. - Co pan tu robi? - Próbowała udawać zaskoczenie, ale zdradził ją głos pełen satysfakcji.

- Witaj, Daphne - odezwała się Francesca. Lady Swithington spojrzała na nią, tym razem nie udając zaskoczenia.

- Francesca! Co... co za niespodzianka... -Stała przez chwilę, wyraźnie zbierając myśli, potem zwróciła się do towarzyszącej jej kobiety: - Przepraszam. Proszę mi pozwolić przedstawić sobie moją przyjaciółkę, panią Cathcart. Lady Calandro, lady Haughston, czy znają panie panią Cathcart?

- Tak, zostałyśmy sobie przedstawione - odparła Callie, zmuszając się do uśmiechu.

Blondynka o ostrych rysach była jedną z najgorszych plotkarek. Lady Swithington wiedziała, kogo wybrać na świadka skandalu, który zaaranżowała, aby mieć gwarancję, że wieść o nim szybko rozprzestrzeni się po całym Londynie.

Lady Daphne przedstawiała ich sobie dalej, a Rochford odzyskał całkowicie równowagę, opuścił podwinęte rękawy koszuli i wykonał przed panią Cathcart elegancki ukłon, wypowiadając grzecznościową formułkę przywitania z uprzejmym uśmiechem, w zwykły sobie sposób, niepozostawiający wątpliwości, że ma się do czynienia z księciem.

- Miło mi panią poznać, pani Cathcart. Proszę wybaczyć mi sposób, w jaki panie powitałem.

- Ależ oczywiście - zapewniła go pani Cathcart, zarumieniona i wyraźnie zemocjonowana faktem, że rozmawia z księciem

- Rzeczywiście, wygląda pan nieco... nieporządnie, Rochford - zwróciła się do niego bezceremonialnie lady Daphne. - A to co? Widzę krew na twoim policzku, Brom. Co ci jest?

Mężczyźni spojrzeli na siebie, ale to Francesca udzieliła odpowiedzi:

- Naprawiali mój powóz. Nic dziwnego, że wyglądają nieporządnie i są zmęczeni. Powóz zjechał z drogi, koło zahaczyło o rów, przechylił się niebezpiecznie... Bardzo denerwująca sytuacja.

Pani Cathcart wypowiedziała stosowne w takiej sytuacji „och” i „ach” wyrażające ubolewanie, a lady Daphne, przyglądając się Francescę zważonymi oczami, powiedziała:

- Co za okropność. Aż dziwne, że nic się wam nie stało.
- Rzeczywiście okropność - potwierdziła z ironią Francesca. - Zapewniam, że to, co się wydarzyło, było dla nas szokujące. Prawda, Callie?
- Och tak - podchwyciła Callie, w lot rozu-

miejąc intencję przyjaciółki. - Mam potwornie posiniaczone plecy. Na szczęście niczego sobie nie połamałyśmy. - Spojrzała lady Daphne prosto w oczy, sprawdzając, czy dotarło do niej właściwe znaczenie wypowiedzianych słów.

Po chwili milczenia lady Swithington stwierdziła:

- Musicie być bardzo zmęczone, a to jeszcze nawet nie południe. Co za szczęśliwy traf, że powóz przewrócił się akurat tutaj i mój brat mógł wam pomóc.

- Tak - zgodziła się z nią Francesca. - Hrabia Bromwell okazał nam wiele uprzejmości. Bardzo jesteśmy wdzięczni za pomoc, prawda, Rochford? - zwróciła się do księcia i tylko ci, którzy znali ją dobrze, mogli wyczuć stanowczą nutę w jej słodko brzmiącym głosie.

Muskuły zadrgały na twarzy księcia, ale rzekł:

- Tak, doceniam to.

- Cieszę się, że na coś się przydałem - pospieszył z zapewnieniem Bromwell. - Przykro mi, że musieliście przerwać podróż.

- W takim razie to z pewnością rozumiałe, że chcemy ją jak najszybciej podjąć - skorzystał z okazji Rochford. - To była przyjemność poznać panią - zwrócił się do pani Cathcart - ale obawiam się, że musimy jechać.

- Ale dokąd? - dopytywała się lady Swithington. - Myślałam, że przebywacie w Londynie.

Wyniosłe spojrzenie Rochforda zwykle wystarczało, aby uciąć wszelkie impertynenckie pytania, ale na Daphne nie zrobiło większego wrażenia.

- Zamierzaliśmy złożyć wizytę przyjaciółom, zanim wyjadę do Marcastle.

- Ach tak? Jakim przyjaciółom? Może ich znam? - dopytywała się nieustrudzenie Daphne.

- Raczej wątpię.

- Dosyć tych pytań, Daphne - wtrącił Bromwell, zwracając się do siostry szorstkim tonem, jakiego nigdy dotąd od niego nie usłyszała. - Goście wyjeżdżają. Nie chcielibyśmy, żeby przez nas ich podróż się opóźniła.

- Ależ oczywiście, że nie - zgodziła się, obdarzając obecnych promiennym uśmiechem.

- W takim razie pójdę do stajni polecić woźnicy, żeby przyprowadził powóz. - Mówiąc to, Rochford nie spuszczał oczu z Franceski.

- Doskonały pomysł - orzekła spokojnie. Książę skłonił się i wyszedł.

- Zechcą panie nam wybaczyć, ale chciałybyśmy odświeżyć się przed podróżą - powiedziała Francesca, podchodząc do Callie i ujmując ją za ramię.

Obdarzyły uśmiechami lady Swithington i panią Cathcart i wyszły z salonu. Callie skrupulat-

nie pilnowała się, aby nie spojrzeć na Bromwella, obawiając się, że jej twarz zdradzi, co między nimi się wydarzyło. Nie wbiegła na schody tylko dlatego, że Francesca powstrzymała ją, ujmując mocno pod ramię. U szczytu schodów, gdy znikły reszcie z oczu, Francesca zwolniła uścisk i Callie przystanąła, opierając się o ścianę.

- Och, Francesco... - wyszeptała. Przyjaciółka potrząsnęła głową i pociągnęła ją

dalej przez korytarz. Dopiero gdy odeszły, spytała cicho:

- Masz jakiś bagaż? Callie kiwnęła głową.

- Tak, w pokoju - odparła i natychmiast stanęły jej przed oczyma porozrzucane po podłodze ubrania Bromwella. Zaczepiła się po korzonki włosów. - Przyniosę go - powiedziała i pobiegła do sypialni. Wróciła po krótkiej chwili z torbą podróżną.

- Jak to wyjaśnimy? Może wyrzucę ją przez okno albo wepchnę gdzieś do szafy?

- Nie. Idziemy śmiało jakby nigdy nic. To najlepsza polityka. - Francesca wzięła sakwojaż od Callie i poszła w kierunku schodów. W połowie drogi zaczęła mówić głośno, swobodnym tonem: - Sama widzisz, Callie, jak to dobrze, że wzięłam jedną ze swoich toreb. Po prostu nie sposób obejść się bez szczotki do włosów czy spinek. Teraz się ze mną zgadzasz, moja droga?

- Tak, miałaś rację - odrzekła Callie, skrywając uśmiech.

- Czarujący dom, hrabio Bromwell - mówiła dalej Francesca, nie dając nikomu innemu dojść do głosu. - Czy zawsze należał do pańskiej rodziny?

- To własność zmarłego męża mojej siostry - wyjaśnił.

- Ach tak. - Francesca zwróciła się do Daphne: - Jak ty uprzejmie z pani strony, lady Swithington, że użyczyła go pani bratu. Nic dziwnego, przecież zawsze kieruje się pani dobrem innych. - Uśmiechnęła się w odpowiedzi na nienawistne spojrzenie Daphne. - Lepiej wyjdźmy, zanim książę się zniecierpliwi. - Posłała żartobliwe spojrzenie pani Cathcart. - Przekonałam się, że mężczyźni bardzo nie lubią, gdy coś pokrzyżuje im plany. Czy pani też tak uważa?

- Naturalnie, lady Haughston. Z żalem przyjmuję, że musi pani odjechać, zanim miałyśmy szansę porozmawiać, ale oczywiście rozumiem.'

- Wezmę tylko peliskę i wychodzimy - powiedziała Francesca i poszła przez hol do kuchni.

Wróciła w chwilę później w ciemnoniebieskiej pelisce. Callie pospiesznie chwyciła z ławki

pelerynę, którą Bromwell rozłożył poprzedniego wieczoru, żeby wyschła, i obie skierowały się do drzwi.

- Odprowadzę panie - powiedział hrabia, stając obok nich.

- Nie ma potrzeby - odrzekła cicho Callie, tak jak poprzednio nie patrząc na niego w obawie, że twarz ją zdradzi.

- Nalegam - uciał i podał jej ramię. Ledwie na niego spojrzała, zachciało jej się

śmiać i płakać jednocześnie. Miała ochotę wyciągnąć rękę i zetrzeć ślady krwi z jego policzka. Zapragnęła rzucić się mu w ramiona, pocałować go po raz ostatni... Tymczasem nie wolno jej było tego zrobić. Dla bezpieczeństwa ich obojga musiała udawać, że łączy ich tylko zwykła znajomość i z pozorną obojętnością przyjąć podane sobie ramię.

Pożegnały się uprzejmie z lady Swithington i panią Cathcart. Ta ostatnia miała zachwyconą minę, nieczęsto bowiem obracała się w towarzystwie, w którym bywała rodzina Lilles i lady Haughston. Lady Daphne nie wyglądała na zadowoloną. Pożegnalny uśmiech był raczej grymasem, a oczy pozostały ponure i pełne urazy. Callie skinęła jej krótko głową i ograniczyła pożegnalne uprzejmości do niezbędnego minimum.

Drzwi frontowe zamknęły się za nimi i Callie szła z ręką wsuniętą w ugięte ramię Bromwella, świadoma jego obecności. Kiedy zobaczyły powóz i idącego obok księcia, Francesca przyspieszyła kroku, zostawiając ich na moment samych.

- Callie... - zaczął Bromwell.

- Nie, nie... proszę... - przerwała mu natychmiast zdławionym głosem.

Wiedziała, że więcej nie zobaczy ukochanego. Niezależnie od tego, co uczyniła jego siostra, on nigdy się od niej nie odwróci. Łączyły ich więzy krwi, a z Callie... Właśnie, co ich łączyło? Namiętność? Spędzili zaledwie jedną noc, a czuła, że oboje przeżyli coś niewiarygodnego. Jednak z ust Bromwella nie padły słowa miłości czy choćby obietnice.

- Muszę zostać i porozmawiać z Daphne - powiedział.

- Wiem.

Zaraz się rozplacze. Zorientowała się, że Sinclair im się przygląda. Jeśli brat zobaczy ją płaczącą, cała misterna intryga Franceski zda się na nic.

- Callie, poczekaj, nie odchodź jeszcze - powiedział Bromwell, wyciągając rękę.

- Błagam cię, nie. - Spojrzała na niego ze łzami w oczach. - Muszę iść.  
Żegnaj, Brom.

Zacisnęła usta, żeby nie powiedzieć tego, co się na nie cisnęło: Kocham cię.  
Pospiesznie podeszła do powozu. Z wdzięcznością zauwa-



żyła, że Francesca stanęła między nią a bratem w taki sposób, by mogła przejść obok nich, nie zatrzymując się. Wsiadła szybko do środka. Książę nie zwrócił na to większej uwagi, bo bacznie przyglądał się Francesce. Uniósł sceptycznie brew i pokazał głową na ludzi zaprzęgających konie do powozu.

- Zostałem woźnicę szcnotkującego konie. Wyglądały na dość... zszargane jak na zwierzęta, które spędziły noc w stajni.

- Dziwne - stwierdziła bez zmrużenia oka Francesca. - Nie są to oczywiście moje konie. Musieliśmy je zmienić po drodze, ale stajenny na ogół dobrze dba o zwierzęta. Może był zmęczony i zasnął od razu, jak przyjechaliśmy, tak jak ja.

- Rzeczywiście? - spytał Rochford, wpatrując się w nią przenikliwie.

- Rzeczywiście - potwierdziła Francesca. - Dlaczego miałabym zmyślać? Zresztą spytaj siostrę. Domek myśliwski nie jest znowu taki duży, musiałyśmy dzielić sypialnię.

Milczał dłuższą chwilę, nie spuszczać z niej wzroku, wreszcie skinął głową.

- Dobrze. Ruszajmy, zanim ta przekłeta kobieta znów zasypie nas pytaniami.

Książę pomógł Francesce wsiąść i podszedł do konia, na którym przyjechał.

- Czy dobrze się czujesz, moja droga? - spytała Francesca, ledwie usiadła, biorąc Callie za rękę.

Callie kiwnęła głową, ale kiedy otarła łzy z oczu, przyjaciółka odezwała się:

- Możesz mi wszystko opowiedzieć, nie pisnę nikomu o tym ani słowa.

- Nie ma co opowiadać - stwierdziła Callie, zdobywając się na uśmiech.

Natychmiast zdała sobie sprawę, jak nieprzekonująco to zabrzmiało.

- Skoro tak, porozmawiajmy o czymś innym, dobrze?

Callie ponownie skinęła głową, a potem, jakby nie mogła już dłużej wytrzymać, wykrzyknęła:

- Ja go kocham! - Zrozumiała to, gdy odkryła, że może wierzyć i ufać Bromwellowi. - On nie poprosi mnie o rękę.

- Skąd ta pewność? Przecież musiał się zorientować, że to jego siostra wszystko zaaranżowała. Nie tylko postawiła cię w kompromitującej sytuacji, ale dopilnowała, żeby Rochford przyjechał, i jeszcze zjawiła się w dobrze obliczonym momencie z najgorszą plotkarką w całym Londynie.

Nawet mnie zdumiała jej przewrotność, a od lat mam jak najgorsze zdanie o tej kobiecie.

- Wiem, że się zorientował, ale nie chce wierzyć, że ona jest zła. Jest do niej bardzo przywiązany. Opowiadał mi wczoraj, jak się nim opiekowała po śmierci matki, jaki okropny był

dla nich ojciec, a ona go przed nim broniła. Nie odsunie się od niej, żeby nie wiem co zrobiła. A gdyby nawet, jak może poślubić siostrę człowieka, którego tak długo nienawidził? Spostrzegłam, że zaczyna mieć wątpliwości co do tego, czy ona mówiła prawdę o Sinclairze. Nie chce jednak dopuścić do siebie myśli, że go okłamała.

- Ma niezwykłą zdolność zwodzenia mężczyzn, to trzeba jej przyznać - powiedziała z goryczą Francesca. - Ale miłość to potężne uczucie.

- Nie twierdzę, że on mnie kocha. Powiedziałam, że ja go Kocham.

Łzy popłynęły po policzkach Callie. Nie zadała sobie trudu, aby je otrzeć.

- Widziałam, jak na ciebie patrzy.

- To pożądanie, nie miłość. Boję się, że więcej go nie zobaczę.

Ostatnie słowa przeszły w urywany szloch. Francesca objęła przyjaciółkę, pozwalając jej się wypłakać.

### **Rozdział osiemnasty**

Callie płakała dość długo, ale w końcu ucichła i usiadła wyprostowana.

Wyciągnęła chusteczkę, osuszyła oczy i westchnęła przeciągle, głęboko.

- Przepraszam cię - zwróciła się do Franceski. - Już drugi raz wypłakuję ci się na ramieniu. Pewnie uważasz mnie za potworną beksę.

- Nie. Po prostu przechodzisz trudny okres w życiu. Wierz mi, bywało tak, że płakałam bez przerwy. Nie masz za co przepraszać.

- Dziękuję ci. - Callie zdobyła się na łzawy uśmiech. - Za to i za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Bałam się, że Bromwell i Sinclair się pozabijają.

- Cieszę się, że przyjechałam na czas.

- Ale dlaczego przyjechałaś? Nigdy w życiu nie byłam tak zdumiona jak dzisiaj, kiedy cię zobaczyłam.

- Fenton dał mi twój liścik od razu, gdy wróciłam z wizyty u księżnej Chudleigh. Wiedziałam więc, dokąd pojechałaś i że z Rochfordem jest źle. Kazałam natychmiast przyprowadzić z powrotem powóz i wyruszyłam w ślad za tobą.

- Czyli domyśliłaś się, że to pułapka?

- Skąd! Nie miałam najmniejszego pojęcia. Owszem, zorientowałam się, że to Daphne zawdzięcza zaproszenie lady Odellii. Kiedy wracałyśmy do domu, lady Odelia powiedziała coś w rodzaju, że nasza droga Daphne miała rację, bo ona nie sądziła, że zgodzę się jej towarzyszyć. Możesz sobie wyobrazić, jak się poczułam, ale oczywiście nie dałam niczego poznać po sobie, robiąc dobrą minę do złej gry. Nie domyśliłam się, że Daphne wyciągnęła mnie z domu, żeby zrealizować niegodziwy plan. Myślałam, że chciała mi dać kolejnego prztyczka i pośmiać się moim kosztem.

- To znaczy pojechałaś w pośpiechu do tego wiejskiego domu, ponieważ myślałaś, że Sinclairowi coś się stało. Zależy ci na nim, prawda? - spytała Callie.

Francesca, co jej się prawie nie zdarzało, zaniemówiła. Patrzyła przez moment na Callie, wreszcie wyprostowała się dumnie, posłała przyjaciółce urażone spojrzenie i powiedziała z godnością:

- Znam go przez całe życie. Poza tym myślałam, że przyda ci się moja pomoc, kiedy będziesz go pielęgnować. Nie jechaliśmy szybko. Zapadła noc i czasem, gdy wokół panowały ciemności choć oko wykol, stajenny prowadził konie, idąc z latarnią. Kiedy wreszcie zajechaliśmy na podwórze i zobaczyłam wierzchowca Rochforda przywiązane do słupka, zdziwiłam się, bo właściwie po co, skoro jego właściciel leżał połamany w łóżku. Ledwie wysiadłam z powozu, usłyszałam krzyki i rozpoznałam głos Rochforda. Dopiero wtedy domyśliłam się, że coś jest nie tak. Byłam gotowa się założyć, że to sprawka Daphne.

- Miałaś sporo przytomności umysłu, żeby posłać konie od razu do stajni.

- Nie mogłam się za długo się namyślać, co zrobić. Kazałam stajennemu wyprząc konie i zająć się nimi, a sama weszłam przez tylne drzwi do domu i resztę znasz. Udałam, że dopiero co zesłam ze schodów.

- Jak to dobrze, że przyszedł ci ten pomysł do głowy. - Callie uściśniła dłoń przyjaciółki. - Uratowałaś nas.

- Przecież obiecałam ci pomagać ze wszystkich sił.

- Jestem ci niewypowiedzianie wdzięczna. Chyba wrócę z Sinclairem do Marcasde. Chciałam zostać przez cały sezon, żeby zamknąć

plotkarzom usta, ale teraz nie wydaje mi się to istotne.

- Och, Callie... - Głos Franceski był pełen współczucia. - Tak mi przykro, że nie zostaniesz. Nie tylko dla twojego towarzystwa, choć przyznaję, że dom bez ciebie będzie pusty. Nie podoba mi się to, że się poddajesz...

- I nie będę dłużej szukać męża? - dopowiedziała Callie.

- Miałam na myśli, że nie będziesz szukać miłości.

- Już ją znalazłam. Nie patrz na mnie z takim smutkiem. Nie żałuję tych ostatnich tygodni. Nie oddałabym za nic tego, co przeżyłam i czułam. Do niedawna przypuszczałam, że nie jestem zdolna kochać, i byłam gotowa poprzestać na czyjejs przyjaźni i wygodnym życiu. Teraz wiem, czym jest prawdziwa miłość, i znam różnicę. Nie sądzę, bym się czym innym zadowolila.

- Błagam cię, nie rezygnuj z hrabiego.

- Nie wystarczy mi, że ja go kocham - wyznała ze zrezygnowanym uśmiechem Callie.

Francesca zrozumiała, że nie ma tu nic więcej do powiedzenia. Skinęła głową, czując, jak w sercu odzywa się stary ból. Milczały przez resztę drogi, każda pogrążona we własnych myślach, czasem tylko unosiły zasłonę w oknie, wyglądając na zewnątrz. Po pewnym czasie Callie, znużona emocjami i płaczem, zasnęła z głową wciśniętą w róg powozu.

Początkowo jechali wolno, bo konie były zmęczone, wkrótce też zrobili przystanek, by je wymienić. Nawet Rochford, choć niechętnie, zdecydował się zostawić swego wierzchowca w stajni w gospodzie, powierzając go opiece stajennego Franceski i wydając wyraźne instrukcje, aby znalazł się z powrotem w Londynie następnego dnia.

Odtąd podróżowali szybciej i wieczorem dotarli do miasta. Callie powiedziała bratu, że chce wrócić z nim do Marcastle, zostawił więc ją w domu Franceski, aby się spakowała, a sam pojechał do Lilles House, aby przygotować wszystko do wyjazdu.

- Rano przyślę po ciebie powóz - obiecał Callie. - Pewnie chcesz ten wieczór spędzić z lady Haughston.

- Dziękuję - powiedziała Callie, wspinając się na palce, żeby pocałować go w policzek.

- Czy to znaczy, że nie jestem już na czarnej liście? - Zaskoczony książę spojrział na siostrę.

- Nie pochwalam twojej napaści na hrabiego Bromwella, ale doceniam, że gnałeś co koń wyskoczy, żeby mnie chronić. Jesteś bardzo dobrym bratem.
- Przypomnę ci te słowa, kiedy następnym

razem przyjdzie ci ochota mnie sponiewierać -odparł, a potem odwrócił się do Franceski. -Lady Haughston.

- Rochford. - Wyciągnęła rękę. - Ufam, że nasze kolejne spotkanie przebiegnie w bardziej sympatycznych okolicznościach.

- Gdziekolwiek i kiedykolwiek do tego dojdzie - powiedział, ujmując jej dłoń - na pewno nie będzie nudno.

Skłonił się i ku zdumieniu Franceski przytrzymał jej rękę o kilka sekund dłużej, niż wypadało. Wreszcie uściśnął jej dłoń i powiedział:

- Dziękuję.

Rochford wyszedł, a one zajęły się przygotowaniami do wyjazdu Callie.

Pokojówka, zgodnie z poleceniem, spakowała już większość rzeczy, aby wysłać je do Blackfriars Cope, tak że niewiele zostało do zrobienia. Callie zależało na pośpiechu, a nie staranności. W innych okolicznościach

dopilnowałyby, aby ubrania zostały wyprane lub wyczyszczone i wyprasowane, ale teraz uznała, że będzie na to mnóstwo czasu w domu.

Poszły więc do swoich sypialni o rozsądnej porze, mimo to Callie nie wypoczęła tej nocy. Przewracała się z boku na bok, potem budziła kilka razy z męczących snów. Czuła się nie na miejscu w tej sypialni, w której przez tyle tygodni było jej przytulnie i wygodnie. Wreszcie wstała i podeszła do okna. Odchyliła zasłonę i wyjrzała na ulicę: była pusta i ciemna. Nagle Callie zrozumiała, skąd płynął jej niepokój. Z tłumionej nadziei, że Bromwell pojawi się, żeby z nią zostać. Oparła głowę o zimne szyby, mówiąc sobie, że jest niemądra.

Ksiązęcy powóz przyjechał krótko po tym, jak Francesca i Callie skończyły jeść śniadanie. Nie była to ciężka karetka podróżna, którą zwykle jeździli, bo ta została w Marcastle, ale lekki miejski powóz. Woźnica, wyraźnie niezbyt tym faktem zachwycony, wyjaśnił, że ksiązę wynajął karetkę pocztową, obawiając się, że bagaże nie pomieszczą się w jednokonnym powoziku. Co było prawdą, ponieważ kufry Callie z trudem dały się upchnąć w miejscu przeznaczonym na bagaż, a dwie małe torby podróżne musiała zabrać ze sobą do środka.

Francesca odprowadziła przyjaciółkę do powozu. Przystanęły, żeby się pożegnać.

- Proszę - powiedziała ze ściśniętym gardłem Callie, kładąc Francesce na dłoni niewielki przedmiot. - Było mi u ciebie tak dobrze... Chcę ci to dać.

Francesca spojrzała na delikatny naszyjnik.

Kamea z kości słoniowej, otoczona gagatami i zawieszona na złotym łańcuszku.

- Callie... to piękna rzecz, ale...

- Proszę cię. Należała do mojej matki.

- Callie, zastanów się. Nie powinnaś jej oddawać. Nie mogę jej przyjąć. - Wyciągnęła dłoń z naszyjnikiem do przyjaciółki.

- Chciałabym, żebyś ją wzięła. To nie jedyna rzecz, jaką dostałam po matce. Miałabym wrażenie, że jesteśmy ze sobą blisko związane... prawie jak siostry. Proszę cię.

- Na pewno? - spytała zmieszana Francesca.

- Tak. To dla mnie ważne.

- Dobrze, skoro nalegasz. - Francesca zamknęła naszyjnik w dłoni, a potem impulsywnie uściskała Callie raz jeszcze. - Proszę cię tylko, żebyś nie zagrzebała się w Norfolk. Obiecuj mi, że przyjedziesz znowu... może na kolejny mały sezon?

- Może... A ty przyjedziesz do Redfields? Przekonam Rochforda, żebyśmy dłużej zostali w Dancy Park.

- Oczywiście, że przyjadę.

Francesca stała, machając ręką na pożegnanie, dopóki powóz nie znikł za rogiem. Potem poszła do swojej sypialni. Jej osobista pokojówka, Maisie, przycupnęła na stołeczku przy kominku, przyszywając falbankę do jednej ze spódnic swojej pani.

- Cóż, Maisie, lady Calandra odjechała na dobre - powiedziała z westchnieniem Francesca, siadając przed toaletką. - Będzie mi jej brakowało.

- Tak, milady. Lady Calandra może przypaść do serca.

Maisie rzeczywiście polubiła Callie, nie dodała jednak przezornie, że jej samej najbardziej będzie brakować doskonałych posiłków, które zawdzięczali hojności księcia. Jej pani z pewnością uniosłaby się honorem, dowiedziawszy się, jak wysoką sumę przeznaczył plenipotent księcia na pokrycie wydatków związanych z pobytem lady Calandry. Pewnie nawet w przypływie dumy chciałaby odesłać pieniądze. Na szczęście Fenton był za sprytny, żeby do tego dopuścić, a księżę na tyle przezorny, że wydał swojemu człowiekowi ściśle instrukcje, aby kontaktował się wyłącznie z kamerdynerem.

Maisie uśmiechnęła się lekko do własnych myśli, przypominając sobie, że Fenton był także wystarczająco sprytny, by zaoszczędzić sporą sumkę z



tych pieniędzy. Pozwalało to domownikom mieć nadzieję, że spizarnia nie będzie świecić pustkami jeszcze przez miesiąc lub dwa.

Francesca uniosła wieczko pudełka na bizuterię, które stało na toaletce, a potem wysunęła szufladę toaletki i uruchomiła sekretny mecha-

nizm, otwierający podwójne dno. Ułożyła kameę obok połyskującej bransoletki z szafirów i szafirowych kolczyków do kompletu.

- Jeśli w dalszym ciągu będę otrzymywać podarunki, których nie mogę sprzedać, umrzemy z głodu - powiedziała ponuro, zamykając skrytkę. - Stanowczo muszę znaleźć w tym sezonie dziewczynę, do której się nie przywiążę, i wydać ją za mąż.

- O tak, milady - zgodziła się Maisie pogodnie, odgryzając ze szpulki nitkę i wiążąc na końcu supełek.

Z domu lady Haughston do Lilles House nie było daleko i gdyby nie bagaże, Callie poszłaby piechotą. Karetą pocztowa stała na ulicy od frontu, służba pakowała kufry pod nadzorem kamerdynera. Kiedy zobaczył Callie, pospieszył pomóc jej wysiąść z powozu i przywitał tak serdecznie, jakby nie widział jej od tygodni. Zastanawiała się, czy do służby dotarły plotki i czy jej współczują. Pewnie tak, doszła do wniosku, zwykle to oni więcej wiedzieli o najświeższych skandalach niż ona.

- Callie. - Rochford wyszedł z domu, żeby ją powitać.

Zauważyła czerwoną plamę na jego policzku, druga pod okiem zaczynała nabierać sinej barwy.

- Witaj, Sinclair.

- Możemy wyruszyć, gdy tylko przepakują twoje bagaże. Kucharz przygotował niesamowite ilości jedzenia. Jest przekonany, że otruliby nas w gospodach.

Callie poszła porozmawiać z kucharzem i gospodynią, wiedząc, że byliby zawiedzeni, gdyby tego nie uczyniła. Kiedy wróciła, kufry były spakowane, a woźnica skrupulatnie sprawdzał umocowania. Rochford wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wsiąść, gdy rozległ się czyjś okrzyk i łomot końskich kopyt. Odwrócili się oboje i zobaczyli galopującego z niebezpieczną szybkością mężczyznę.

W sekundę potem Callie rozpoznała Bromwella. Marzenie się ziściło - przyjechał, żeby nie pozwolić jej wyjechać.

- Proszę, poczekajcie! - krzyknął, zbliżając się do nich. Zatrzymał wierzchowca i zeskoczył na ziemię. - Nie odjeżdżajcie jeszcze. - Wcisnął lejce jednemu ze służących i podszedł do Callie i Rochforda. - Bogu dzięki, złapałem was.

- W ostatniej chwili - stwierdził ksiązę, przyglądając mu się badawczo.

- Pojechałem najpierw do lady Haughston, ale poinformowała mnie, że wyjeżdżasz do domu - zwrócił się do Callie. - Bałem się, że się z tobą

rozminę. Rozmówiłem się z siostrą. Wyznała mi prawdę. Kłamała o tobie,  
księżę,

i o tym, co się wydarzyło... a raczej, co się nie wydarzyło. Przyjechałem przeprosić za wszystko - dodał z nieszczęśliwą miną. - Mam nadzieję, że przyjmiecie moje przeprosiny za intrygę, którą wczoraj uknuła. - Spojrzał na Callie i natychmiast odwrócił wzrok.

Dlaczego na nią nie patrzy? Przecież nie tak to' sobie wyobrażała. Gdzie namiętne wyznanie miłości? Gdzie zapewnienie, że żyć bez niej nie może? Wygląda, jakby bardziej zależało mu na rozmowie z Sinclairem niż z nią! Bromwell wyprostował się i spojrzał księciu prosto w oczy.

- Sir, żałuję impulsywnego zachowania sprzed piętnastu lat. Dałem się zwieść siostrze i niesłusznie pana oskarżałem. Mam nadzieję, że zechce mi pan wielkodusznie wybaczyć. Jeżeli nie, zrozumieć, choć proszę mi wierzyć, że szczerze żałuję.

Rochford wyciągnął do niego rękę.

- To naturalne, że brat chroni siostrę.

- Tak - przyznał Bromwell i obaj uścisnęli sobie dłonie w geście męskiego porozumienia. - Zerwałem z Daphne - wyjął hrabia, wciąż patrząc na księcia. - Zdaję sobie sprawę, że nie mógłbym się starać o względy pańskiej siostry, gdybym postąpił inaczej. Przyjechałem, aby prosić o pozwolenie ubiegania się o rękę lady Calandry.

- Jak pan już się przekonał, Callie sama podejmuje decyzje. Oczywiście ma pan moje przyzwolenie.

- Dziękuję. - Bromwell skinął głową i zwrócił się do Callie: - Lady Calandro...

- Och, coś podobnego! - powiedziała z ironią. - Jestem tutaj? I wolno mi będzie zabrać głos w tej kwestii? Czy może wystarczy, jeśli mój brat podpisze intercyzę i zdecyduje o wysokości posagu?

- Callie? - spytał niepewnie Bromwell.

- Decyduję o sobie - oświadczyła rozgorączkowana. - Jeżeli to mnie chcesz poślubić, powinieneś mnie zapytać, a nie brata!

Łzy napłynęły jej do oczu, odwróciła się i uciekła do domu, zatraskując za sobą drzwi.

Bromwell spojrzał na księcia.

- Co ja takiego zrobiłem? Powiedziałem coś nie tak?

Rochford wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście bezradności, jakby mówił: zrozum kobietę. Hrabia szybko wszedł po frontowych schodach.

Lokaj podskoczył, aby otworzyć przed nim drzwi, ale nie zdążył.

- Callie! - zawołał Bromwell, wchodząc do środka.

Stała w wysoko sklepionym przedsionku Lilles House. Służący, jeśli byli gdzieś w pobliżu,

usunęli się dyskretnie. Skrzyżowała ręce na piersiach, wpatrując się w stojącą na bocznym stoliku wazę. Odwróciła się, gdy Bromwell zawołał, i spojrzała na niego wojowniczo. Podszedł bliżej.

- Myślałem, że ty... Myślałem, że zgodziłabyś się wyjść za mnie. Nie miałem pojęcia, że... masz coś przeciwko temu.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż dla spokoju twojego sumienia - oświadczyła, przełykając łzy. - Nie zamierzam również tego robić, bo piętnaście lat temu źle osądziłeś mojego brata ani dlatego że tak wypada, ani dlatego że twoja siostra postawiła nas wczoraj w kompromitującej sytuacji.

- O czym ty, do licha, mówisz! - wybuchnął, tracąc cierpliwość. - Niczego takiego nie mówiłem!

- Nie musiałeś. Wystarczy, że okazałeś, jakim będę dla ciebie ciężarem. Słowem się do mnie nie odezwałeś... Ani jednego uśmiechu, nawet spojrzenia... Od razu zwróciłeś się do mojego brata, żeby go przeprosić. Tak, jakby mnie to w ogóle nie dotyczyło i jakby chodziło wyłącznie o jego zadowolenie!

- Zwróciłem się do niego, ponieważ chciałem, żeby wszystko przebiegło jak należy. Chciałem pogodzić się z Rochfordem, aby nie było między wami kwasów. Nie o niego mi chodziło, tylko o ciebie. Nie dlatego pragnę cię poślubić, że on istnieje. Nie ma to nic wspólnego z moją siostrą, a już na pewno nie z jakimiś plotkami czy z tym, co sobie wykwinęte londyńskie towarzystwo pomyśli!

- Więc dlaczego chcesz mnie poślubić? - Ani myślała mu ustąpić. Spojrzał na nią ze szczerym zdziwieniem.

- Bo cię kocham! Żyć bez ciebie nie mogę. Siedziałem w Blackfriars i myślałem o przeraźliwie pustych dniach, które mnie czekają bez ciebie. Samotnych, dłużących się godzinach zaprawionych goryczą. Kocham cię tak bardzo, że życie bez ciebie wydaje mi się bez sensu.

- Brom... - Rzuciła mu się w ramiona. - Nareszcie!

Przytulił ją mocno i chowając twarz w jej włosach, zapytał:

- Czy to znaczy, że zgadzasz się mnie poślubić? A może mam paść na kolana?

- Nie, nie - odpowiedziała Callie, na poły z płaczem, na poły ze śmiechem. - Tak, wyjdę za ciebie.

Pocałował ją namiętnie, jakby chciał przypieczętować ich porozumienie.

- Kocham cię, Callie, bardziej niż kogokolwiek na świecie - powiedział Bromwell, gdy oderwał się od jej ust.

- I ja cię kocham - wyznała, patrząc na niego roziskrzonymi oczyma. Przyjechałam do Londynu znaleźć męża, a znalazłam miłość, pomyślała.

## **Epilog**

Francesca rozejrzała się po sali balowej Lilles House udekorowanej wiosennymi kwiatami tak bogato, że wydawało się, jakby ogołocoło z nich cały Londyn i okolice, i wypełnionej co najmniej połową londyńskiej socjety. Wcześniejsza ceremonia w katedrze zgromadziła równie liczną publiczność.

Należało się zresztą tego spodziewać. Ślub uznano za wydarzenie roku. Nieczęsto za mąż wychodzą siostry księżąt, a ta była ukochaną siostrą, więc nie szczędzono funduszków ani na samą ceremonię, ani na wesele. W Londynie nie rozmawiano o niczym innym od dnia ogłoszenia zaręczyn. Zaproszenia stały się obiektem pożądania; ci, którzy nie mieli szczęścia ich otrzymać, nie przyznawali się do tego.



Francesca przesuwiała się wraz z resztą gości witanych przez młodą parę, której towarzyszyli książę i babka Callie. Francesca wiedziała, że lady Daphne również została zaproszona. Świadoma, jak mocno Bromwell był związany z siostrą, Callie nie miała serca zupełnie pozbawić go z nią kontaktów. Niemniej nie stała z nimi, witając gości, i Francesca z ulgą pomyślała, że może uniknie jej towarzystwa.

Książę był, jak zwykle, najprzystojniejszym mężczyzną spośród wszystkich obecnych. Pochylił się nad dłońią Franceski, oczy mu zabłysły.

- Ach, nasza piękna lady, która to wszystko sprawiła...

- Raczej nie mogę sobie przypisać tej zasługi - odpowiedziała lekko. - To miłość zatriumfowała.

- Zwłaszcza jeśli miłości pomaga zręczny strateg...

- Francesca!

Callie wyciągnęła ramiona, żeby uściskać przyjaciółkę. Jej twarz promieniała szczęściem, duże brązowe oczy błyszczały niczym gwiazdy.

- Witajcie, Callie, Bromwellu. Chciałam życzyć wam obojgu, żebyście byli bardzo szczęśliwi. Ale to niepotrzebne, bo widać, że jesteście.

- To prawda - zgodził się Bromwell, unosząc dłoń żony i całując jej palce. - Jak mogłoby być inaczej, jeśli poślubiłem najpiękniejszą kobietę na ziemi.

Callie zarumieniała się i uśmiechnęła, a potem spojrzeli sobie w oczy i stało się jasne, że reszta świata przestała dla nich istnieć. Francesca przesunęła się dalej. Musi koniecznie znaleźć jakąś debiutantkę, której pomoże uniknąć pułapek sezonu, pomyślała. Był w pełni i niewiele czasu na to zostało. Miała zamiar zająć się tym natychmiast po wyjeździe Callie, ale pochłonęły ją przygotowania do wesela. Prawdę mówiąc, nie szukała zbyt intensywnie. Przez ostatnie lata sprawiała jej przyjemność to, co robiła, ponieważ zaprzyjaźniła się z kobietami, którym pomogła, i teraz myśl o swataniu jakiejś pary zupełnie na zimno wydała się jej niezbyt pociągająca.

Kilkanaście minut później poruszenie wśród gości skierowało jej uwagę na środek sali balowej. Stali tam Callie i Brom, czekając, aż orkiestra zacznie grać walca - pierwszy taniec, który mieli rozpocząć jako mąż i żona. Ze wszystkich par, które skojarzyła, ta była jej najbliższa. Callie traktowała niemal po siostrzanemu... Był przecież taki czas, gdy sądziła, że naprawdę... Francesca wzruszyła ramionami, odganiając tę myśl, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na wysokiego, wyprostowanego jak struna Rochforda. Odwrócił głowę i napotkał wzrok

Franceski. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Francesca spuściła wzrok na swoje dłonie i zaczęła wygładzać rękawiczki skrupulatnie po jednym palcu.

- Spodziewam się, że jesteś zadowolona. Francesca odwróciła się i stanęła oko w oko z lady Swithington.

- Rzeczywiście cieszy mnie ślub lady Calan-dry i hrabiego Bromwella - powiedziała chłodnym tonem. - Jestem pewna, że będą szczęśliwi.

- Oczywiście. - Daphne rzuciła na młodą parę ironiczne spojrzenie. - Dwa gołąbki... Miałam na myśli ciebie. Pewnie nie posiadasz się ze szczęścia, odkrywszy, że kłamałam co do Rochforda. - Jasnoniebieskie, piękne oczy patrzyły na Francescę nienawistnie.

- Nigdy nie wierzyłam, że Rochford porzucił cię, chociaż nosiłaś jego dziecko. Nie jest mężczyzną tego rodzaju. Zresztą dopiero niedawno usłyszałam tę plotkę, więc tym bardziej nie miała dla mnie żadnego znaczenia.

- Tak? To dlaczego go zostawiłaś? - spytała szyderczo Daphne.

- Nie wyszłabym za mężczyznę uwikłanego w romans z inną kobietą, nawet gdyby nie zamierzał jej poślubić... - Urwała i wpatrzyła się w twarz lady Daphne. - To też było kłamstwem? - spytała lekko drżącym głosem. - Tak to zaaranżowałaś, żeby sprawić wrażenie, jakoby zostaliście przyłapani *in flagranti*. Jeszcze jedna twoja intryga!

Daphne uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Oczywiście, że to była nieprawda. Rochford był do granic śmieszności porządny. Gdybyś była chociaż odrobinę mniej zakochana w sobie, a bardziej w nim, może nie dałabyś się nabrać.

Francesca odwróciła się i poszukała wzrokiem księcia. Poczula się słabo, nogi pod nią drżały i pomyślała, że zemdleje. Zaczęła się przeciskać przez tłum gości, nie patrząc na nikogo. Ktoś ujął ją mocno za łokieć.

- Francesco? Źle się czujesz? - spytała Irene.

- Trochę...

- Chodź, usiądźmy na chwilę. - Jak zwykle rzeczowa i zdecydowana Irene zaprowadziła ją do najbliższej ławki i zajęła miejsce obok niej. - Może przynieść ci coś do picia?

- Nie, to nic. Wystarczy, jak trochę posiedzę. Doznałam szoku, to wszystko.

- Co się stało? Widziałam, że rozmawiałaś z tą okropną lady Swithington.  
Powiedziała coś, co cię zdenerwowało? - A kiedy Francesca skinęła głową,  
dodała z ożywieniem: - Nie możesz jej wierzyć. Na pewno znów kłamała.  
- Obawiam się, że tym razem mówiła prawdę - wyznała ze smutkiem  
Francesca. - Popęł-

niłam straszliwą omyłkę kilkanaście lat temu. Niesprawiedliwie oceniłam Rochforda.

- Co to ma znaczyć? Jestem pewna, że ni mogłaś zrobić nic złego.
- Nie uwierzyłam mu, gdy przysięgał, że mówi prawdę. - Znowu przebiegła oczami po gościach, wypatrując wysokiej, wyprostowanej sylwetki. - Gorzej. Ja... to przeze mnie prowadzi takie życie.
- Jakie? Każdy mógłby mu go pozazdrościć.
- Nie ożenił się. Boję się, że to przeze mnie nabrał podejrzliwości w stosunku do kobiet.
- Mówisz poważnie? - spytała Irenę, patrząc na nią z osłupieniem.
- Tak. - Francesca zdecydowanie skinęła głową. - Zamierzam to naprawić.
- Jak?
- To przecież oczywiste - oświadczyła. - Muszę znaleźć Rochfordowi żonę.